

*Straciła męża, dzieci i rodziców. Cierpienie doprowadziło ją
niemal do szaleństwa, ale ocalała dzięki wspomnieniom.
Oto jej historia.*

TSUNAMI

SONALI DERANIYAGALA

Prószyński i S-ka

S O N A L I D E R A N I Y A G A L A

TSUNAMI

PRZEŁOŻYŁA: BOŻENA KUCHARUK

Prószyński i S-ka

Alexandrze i Kristianie

Rozdział pierwszy



YALA, SRI LANKA, 26 GRUDNIA 2004

Początkowo nic sobie z tego nie robiłam. Ocean wydawał się nieco bliższy naszego hotelu niż zwykle. To wszystko. Biała pianista fala wspięła się ponad krawędź piaszczystego pasa w miejscu, gdzie brzeg gwałtownie opada do samego morza. Normalnie wody na tym pasie nigdy się nie widziało. Zaalarmowała mnie nasza przyjaciółka Orlantha. Chwilę wcześniej zapukała do nas, żeby spytać, czy jesteśmy gotowi do wyjścia. Prawie byliśmy. Steve brał prysznic lub, co bardziej prawdopodobne, czytał, siedząc na sedesie. Na werandzie z tyłu nasi dwaj chłopcy z ożywieniem rozmawiali o prezentach gwiazdkowych.

Byliśmy w Yali, parku narodowym na południowo-wschodnim wybrzeżu Sri Lanki. Pełno jest tam bielików biało brzuchych, które dla Vikrama były najwspanialszymi ptakami. Prawie ośmioletni Vikram mnóstwo wiedział o ptakach. Para tych jastrzębi miała gniazdo w pobliżu laguny, nad którą stał nasz hotel, więc syn godzinami przesiadywał na nadbrzeżnej skale, zawsze głodny ich widoku. A one zawsze się pokazywały, niezawodne jak wróżka zębuszka.

Mieliśmy za sobą cztery dni spędzone w Yali razem z moimi rodzicami. Za niecały tydzień wracałam ze Steve'em i chłopcami do Londynu. Przyjechaliśmy tu z Kolombo rankiem, po skrzypcowym koncercie Mallego. Prawdę mówiąc, Malli wcale nie czuł szczególnego przywiązania do skrzypiec, ale uwielbiał być na scenie. Stał tam i papugował małą dziewczynkę grającą obok, z przekonującą precyzją wykonując efektowne pociągnięcia smyczkiem.

– On udaje, mamó, udaje – szeptał do mnie podczas koncertu Vik, urzeczony stalowymi nerwami pięcioletniego brata.

Lekcje gry na skrzypcach podczas naszych pobytów w Sri Lance dawała Mallemu nasza przyjaciółka Orlantha. W ramach odpoczynku od Los Angeles od kilku lat uczyła ona w Kolombo, a jej dziecięca orkiestra prosperowała znakomicie. Nazywała się Nadmorskie Smyczki.

Teraz Orlantha i ja gawędziłyśmy na progu hotelowego pokoju. Nie planowałyśmy wspólnego pobytu w Yali. Orlantha przyjechała tu ze Stanów z rodzicami, którzy postanowili spędzić urlop na Sri Lance. Obserwując moich rozbrykanych chłopców, powiedziała, że chciałyby założyć rodzinę.

– Och, wasze życie jest cudowne niczym sen – westchnęła. I właśnie wtedy zauważyła falę. – O Boże, morze nadchodzi – powiedziała. Dokładnie tak.

Zerknęłam za siebie. Nie wydawało się to niezwykle ani tym bardziej niepokojące. Po prostu ukazała się biała grzywa dużej fali. Zwykle jednak z naszego pokoju nie było widać rozbijających się fal. Właściwie nawet nie było widać oceanu, tylko skrawek lśniącego błękitu nad tym szerokim pasem piachu, który stromym zboczem opadał do samej wody. Teraz pienista fala wspięła się po tym zboczu i zbliżała do wysokich drzew iglastych, rosnących w pół drogi między naszym pokojem a miejscem, do którego zwykle dochodziła woda – drzew zupełnie niepasujących do krajobrazu tworzonego przez suche kolczaste krzaki. Było to osobliwe. Zawołałam do męża siedzącego w łazience:

– Wyjdź, Steve! Pokażę ci coś dziwnego!

Nie chciałam, żeby stracił taki widok. Liczyłam, że zdąży, zanim piana się rozprysnie.

– Chwileczkę – mruknął, ale nie zamierzał się pospieszyć.

A potem białej piany zrobiło się więcej. I jeszcze więcej. Vik siedział przy drzwiach prowadzących na tylną werandę i czytał pierwszą stronę *Hobbita*. Kazałam mu zamknąć te drzwi, szklane, czterokrzydłowe. Zrobił to, a potem przeszedł przez pokój i stanął przy mnie. Nie powiedział ani słowa, nie spytał, co się dzieje.

Tymczasem piana urosła w fale. Fale wskakujące na brzeg. To nie było normalne. Morze nigdy tak daleko nie dochodziło. W dodatku te fale nie cofały się ani nie opadały. Były teraz bliżej. Brązowe i szare. Brązowe albo szare. Przekraczały już linię drzew i zbliżały się do naszego pokoju. Coraz więcej fal prących naprzód, kipiących. Nagle rozszalałych. Nagle budzących trwogę.

– Steve! Musisz wyjść! Natychmiast!

Steve wybiegł z łazienki, wiążąc po drodze sarong. Popatrzył na dwór. Nie zamieniliśmy ani słowa.

Chwyciłam Vika i Mallego i wszyscy wybiegliśmy przez frontowe drzwi. Byłam przed Steve'em, trzymałam obu chłopców za ręce.

– Daj mi jednego! Daj mi jednego! – krzyczał Steve, wyciągając ramiona.

Nie zrobiłam tego. To by nas spowolniło. A nie mieliśmy czasu. Musieliśmy się spieszyć, to wiedziałam. Nie wiedziałam tylko, przed czym uciekam.

Nie zatrzymałam się, by zabrać rodziców. Wybiegając, nie zatrzymałam się, by załomotać do drzwi ich pokoju, sąsiadującego od prawej strony z naszym. Nie krzyknęłam, by ich ostrzec. Przebiegając obok, przez ułamek sekundy zastanawiałam się, czy nie powinnam. Ale nie mogłam stanąć. To by nas opóźniło. A my musieliśmy dalej biec. Mocno trzymałam chłopców za ręce. Musieliśmy wydostać się na zewnątrz.

Uciekaliśmy w stronę podjazdu przed hotelem, chłopcy tak samo szybko jak ja. Nie potykali się, nie przewracali. Byli na bosaka, ale nie zwolnili, nie przejmowali się kamieniami ani cierniami. Nie odezwali się ani słowem. Tylko nasze stopy były głośne. Słyszałam, jak dudnią, tłukąc o ziemię.

Przed nami jechał jeep, szybko. Nagle stanął. Jeep safari z otwartym tyłem i bokami, przykryty brunatną plandeką. Począł na nas. Podbiegliśmy. Rzuciłam Vikrama na tył, wylądował twarzą na zielonej falistej podłodze. Steve wskoczył za nim i go podniósł. Byliśmy już wszyscy w środku. Steve miał Vika na kolanach, ja usiadłam naprzeciwko nich z Mallim. Kierowcy nie znałam.

Rozejrzałam się dookoła, nic nadzwyczajnego. Ani trochę spienionej wody, tylko hotel. Wszystko tak, jak być powinno. Długie rzędy pokoi pod dachem krytym glinianymi płytkami, terakotowe posadzki zewnętrznych korytarzy, pylisty pomarańczowobrazowy żwirowy podjazd, gęsto obrośnięty po obu stronach dzikimi kaktusami. Wszystko na swoim miejscu. Fale musiały się cofnąć.

Wcześniej nie myślałam o Orlancie, ale widocznie biegła koło nas, bo już siedziała w jeepie. Jej rodzice wypadli ze swojego pokoju razem z nami. Teraz jej ojciec Anton też był z nami. Matka Orlanthy, Beulah, podciągała się na burzę, a kierowca już zwiększył obroty silnika. Jeep szarpnął naprzód, Beulah nie zdołała się utrzymać i odpadła. Kierowca tego nie zauważył. Powiedziałam, żeby się zatrzymał, krzyczałam do niego, że spada kobieta. On jednak jechał dalej. Beulah leżała na podjeździe i patrzyła za nami, jak się oddalamy. Na twarzy miała półuśmiech, jakby nie rozumiała, co się dzieje.

Anton wychylił się, żeby ją chwycić i wciągnąć na samochód. Gdy okazało się, że nie da rady, sam zeskoczył. Leżeli teraz oboje w żwirze, ale nie zawołałam do kierowcy, żeby poczekał. Jechał bardzo szybko. Ma rację, pomyślałam, musimy być w ruchu. Wkrótce oddalimy się od hotelu.

Zostawialiśmy moich rodziców! Teraz wpadłam w panikę. Gdybym krzyknęła głośno przy ich drzwiach, gdy wybiegaliśmy, mogliby wybiec z nami.

– Nie zabraliśmy *aaćci* i *seei*¹! – krzyknęłam do Steve’a, zaciskając mu dłonie na piersi.

¹*Aaćci* i *seeja* (syngaleski) – babcia i dziadek. Wszystkie przypisy w tej książce pochodzą od tłumaczki.

Vikram, gdy to usłyszał, zaczął płakać.

– Nic im się nie stanie. Dojdą później, dojdą... – powiedział Steve, a Vik zamilkł i przytulił się do ojca.

Byłam wdzięczna mężowi za te słowa, dodały mi otuchy. Słusznie. Fal teraz nie ma. Mama i tata wyjdą ze swojego pokoju. My uciekniemy stąd pierwsi, a oni do nas dołączą. Wyobraziłam sobie ojca wychodzącego z hotelu: wszędzie dookoła kałuże, a on ma podwinięte spodnie. Pomyślałam, że zadzwonię do mamy na komórkę, gdy tylko będę miała telefon.

Zbliżaliśmy się do końca hotelowego podjazdu. Mieliśmy skręcić w lewo, w gruntowy trakt ciągnący się wzdłuż laguny. Steve wbił wzrok w drogę przed nami. Przez cały czas bębnił piętą o podłogę jeepa. Szybciej, pospiesz się, człowieku.

I nagle jeep znalazł się w wodzie. Woda wdarła się do wnętrza. Przelewała się nam przez kolana. Skąd się wzięła? Musiała chyba wytrysnąć spod ziemi. Co się dzieje? Jeep mozolnie parł przed siebie. Słyszałam rżenie przeciążonego silnika. Przejedziemy przez tę wodę, pomyślałam.

Przechylaliśmy się z boku na bok. Woda przybierała, sięgała już naszych piersi. Steve i ja podnieśliśmy chłopców jak najwyżej – Steve Vika, a ja Mala. Twarze mieli nad wodą, czubki głów wciskały im się w płótno plandeki. Trzymaliśmy ich pod pachami. Tymczasem jeep zadygotał. Płynął, koła straciły już kontakt z ziemią. Nadal staraliśmy się utrzymać na siedzeniach. Nikt się nie odzywał. Nikt nie wydał żadnego dźwięku.

Wtedy zobaczyłam twarz Steve'a. Nigdy go takim nie widziałam. Przerazona mina, oczy wytrzeszczone, usta otwarte. Nagle ujrzał coś za moimi plecami. Nie zdążyłam odwrócić się i spojrzeć. Ponieważ góra przestała być na górze. Jeep przekoziółkował. Na moją stronę.

Ból. To wszystko, co czułam. Gdzie jestem? Coś przygniatało mi klatkę piersiową. Tkwiąc uwięziona pod samochodem, pomyślałam, miażdży mnie. Próbowałam odepchnąć to coś, chciałam się jakoś wyslizgnąć. Za duży ciężar, cokolwiek to było. Ból w klatce piersiowej nie ustawał.

Wcale jednak nie ugrzęzłam. Byłam w ruchu, teraz to pojęłam. Ciało miałam skulone, wykonywałam szybkie obroty.

Czyżbym była pod wodą? Nie czułam tego, ale pomyślałam, że musi tak być. Coś mnie ciągnęło, szarpało moim ciałem tam i z powrotem. Nie mogłam się zatrzymać. Gdy czasem otwierałam oczy, nie widziałam wody, tylko dymną szarość. Tyle mogłam dostrzec. Klatkę piersiową rozrywał mi ból, jakby grzmocono mnie wielkim kamieniem.

To mi się śni. To jeden z tych snów, w których spada się i spada, a potem nagle budzi. Na pewno tak jest. Uszczypnęłam się raz, drugi... Czułam przez spodnie uszczypnięcia

na udzie, ale się nie budziłam. Woda niosła mnie z prędkością, której nie umiałam określić, gnała naprzód z nieodpartą siłą. Przeciągała pod gałęziami drzew i krzaków, raz po raz obijała mi łokcie i kolana o coś twardego.

Jeśli to nie sen, na pewno umieram. Niemożliwe, żeby było inaczej. Taki straszny ból... Jeep się przewrócił i teraz coś mnie zabija. Ale jak mam umrzeć? Dopiero co byłam w hotelowym pokoju razem z chłopcami, moimi chłopcami... Mój umysł się otrząsnął, próbowałam skupić uwagę. Vik i Malli. Nie mogę umrzeć. Dla nich muszę pozostać przy życiu.

Zbyt jednak nieokiełznana była siła przygniatająca mi klatkę piersiową. Chciałam tylko, żeby dała spokój. Jeśli umieram, to niech się pospieszy, proszę.

Ale nie chcę umrzeć. Przecież mamy dobre życie, pomyślałam. Nie chcę, żeby się skończyło, mamy jeszcze wiele do zrobienia, tak wiele. Musiałam się jednak poddać temu nieznanemu chaosowi. Czułam to. Wiedziałam, że umrę, że jestem niczym wobec tego, co trzyma mnie w uścisku. Nie ma rady, to już koniec, po wszystkim. Poddałam się. Woda wciąż mną kręciła, a ja czułam zawód, że moje życie musi się skończyć.

Niemożliwe, żeby to się działo. Dopiero co stałam przy drzwiach, rozmawiałam z Orlanthą. Co ona powiedziała? Sen? Wasze życie jest cudowne jak sen? Właśnie tak. Jej słowa teraz do mnie wróciły. Przeklinałam ją za to, że je wypowiedziała.

Nagle zobaczyłam brązową wodę. Już nie dymny odcień szarości, lecz wzburzoną brązową wodę, aż po największą dal, gdzie tylko mogłam wzrokiem sięgnąć. Głowę miałam nad powierzchnią, wciąż jednak byłam niesiona z wielką szybkością. Nie miałam się czego złapać. Miotalam się. Dookoła mnie kręciły się drzewa. Co tu się dzieje? Przecież byłam z Vikiem w naszym pokoju. Vik chciał włożyć nową koszulkę polo angielskiej drużyny krykietowej. Wkrótce mieliśmy wrócić do Kolombo. Koszulka leżała rozłożona na łóżku. To musi być sen, pomyślałam. Poczułam smak soli. Woda biła mnie po twarzy, wlewała mi się do nosa, wypalała mózg. Przez dłuższą chwilę nawet nie zdawałam sobie sprawy z tego, że ból w klatce piersiowej ustał.

Płynęłam na plecach. Błękitne bezchmurne niebo. Nade mną leciało w szyku stado dławigadów z wyciągniętymi szyjami. Ptaki zmierzały w tym samym kierunku, w którym porwała mnie woda. Malowane bociany, pomyślałam. Lot malowanych bocianów po niebie Yali. Widziałam to tysiące razy. Widok ten był mi tak dobrze znany, że na chwilę wyrwał mnie z kipieli. Obserwowałam bociany z Vikiem, śmialiśmy się razem z ich pterodaktylich ruchów.

Przez chwilę byłam właśnie tam. Vik i Malli, pomyślałam znowu. Nie mogę pozwolić, żebym umarła w tym czymś. Moi chłopcy...

Płynęło ku mnie dziecko. Chłopiec. Głowę miał nad wodą, krzyczał: „Tato, tato!”. Kurczowo czegoś się trzymał. Wyglądało to jak połamane siedzenie samochodowe. W środku była żółta pianka albo guma. Chłopiec leżał na tym czymś, jakby płynął na desce. Z daleka wydawało mi się, że to Malli. Próbowałam do niego dotrzeć. Woda uderzyła mnie w twarz i znów odepchnęła, ale udało mi się trochę przybliżyć. „Chodź do mamy”, powiedziałam głośno. Wtedy zobaczyłam z bliska jego twarz. To nie był Mal. Zaraz potem prąd odrzucił mnie na bok i chłopiec znikł.

Wpadłam w bystrze. Woda tworzyła kaskady. W nurcie jakimś mężczyzną ciskało na prawo i lewo. Twarz miał zanurzoną. Był w czarnej bawełnianej koszulce i niczym więcej. Zastanawiałam się, czy to Steve. Może Steve, tylko spadł mu sarong. Początkowo myślałam o tym spokojnie, potem wpadłam w panikę. Nie, to nie może być Steve. Żeby to nie był on.

Nad wodą zwisała gałąź. Płynęłam prosto na nią, wciąż na plecach. Muszę chwycić się tej gałęzi, powiedziałam sobie. Jakoś muszę. Wiedziałam, że przemknę pod nią błyskawicznie, więc powinnam w odpowiedniej chwili unieść ramiona, żeby mieć jakąkolwiek szansę. Woda chlusnęła mi w twarz, starałam się jednak skupić wzrok na swoim celu. Znalazłam się pod spodem i próbowałam sięgnąć, ale gałąź już była prawie za mną. Wyrzuciłam ręce nieco do tyłu, chwyciłam ją i zdołałam utrzymać.

Stopy stanęły na ziemi.

Najpierw nie mogłam skupić wzroku. Potem jednak zobaczyłam wszędzie dookoła przewrócone drzewa. Rozróżniałam ich kształty, gdy leżały ze sterczącymi korzeniami. Co to jest, jakieś bagno? Znalazłam się na gigantycznym mokradle. Wszystko, jak okiem sięgnąć, było w jednym kolorze, brązowym. Wcale nie wyglądało to jak Yala, gdzie ziemia jest sucha, spękana i pokryta zielonymi krzakami. Co to za obalony świat? Koniec czasu?

Zgięta w pół nie mogłam się wyprostować. Obejmowałam kolana, dyszałam i dławiałam się. W ustach miałam piach. Wymiotowałam i kasłałam krwią. Wypluwałam to z siebie bez końca. Tyle soli... Moje ciało wydawało się bardzo ciężkie. Spodnie ciągnęły mnie w dół, tak mi się zdawało, więc je zdjęłam. Co się stało z falami? Dookoła mnie były miejsca ze stojącą wodą, ale fal nie było. Czy to jezioro, czy laguny?

Nie mogłam mocno stanąć na ziemi. Stopy zapadały mi się w mule. Gapiłam się na ten nieznaną krajobraz wciąż niepewna, czy to nie sen. Obawiałam się jednak, że nie,

właściwie prawie to wiedziałam.

Dopiero wtedy zaczęłam się zastanawiać, co z wszystkimi. Czyżby nie żyli? Musiało tak być. Pewnie nie żyją. Jak sobie bez nich poradzę? – myślałam. Wciąż ciężko dyszałam, plułam. Nie mogłam utrzymać równowagi, ślizgałam się w błocie.

Usłyszałam głosy, początkowo w oddali, potem bliżej. Była to grupa mężczyzn nawołujących się po syngalesku. Nie widzieliśmy się wzajemnie. Jeden z nich powiedział:

– *Muhuda goda gahala. Mahasona avilla.*

„Ocean wylał. Mahasona jest tutaj”. Mahasona... Znałam to słowo... Ale o co mu chodziło? Ostatni raz słyszałam je, kiedy byłam dzieckiem, i nasza niania opowiadała nam historie o duchach i demonach. Mahasona jest demonem cmentarnym. To pojmowałam nawet teraz. Stało się więc coś strasznego. Wszędzie była śmierć. I o tym właśnie krzyczał mężczyzna.

Po chwili ten sam głos znowu powiedział:

– Jeśli ktoś tu jest, może już wyjść. Woda się cofnęła. Przyszliśmy pomóc.

Ani drgnęłam i nie wydałam z siebie żadnego dźwięku. Byłam zbyt wyczerpana. Nagle rozległ się głos dziecka:

– Pomóżcie mi. Ratujcie. Uniosła mnie woda.

Usłyszałam, że mężczyźni zbliżają się do dziecka. Trwałam w milczeniu. Zgięta wpół obejmowałam kolana.

Mężczyźni zauważyli mnie i podbiegli. Mówili do mnie, ale nie odpowiadałam. Nakłaniali mnie, aby z nimi poszła, tłumaczyli, że musimy się pospieszyć, bo może uderzyć następna fala. Ale ciągle kręciłam głową i odmawiałam. Byłam zbyt zmęczona. Zresztą jak mogłabym opuścić to miejsce bez chłopców? A jeśli przeżyli? Jeśli są gdzieś w pobliżu, nie mogę ich zostawić. Nie mogłam jednak powiedzieć tego głośno, nie mogłam prosić tych mężczyzn, żeby ich szukali. Nie mogłam wyjaśnić, że wyrzuciło nas do wody z jeepa. Gdybym to zrobiła, stałoby się to zbyt realne.

Mężczyźni się niecierpliwicko rozmawiali między sobą. Nie mogli mnie tu zostawić.

– Ale nie możemy jej tak wziąć – powiedział jeden z nich. – Ona nie ma spodni.

Co takiego? – pomyślałam. Mężczyzna zdjął koszulę i obwiązał mnie nią w pasie. Zaczęli mnie ciągnąć. Wciąż miałam wrażenie, że jestem bardzo ciężka. Nogi grzęzły mi w błocie. Szłam był głęboki, sięgał kolan. Kilka razy upadłam i musieli mnie podnosić.

Zauważyliśmy człowieka leżącego pod krzakiem. Miał na sobie tylko przepaskę biodrową. Jeden z mężczyzn podszedł do niego.

– Nie żyje – powiedział, gdy wrócił do nas.

Wymienił imię. Poznałam. To był rybak, który mieszkał w małej chacie na brzegu, niedaleko hotelu. Steve i ja rozmawialiśmy z nim. Próbował sprzedać chłopcom muszle. Chciał, żeby przyłożyli je do ucha i posłuchali szumu oceanu. Odwróciłam się plecami do niego, leżącego teraz nieruchomo w mule. Nie chciałam widzieć nikogo umarłego.

Wzięli mnie do furgonetki i kawałek przejechaliśmy. Gdy samochód stanął, zorientowałam się, gdzie jestem. To była kasa przy wejściu do parku narodowego. Dobrze znałam ten budynek. Odwiedziłam go setki razy, kupowałam tu bilety i najmowałam przewodnika. Vik i Malli wchodzili tu czasem do niedużego muzeum, którego wejście zdobiła para olbrzymich słoniowych kłów.

Budynek nie wyglądał inaczej niż zwykle. Wszystko było nietknięte. Ani śladu wody, kałuż, przewróconych drzew... Na twarzy czułam podmuchy wiatru znad morza, zupełnie normalne.

Mężczyźni wyciągnęli mnie z furgonetki i wnieśli do środka. Znałam niektórych pracowników. Widziałam ich teraz, jak stłoczyli się i gapili na mnie z zatroskanymi minami. Obróciłam się do nich plecami. Nie chciałam, żeby oglądali mnie roztrzęsioną i przemoczoną. Usiadłam na zielonej betonowej ławce. Ściana za mną do połowy wysokości była pomalowana odłóżką zieloną farbą, a grube drewniane kolumny podtrzymywały dach. Podciągnęłam kolana pod brodę i wlepiłam wzrok w drzewa *palu* na zewnątrz. Czy to się stało naprawdę? Tyle wody? Mój skurczony umysł nie potrafił zdecydować. Chciałam zostać w nierzeczywistym świecie, w nieświadomości. Dlatego nie rozmawiałam z nikim i o nic nie prosiłam. Odezwał się telefon. Nikt go nie odebrał, więc dzwonił i dzwonił. Dźwięk był głośny, miałam go dość. Chciałam pozostać w swoim odrętwieniu, gapić się na drzewa.

A jeśli oni przeżyli? Nie umiałam przestać o tym myśleć. Steve z chłopcami mógłby tutaj dotrzeć. Może ktoś znalazł ich wszystkich tak samo jak mnie? Jeśli zostaną tutaj przywiezieni, chłopcy będą trzymać się Steve'a. Tato, tato. Będą w podartych koszulkach, zmarznięci. Vik zawsze się trząsał, gdy wracał z wody, bo ta w basenie była dość zimna.

Zajechała biała ciężarówka. Wyniesiono z niej młodą dziewczynę. Miała siniaki na twarzy, a jej włosów i ubrania czepiły się liście i gałązki. Widziałam ją wcześniej. Mieszkała z rodzicami w hotelu, w sąsiednim pokoju. Vik i Malli też będą tacy przemoczeni i przerażeni jak ona, jeśli zostaną tu teraz przywiezieni. Czy będą mieli liście we włosach? Obaj ostrzygli się na krótko przed wyjazdem z Londynu. Strzyżenie. Nie

mogłam teraz myśleć o fryzjerze.

Na jednej ławce ze mną siedział chłopiec. Wyglądał na dwanaście lat, może nieco więcej. To właśnie on wołał o pomoc na chwilę przed tym, nim znaleźli mnie ci mężczyźni. Przywieźli go tą samą furgonetką. Chłopiec nie przestawał teraz mówić, krzychał: gdzie są jego rodzice, chce do rodziców, właśnie jadł z nimi śniadanie w hotelu, zobaczyli fale, uciekali, porwała go woda... Powtarzał to w kółko, ale nie zwracałam na niego uwagi. Nie przyjmowałam do wiadomości jego obecności, nie reagowałam na jego słowa. Chłopiec się rozpląkał. Czy jego rodzice nie żyją? – pytał. Miał na sobie tylko szorty. Cały drżał i szcząkał zębami. Zaczął chodzić między szklanymi witrynami, w których wystawiono szkielety krokodyli i pytonów żyjących na bagnach. Było też gniazdo wikłacza, które zawsze intrygowało Vika. „To jak prawdziwy dom, Malli. Widzisz? Jest kilka pokoi”, wyjaśniał.

Chłopiec nie przestawał mówić i płakać. Chciałam, żeby przestał. Ktoś przyniósł duży ręcznik, by okryć mu ramiona. Chłopiec jednak nadal szlochał. Nie rozmawiałam z nim. Nie próbowałam go pocieszyć. Przestań ryczeć, myślałam, zamknij się. Przeżyłeś tylko dlatego, że jesteś tusty. Dlatego nie umarłeś. Pozostałeś przy życiu w wodzie, bo jesteś tak kurewsko otyły. Vik i Malli nie mieli szansy. A ty po prostu się zamknij.

Do szpitala przewieziono mnie jeepem. Mężczyzna siedzący za kierownicą był bardzo poruszony. Powiedział mi, że nie wie, gdzie jest jego rodzina. Miał nadzieję, że ją spotka w szpitalu. Mieszkali przedtem w hotelu, tym samym co my. On jednak wczesnym rankiem wybrał się na safari. Sam. Nie było go w hotelu, gdy uderzyła fala. Powtarzał mi to bez końca i zbyt głośno. Siedziałam na miejscu obok niego. Nie odezwałam się ani słowem. Miałam dreszcze, trzęsłam się. Wyglądałam przez okno. Droga, którą jechaliśmy, biegła przez gęsty las. Nikogo oprócz nas na niej nie było.

Z tyłu jeepa siedział inny mężczyzna. Poznałam go, pracował jako kelner w naszym hotelu. Miał w dłoni telefon komórkowy i nieustannie nim wymachiwał. Wystawiał rękę przez okno i wyciągał aparat wysoko to z jednej strony, to z drugiej. Próbował znaleźć zasięg, tak powiedział. Nie mogłam znieść tej jego miotaniny, każdy hałas przy jego ruchu sprawiał mi ból. Dlaczego nie usiądziesz spokojnie? – myślałam. Miałam ochotę wyrzucić ten jego telefon na drogę.

Moi mogli już być w szpitalu. Steve i chłopcy. Nawet mama i tata. Może ich znalezione i tam zawieziono. Ciągle wracałam do tej myśli, a potem odpychałam ją od siebie. Powinnam skończyć z łudzeniem się. Nie znajdę ich, muszę się na to przygotować. Ale jeśli

tam są, to martwią się o mnie. Chciałam, żeby jeep jechał jak najszybciej.

Gdy dotarliśmy do szpitala, na spotkanie wybiegł nam Anton, ojciec Orlanthy. Nie miał koszuli, był w podartych spodniach, palce u stóp mu krwawiły. Zajrzał do jeepa i na jego twarzy pojawiła się dezorientacja.

– Dlaczego nie ma z tobą Orlanthy? Gdzie Steve i chłopcy? – spytał.

Sądził, że to ten sam jeep, którym odjechaliśmy spod hotelu. Wyprowadziłam go z błędu. Powiedziałam, że nie wiem, gdzie są inni. Nie zdradziłam się tylko, że spodziewałam się znaleźć ich w szpitalu. Teraz byłam już pewna, że ich tu nie ma.

Powlokłam się do poczekalni. Nogi miałam poobijane, same się pode mną ugiwały. Zauważyłam głębokie krwawiące zadrapania na wysokości kostek. Miałam też rany cięte na podszwach. Co się stało? Mój umysł nie pracował.

Wszędzie dookoła mnie ludzie rozmawiali. Nie chciałam odzywać się do nikogo, więc unikałam kontaktu wzrokowego. Poczekalnia była mała, ale głosy, płynące jakby z daleka, raz po raz cichły i zanikały. Ktoś poklepał mnie po ramieniu.

– To był wielki przyływ, wielka fala – powiedział.

Skinęłam głową. Starłam się zachowywać obojętnie, jakbym wszystko o tym wiedziała. Ale wielka fala jest czymś realnym. Załamalam się. Usiadłam w kącie, na drewnianej ławce z widokiem na wejście do szpitala. Wciąż mogli się pojawić. Na Sri Lance nie zdarzają się tak wielkie przyływy. Ci ludzie nie wiedzą, o czym mówią. Wyobrażenie Steve'a, wchodzącego do szpitala z Vikiem i Malem, raz po raz do mnie wracało: wszyscy trzej bez koszul, Steve niesie chłopców, po jednym na obu ramionach. Ale niemożliwe, żeby przeżyli. To po prostu niemożliwe, ostrzegałam się ciągle. Mimo to bezgłośnie powtarzałam, że może, może jednak istnieje malutka szansa...

Od czasu do czasu bramę szpitala przekraczała furgonetka albo ciężarówka. Wszystkie bardzo szybko. Drzwi trzaskały, rozlegały się krzyki. Ludzie chwiejnie wychodzili z samochodów, innych niesiono. Pielęgniarki i lekarze wybiegali na zewnątrz, klekocząc na rampie noszami i wózkami. Wniesiono kobietę i zostawiono dokładnie przed moją ławką. Miała długie włosy, które zmatowiały i zasłoniły jej twarz. Mamrotała coś, ale nie miało to sensu. Przykryto ją prześcieradłem, ponieważ przyjechała tu naga, ale spod okrycia wystawały jej stopy ze skorupą z błota. Nie mogłam oderwać od niej wzroku. Zastanawiałam się, czy ta maź, zlepiająca jej włosy, składa się z wodorostów.

Również Anton był w poczekalni. Za każdym razem, gdy podjeżdżała ciężarówka, wydawał się pełen nadziei. Wybiegał na dwór, by sprawdzić, czy nie przywieziono kogoś

z jego lub mojej rodziny, a po chwili zawsze wracał do środka, kręcąc głową. Ja temu nie uległam. Nie chciałam przeżywać tylu rozczarowań.

Co pewien czas wnoszono do szpitala dziecko. To były obce dzieci, nie Vik i nie Mal. Przyglądałam się, jak odjeżdżają kolejne puste ciężarówki. Moi na pewno nie przeżyli, w tej też ich nie było.

Piekły mnie rany na kostkach. Pielęgniarka zaprosiła mnie do środka, żeby oczyścić je i opatrzyć. Zlekceważyłam ją. Odczep się, zostaw mnie w spokoju, pomyślałam. Dlaczego takie zadrapania mają jakiegokolwiek znaczenie? Przecież zdarzyło się coś potwornego, a ja nawet nie wiem co. Anton ciągle krążył, rozmawiał z lekarzami i pielęgniarkami. Zabandażowali mu rozcięcia na palcach u nóg. Ciągle chwalił przede mną szpitalny personel, który mimo skromnego wyposażenia radził sobie w tym chaosie zaskakująco dobrze. On to wiedział, był lekarzem, wiedział, że świetnie się spisują. Ale co mnie to obchodzi? – myślałam.

Ławki były coraz bardziej zatłoczone. Zrobiło się duszno i gorąco, musiałam jednak tam tkwić, nie mogłam wyjść na zewnątrz. Gdybym się ruszyła, straciłabym miejsce. A chciałam mieć swój kąt. Mogłam opierać się o ścianę.

Wciąż byłam przemoczona. Pielęgniarka, którą przed chwilą zignorowałam, poprosiła mnie, żebym się przebrała. Przyniosła mi bawełnianą koszulkę. Chciałam się przebrać, ale nie wiedziałam gdzie. Nie zamierzałam iść do cuchnącej toalety. Sama myśl o tym wzbudzała we mnie mdłości. Ściągnęłam więc z siebie przemoczoną niebieską koszulkę tam, gdzie siedziałam, i rzuciłam ją na podłogę, między ławkę a ścianę. Włożyłam suchą. Była fioletowa i z przodu miała żółtego roześmianego misia.

Niektórzy ludzie przechodzący przez poczekalnię poznawali mnie – kierowcy jeepów, widujący nas regularnie w parku, kilku kelnerów z hotelu... Podchodzili do mnie z zatroskanymi minami, pytali, gdzie rodzina, gdzie dzieci, czy jeszcze nikogo nie widziałam. Wzruszałam ramionami i kręciłam głową. Chciałam, żeby zostawili mnie w spokoju. Za każdym razem, gdy ktoś się zbliżał, wpadałam w przerażenie, że powie mi o śmierci Steve'a albo chłopców, albo moich rodziców.

Obok ławki przeszedł masażysta z hotelu. Nie dalej jak poprzedniego dnia korzystałam z jego usług, co było miłym świątecznym podarunkiem. Leżałam na powietrzu, na werandzie, w upale popołudnia, przy łagodnych podmuchach wiatru znad morza. Vik bawił się w pobliżu piłką do krykieta, rzucając nią w krzesło, które zastępowało drzemiącego Steve'a. Malli popijał sprite'a, ubrany w czapkę Świętego Mikołaja

z migającymi lampkami. Tę tandetną czapkę Steve kupił w sklepie z tanimi towarami w North Finchley, bo wiedział, że Malli będzie nią zachwycony. Pomyślałam o tym wszystkim, a potem szybko wyrzuciłam to z głowy. Nie mogłam rozpamiętywać tego, co działo się wczoraj. Nie w tym obłędzie, nie wtedy, gdy moi bliscy mogli już nie żyć. Przeklęte Tally-Ho Discount... Zawsze nienawidziłam tego sklepu.

Zirytował mnie widok tego masażysty. Nie wydawał się ranny ani nawet mokry. Jak przeżył? – pomyślałam. Vikowi i Malowi prawdopodobnie się nie udało, więc dlaczego on żyje? Gdy tylko zauważałam kogoś z hotelu, zaraz przychodziło mi to do głowy. Dlaczego oni żyją? Przecież ta wielka fala ich też powinna dopaść. Dlaczego to nie oni zginęli?

Ale kiedy w szpitalu pojawił się Mette, ucieszyłam się, że go widzę. Poczułam się odrobinę bezpieczniej. Mette zawsze woził nas na safari w parku. Znaliśmy go od bardzo dawna. Poprzedniego wieczoru pożegnaliśmy się z nim, gdy odwiózł nas do hotelu. Safari było nieciekawe, tylko o zmierzchu zamajaczył nam niedźwiedź. Obiecaliśmy kierowcy, że spotkamy się znowu w sierpniu, bo nazajutrz mieliśmy wyjeżdżać. „Do sierpnia już niedaleko”, powiedziałam Vikowi, który nigdy nie lubił powrotów do domu. Teraz Mette przyjechał do szpitala, bo ktoś mu dał znać, że jestem tutaj sama. Usiadł przy mnie na ławce, ale nie dręczył żadnymi pytaniami. Spytałam go, która godzina. Było około południa.

Po pewnym czasie furgonetki i ciężarówki przestały przyjeżdżać. Poczekalnia ucichła i opustoszała. Nie mogłam znieść tej ciszy, już lepsza była krzątanina, krzyki i rozmowy. Przynajmniej coś wtedy się działo. Siedziałam jak na szpilkach, odkąd zapanował spokój, spytałam więc Mette'a, czy mógłby odwieźć mnie do Yali. Zgodził się. Powinnam wrócić, bo może tam ktoś na mnie czeka, chociaż wiedziałam, że ich nie będzie.

Na bosaka poszłam do jeepa. Żwir na zewnątrz parzył mnie w porozcinane podeszwy stóp. Przejechaliśmy przez miasteczko Tissa. Wszystkie sklepy były zamknięte, ale ulice tętniły życiem. Słyszałam polecenia wydawane przez głośniki. Ludzie stłoczeni na przyczepach traktorów spieszyli w jedną i drugą stronę. Jeep Mette'a włókł się przez całe dwadzieścia kilka kilometrów do Yali. Gdy wreszcie skręciliśmy na drogę prowadzącą do wejścia do parku, nie mogłam jej poznać. Jeszcze wczoraj była obrośnięta gęstymi krzakami, teraz ciągnęła się przez bezkresne mokradło.

Przy kasie nikt nie czekał. Jeden z parkowych strażników podszedł do naszego auta. Wszyscy ludzie znaleźieni żywi zostali zawiezieni do szpitala, powiedział. Ale niedaleko hotelu zebrano ciała. Jeśli chcemy, możemy pojechać, żeby je zidentyfikować. Mette

popatrzył na mnie, oferując się, że to zrobi. Nie mogłam jednak na to pozwolić. Bo co bym zrobiła, gdybym się dowiedziała, że moi nie żyją? Zawróciliśmy do szpitala. Robiło się późno, a ja czułam, że nadzieja we mnie gaśnie.

Po drodze zatrzymaliśmy się przy posterunku policji w Tissie, żeby sprawdzić, czy mają sprawny telefon. Od rana nie działała żadna linia. Mette wpadł na pomysł, żebym zadzwoniła do kogoś w Kolombo, ale nie chciałam. Nie mogłam się zdobyć na opowiadzenie komukolwiek, co tutaj zaszło. Zostałam w aucie. Mette sam poszedł na posterunek.

Zrobiło się chłodniej. Po cieniach padających na pola ryżowe mogłam się zorientować, że jest około piątej. Piąta. O tej porze Vik zwykle grał w krykieta ze Steve'em. Słyszałam, jak Vik odbija piłkę, rzucając ją z całą siłą o ziemię, aby trudniej było ją złapać. Zawsze mrużył oczy i uśmiechał się, czekając, aż piłka wpadnie mu w ręce. Myślałam o tym, ale nie mogłam przywołać wyraźnego obrazu jego twarzy. Kiedy siedziałam w szpitalu z nadzieją, że się zjawią, widziałam ich wyraźnie. Teraz zaś już nie. Mette wrócił i powiedział mi, że nawet na policji nie działa telefon. Co za ulga, pomyślałam.

Gdy wróciliśmy, w ambulansie przed szpitalem siedziało dziecko. Lekarz nawoływał ludzi, pytając, czy ktoś je zna, czy to jest dziecko kogoś z obecnych. Chciał je odesłać do szpitala nieco dalej. Szybko podeszłam do karetki. Drzwi z tyłu były otwarte, więc zajrzałam do środka. Chłopiec czy dziewczynka? Nie umiałam powiedzieć. Dziecko starsze czy młodsze od Mallego? Też nie umiałam. Czy to Malli? Nie byłam pewna. Może. Ale raczej nie. Wokół ambulansu gromadzili się ludzie. Przyglądali mi się w milczeniu i próbowali odgadnąć, czy to mój syn. Położyłam dłoń na nodze dziecka. Czy znam ten dotyk? Nie umiałam powiedzieć. To może być Mal, a oni go odesłają. Wtedy przypomniałam sobie, że Mal ma ciemnobrązowe znamię na zewnętrznej części uda, w połowie jego wysokości. Nazywał je pierzykiem. „Mamo, czy ty też masz pierzyk?”, pytał. Słyszałam teraz jego głos. „O, jest u ciebie na pupie! Fu, tato, popatrz, mama ma pierzyk na pupie!”. „On nie jest na pupie, Mal, tylko niedaleko pupy, ale na plecach”. Popatrzyłam teraz na lewe udo dziecka, ale nie było tam okrągłego brązowego znamienia. Na wszelki wypadek obejrzałam jeszcze prawe udo. Wróciłam do poczekalni i zajęłam swoje miejsce na ławce w kącie.

Pomieszczenie znowu się wypełniło. Ludzie płakali i brali innych w objęcia, niektórzy opierali się bezwładnie o filary, inni kucali na podłodze, kryjąc twarz w dłoniach. Osoba siedząca obok napierała na mnie, na ławce zrobiło się ciasno. Wszędzie cuchnęło potem,

którym wszystko przesiąkło. Próbowałam uwolnić się od tej woni, odwracając twarz do ściany. Na zewnątrz było ciemno. Kiedy to nastąpiło? Zadrżałam. Światło uciekło.

Ta sama pielęgniarka co rano zobaczyła mnie i podeszła. Pogłaskała mnie po głowie. Powiedziała, że wie o zaginięciu moich dzieci. Zdrętwiałam. Nie życzyłam sobie jej współczucia. Rozpłakałabym się, a tego nie chciałam. Nie uroniłam ani jednej łzy przez cały dzień i nie zamierzałam tego zmienić. Nie przy tych wszystkich ludziach, nie teraz.

Zajechała ciężarówka. Reflektory omiotły snopami światła dziedziniec. Znaleźli jeszcze żywych ludzi, więc przywożą ich mimo późnej pory – przez chwilę tak myślałam. Potem jednak eksplodował krzyk. W jednej chwili wszyscy ludzie z poczekalni rzucili się do wyjścia. Zawodzili jednym głosem, odpychali się, łokciami torowali sobie drogę naprzód, desperacko wyciągali przed siebie ramiona. Nadszedł policjant i kazał im się cofnąć, ale zawroźnienie nie ucichło. Nie było słów, tylko nieustanny, coraz wyższy, przeraźliwy krzyk. Wtedy zrozumiałam. Ta ciężarówka różniła się od poprzednich. Przywiozła ciała.

Nigdy nie słyszałam tak przerażającego jęku. Tak szalonego, żałosnego... Przerazał mnie, wprawiał w drgania ścianę, o którą się opierałam. Wdzierał się do mojego odrętwiałego mózgu. Niszczył ostatki nadziei w sercu. Mówił mi, że to, co się zdarzyło, jest nie do pomyślenia. Nie chciałam jednak dostać potwierdzenia. Nie od szlochających obcych ludzi.

Przepchnęłam się przez tłum. Musiałam stąd uciec. Musiałam wydostać się na zewnątrz. Gdy znalazłam się w pobliżu wyjścia, policjant próbujący uspokoić zebranych krzyknął:

– To nie są ciała waszych ludzi! To tylko turyści z hotelu!

Nawet się nie wzdrygnęłam, gdy go usłyszałam. Skupiłam się na tym, by wyjść. Przeciskałam się przez ciżbę tak, jakby te słowa nie miały znaczenia. Nie rzuciłam się na ziemię. Nawet nie jęknęłam, chociaż teraz przyszła moja kolej, by krzyczeć.

Wpadłam prosto na jeepa Mette'a zaparkowanego pod latarnią przy bramie. W samochodzie było cicho. Usiadłam na miejscu kierowcy i oparłam głowę na kierownicy.

Znalazł mnie Anton. Wciąż opierałam czoło na kierownicy, gdy usłyszałam jego głos. Początkowo nie rozumiałam, co mówi. Potem wyłowiłam słowo „kostnica” i to ono wzbudziło mój sprzeciw. Czyżby chciał, żebym poszła do kostnicy? Nie mówi tego poważnie, chyba oszalał. Wiedziałam, że nie przestąpię progu tego miejsca, za nic. Nie mogłam nawet znieść myśli, że leżą tam Vik i Mal. Ale ta myśl, choć bezkształtna, tłukła mi

się po głowie.

Gdy wreszcie zrozumiałam, o co prosi Anton, aż mnie zatkało. Chciał, żebym zawiozła go do kostnicy na wózku. Wózek? Zaraz wyjaśnił. Ma zbyt bolesne rany na nogach, nie doszedłby tak daleko. Czy wobec tego mogłabym tam go zawieźć? Odniosłam wrażenie, że kurczy mi się czaszka. Miałabym przepychać go na wózku wzdłuż rzędów martwych ludzi? Powiedziałam mu, że nie mogę. Błagał mnie, a ja odmawiałam, przynajmniej przez pewien czas. W końcu jednak uległam. Wszystkie postanowienia, które teraz podejmowałam, były krótkotrwałe.

Wózek był ciężki, a ja musiałam manewrować nim w tłumie. Byłam wściekła, że nie mam wyjścia, więc taranowałam wszystkich, którzy wchodzili mi w drogę. Anton mną kierował, a ja pchałam go korytarzem pochłonięta myślą, że to nie może dziać się naprawdę, niemożliwe. Czy to rzeczywiście ja, opasana w talii starym kocem, popycham przed sobą wózek inwalidzki do kostnicy, gdzie może leżeć cała moja rodzina? Anton wskazał mi pomieszczenie. Nie wejdem, nawet się tam nie zbliżę, pomyślałam. Puściłam wózek i zobaczyłam, że po lekko pochyłej podłodze sam toczy się w kierunku kostnicy. Zawróciłam do jeepa i usiadłam w mroku.

Anton wrócił nawet nie wiem, po jak długim czasie. Stał przy szybie jeepa. Powiedział mi, że znalazł Orlanthę. Ją i tylko ją. „Już nie ma jej z nami, odeszła”, powiedział.

Twarz miał bez wyrazu. Trzymałam go za rękę. To zaczyna być rzeczywiste, pomyślałam. Powoli, bardzo powoli realność zdarzeń docierała do mojego umysłu. Zrozumiałam wtedy, że muszę wrócić do Kolombo. Nocą przyjadą następne ciężarówki, będzie więcej ciał. Musiałam się stąd wydostać.

Mette zgodził się zawieźć mnie do Kolombo. Nie miał jednak samochodu, bo jego jeep był zanadto zdezelowany na taką podróż. Włączył telefon i pierwszy raz tego dnia okazało się, że jest sygnał. Dał mi aparat. Wybrałam numer matki. To było pierwsze, co zrobiłam. Wciąż miałam nadzieję, że jej telefon się odezwie, a może nawet doczekam się odpowiedzi.

Nic takiego się nie stało. Rozległ się tylko komunikat nagrany po syngalesku, że numer nie odpowiada. Mette zaproponował wtedy, żebym zatelefonowała do domu ciotki. Usłuchałam go z ociąganiem. Powoli wybierałam cyfry na klawiaturze. Jak wyjaśnię ciotce sytuację? Co powiem? Odebrał mój kuzyn Krishan. Połączenie było kiepskie, z licznymi zakłóceniami. Wymamrotałam coś w rodzaju, że tylko ja przeżyłam i wracam. Telefon

zamilkł, sygnał znów zanikł.

Mette wziął mnie do siebie do domu stojącego bardzo niedaleko szpitala, przy zacisznej ulicy. W ogrodzie od frontu była studnia pod wielkim drzewem. Słyszałam pluski w ciemności. Ktoś brał kąpiel. Żona i córka Mette'a były w domu. Powiedział im, żeby się mną zajęły, a on pójdzie poszukać samochodu, bo chce mnie zawieźć do Kolombo.

Siedziałam w ich pokoju dziennym na fotelu obitym brązową skórą. Kobiety zaproponowały mi coś do jedzenia i picia. Powiedziałam, że niczego nie chcę. Nie ustąpiły i przyniosły mi filiżankę bardzo słodkiej herbaty. Popijałam ją i smakowała mi. Trzymałam filiżankę w obu dłoniach, ciesząc się jej ciepłem.

Spytały mnie, jak to się stało. Miałam nadzieję, że tego nie zrobią, ale zrobiły. Gdzie wtedy byliśmy, kiedy zobaczyliśmy fale, jak wyglądała, czy huczała, dokąd uciekłam, gdzie ostatnio widziałam dzieci? Nie odpowiadałam. Na stole naprzeciwko mnie stał wielki zegar. Gapiłam się na niego, siedząc ze skrzyżowanymi nogami na fotelu. Rozumiałam, że kobiety są wstrząśnięte i martwią się o mnie, ale nie chciałam rozmawiać. Chciałam wtopić się w ten fotel.

Kobiety zaczęły lamentować nad moją sytuacją. Nigdy w życiu nie słyszały takiej historii, żeby wszyscy bliscy umarli i tylko jedna osoba została. Straciłam dzieci, straciłam swój świat i jak mam dalej żyć? A te moje dzieci były takie piękne... Na moim miejscu, zawodziły, nie siedziałyby tak spokojnie. Odchodziłyby od zmysłów, pewnie umarłyby z żalu. Nie powiedziałam ani słowa. Wzrok miałam wbity w zegar.

Drzwi domu były otwarte, wchodzili sąsiedzi i krewni. Mówiono im o mnie. Wszyscy spoglądali na mnie ze zgrozą. Straciła dzieci? I męża, i rodziców? Niektórzy goście szybko wychodzili i wracali z następnymi ludźmi, mówiąc: „Popatrzcie na tę biedaczkę, to nie do uwierzenia, że cała jej rodzina zginęła”. Siedziałam bezwładnie w tym brązowym fotelu. Czy to o mnie tak mówią?

Ktoś zwrócił uwagę na skaleczenia na mojej twarzy, ramionach i nogach. Wszyscy wydawali się zaniepokojeni i strapieni. Mogę dostać zakażenia. Dlaczego nie kazałam oczyścić tych ran w szpitalu? – pytali. Wzruszyłam ramionami. Potem martwili się jeszcze, że nie chcę jeść. Mogę zemdleć, jeśli nie będę się odżywiać po tym wszystkim, co przeszłam. Gdzie jest Mette? Bardzo chciałam, żeby się pospieszył. Zastanawiałam się, czy wskazówki zegara się nie zacięły.

W pewnej chwili wszyscy w domu zaczęli panikować. Bo jeśli fale wrócą jeszcze tego wieczoru, mogą zabić ich wszystkich. Tę całą szaloną gadaninę sprowokował starszy

człowiek, który przyjechał na rowerze. Domownicy byli zbyt wystraszeni, by tej nocy ułożyć się do snu. Takie życie, wszyscy zostaną pochłonięci, zapewne wkrótce, kiedy nikt się nie będzie spodziewał. Nie wariujcie, pomyślałam. Mieszkacie ponad trzydzieści kilometrów od morza. Brakowało mi jednak wigoru, by uciszyć ich lęki, nie miałam siły otworzyć ust, by się odezwać.

Mniej więcej trzy długie godziny później Mette wrócił furgonetką. Jej właściciel był gotów zawieźć nas do Kolombo. Zbliżała się północ. Wreszcie mogłam przestać wpatrywać się w ten zegar. Kiedy wdrapałam się do auta, poczułam najpierw gigantyczną ulgę, ale gdy pogrążyliśmy się w coraz głębszej ciemności, nachodził mnie coraz większy lęk. Nie chciałam jechać do Kolombo. Owszem, chciałam uciec od szaleństwa tego szpitala, uciec od wszystkich ludzi w domu Mette'a, ale czy nie mogłam w jakiś sposób tkwić dalej w swoim zmieszaniu? Chciałam na zawsze pozostać na tylnym siedzeniu tej furgonetki. Za kilka godzin zrobi się jasno. Będzie jutro. Nie chciałam, by nadeszło. Bałam się, że wraz z nim da o sobie znać prawda.

Początkowo zignorowałam chrząszczenie w uszach, z którym się budziłam. Potem zorientowałam się, co to za odgłos: Vikram jedzący chipsy. Powolne chrup, chrup i szeleszczenie folii, gdy po jednym wyjmował je z paczki, pożerał wzrokiem, potem wkładał do ust i przeżuwał. Powtarzał tę czynność póty, póki nie zniknął najdrobniejszy okruch. Tak Vikram zjadał chipsy. Bez pośpiechu, z namaszczeniem, żeby pokazać, jak bardzo mu smakują. Jeśli znajdowałam się w pobliżu, w jego zachowaniu było jeszcze więcej ostentacji, czym podkreślał moje okrucieństwo: niecodziennie bowiem pozwalałam mu na tę ulubioną przez niego przekąskę. „Posłuchaj, mamó, przecież inne dzieci dostają codziennie chipsy razem z drugim śniadaniem. Naprawdę codziennie! A ja muszę jeść głupie batoniki musli. Pfuj!”. Wciąż miałam w uszach ten odgłos, więc leżałam zupełnie bezwolna. Zemsta Vikrama, pomyślałam. Odgrywa się na mnie za te wszystkie razy, kiedy odcinałam go od niezdrowych zapychaczy. Potem zobaczyłam go, jak siedzi na poduszce mojego łóżka w szkolnym ubraniu, szarych spodniach i jaskrawoczerwonym sweterku. Opiera się o wezglowie, podciąga kolana pod brodę, a w lewej ręce trzyma paczkę solonych chipsów z Tesco. Na nogach ma szare szkolne skarpetki, długie, w paseczki, przetarte na dużych palcach. To był wizerunek poszkolny. Błotne plamy na spodniach, pod nosem ślad zaschniętego gila. „Nie krusz mi na poduszkę”, mówiłam. „Nie siedź na moim łóżku w tych brudnych szkolnych spodniach. Idź umyć ręce, Vik”.

KOLOMBO, PIERWSZE PÓŁ ROKU

Wysiadłam z furgonetki, która zatrzymała się przed furtką domu mojej ciotki. Była trzecia, środek pierwszej nocy po wielkiej fali. Otrzeptałam ubranie z okrucichów. Po drodze kierowca przystanął i kupił trochę herbatników. Powiedziałam mu, że nie chcę cytrynowych, więc wziął imbirowo-orzechowe.

W domu zgromadziło się sporo ludzi. Wyszli mi naprzeciwko. Na czele zobaczyłam wuja Balę. Na mój widok chwycił się rękami za głowę i otworzył usta, jakby miał zamiar zapłakać z rozpaczy. Szybko się odwróciłam. Na miękkich nogach minęłam tych wszystkich ludzi i poszłam na górę. Musiałam wziąć prysznic, miałam żwir we włosach.

Usiadłam na łóżku w pokoju kuzynki Natashy. Zacisnęłam dłonie na pościeli, którą nakryłam się aż pod brodę. Krewni i znajomi zadawali mi pytania. Powiedziałam im, że jeep przewrócił się w wodzie, opisałam ciężar, który mnie przygniół. Czy nie widziałam mamy ani taty, ani Steve'a, ani Vika, ani Mallego? – pytali bez ustanku. Tam w wodzie? Nikogo? „Niemożliwe, żeby któreś z nich przeżyło”, usłyszałam swój głos. Zmuszałam się, by właśnie to mówić i myśleć. Musiałam przygotować się na chwilę, gdy poznam tę prawdę, tak uważałam.

Poprosiłam o coś ciepłego do picia. Ktoś przyniósł mi herbatę. Ktoś inny zaproponował, żebym wzięła tabletkę nasenną. Odmówiłam. Jak mogłabym zasnąć? Jeśli teraz zasnę, to zapomnę. Zapomnę, co się stało. Będę się budzić z wiarą, że wszystko jest w porządku. Wyciągnę ramiona do Steve'a, będę czekać na chłopców. Dopiero potem sobie przypomnę, a to będzie zbyt straszne. Nie wolno mi ryzykować.

Ciotka spytała mnie o numer rodziców Steve'a. Wytrąciła mnie tym z równowagi. Cyfry podałam dobrze, ale pomyliłam kolejność. Zadzwonienie do nich oznaczało, że naprawdę stało się coś złego, a ja nie chciałam ciągle tego przyznać. Choć wcześniej, gdy spojrzałam w łazience w lustro i zobaczyłam straszne sińce na swojej twarzy, szybko odwróciłam wzrok. Nie potrzebowałam dowodu, ten widok był stanowczo zbyt realny. Chciałam dalej unosić się we śnie. Nawet jeśli wiedziałam, że to nie sen.

Może Steve żyje. Ma chłopców. Zatelefonuje do nas. Głos będzie miał zmęczony. Słyszę jego cichutkie: „Dzień dobry, Sonal”. Przed nikim jednak nie zdradziłam się z tymi myślami.

Kleisty ciemny gil, który wyszedł mi z nosa, cuchnął psim gównem. Zdawało mi się, że ktoś rozwierca mi czoło. Następnego ranka ciotka zatelefonowała do lekarza. To trochę bez sensu, pomyślałam, wkrótce i tak się zabiję. W drzwiach do pokoju lekarz upuścił torbę –

otworzyła się i instrumenty z grzechotem wysypały się na podłogę. Potem wsadzał mi różne z nich do nosa, uszu i gardła. Ostra infekcja zatok, wszystko przez brudną wodę. Zapisał mi pięć antybiotyków. Powinnam wdychać parę. To oczyści nos z glutów i zmniejszy ból.

Zdumione głosy przyjaciół i krewnych niosą się dookoła: podwodne trzęsienie ziemi w pobliżu Indonezji, przemieściły się płyty tektoniczne. Największa klęska żywiołowa, jaka może się zdarzyć – tsunami. Do tej pory nasz zabójca był dla mnie bezimienny. Pierwszy raz w życiu usłyszałam tę nazwę. Mówiono o liczbach. Sto tysięcy zabitych, dwieście tysięcy, ćwierć miliona. Pozostałam nieporuszona. Siedziałam skulona na łóżku. Jak dla mnie mógłby być i milion więcej, pomyślałam.

Nic nie znaczyły te słowa: tsunami, fala przyływu... Coś nas porwało. Wtedy nie miałam pojęcia co i nadal tego nie wiedziałam. Jak coś nieznanego może mieć taką moc? Jak moja rodzina może nie żyć? Przecież byliśmy w hotelowym pokoju...

Nie mogę bez nich żyć. Nie mogę. Nie mogę.

Dlaczego nie umarłam? Dlaczego uczepiłam się tej gałęzi?

Cząstki mnie unosiły się w odmętach zaświatów, a dni płynęły poza czasem.

Nie pamiętam, kiedy mi powiedzieli. Trzy, cztery, może pięć dni później. Pokuśtykałam na dół. W stopach miałam głęboko powbijane ciernie, które teraz powoli wychodziły na powierzchnię i niemal przebijały mi skórę, gdy dotykałam podłogi.

– Znaleźli dzisiaj mamę i tatę – powiedział cicho mój brat Rajiv.

Usiadłam. Krzesło było złamane, więc niebezpiecznie przechyliłam się do tyłu i omal nie upadłam. Ktoś szybko podsunął mi inne. Popatrzyłam na Rajiva.

– Znaleźli mamę i tatę – powtórzył.

Wiedziałam, co ma na myśli. Że znaleźli ich ciała.

– I chyba również Vika – powiedział. – Może pamiętasz, co miał na sobie? Zieloną koszulkę i szorty w czarno-białą kratkę?

Skinęłam głową. On mówi mi, że Vik nie żyje. Wbiłam wzrok w Rajiva oraz w ciotkę, wuja i Natashę, którzy również byli w pokoju. On mi mówi, że Vik nie żyje. Wpatrywałam się w nich bez słowa. Ta zielona koszulka była z tygrysem, kupiliśmy ją w Indiach w dniu, gdy pierwszy raz zobaczyliśmy na własne oczy dzikiego tygrysa. On mi mówi, że Vik nie żyje? Nie zaczęłam krzyczeć ani lamentować. Nie zemdlałam. I nie pomyślałam, by poprosić ich o zatrzymanie tej zielonej koszulki. Poczekam, aż wszystkie ciała zostaną znalezione, powiedziałam sobie. Wtedy się zabiję.

Mój brat zorganizował wielkie poszukiwania Mallego. Istniała maleńka szansa, że żyje.

Rajiv przeszukiwał teren z przyjaciółmi i rodziną. Odwiedzili wszystkie szpitale, obozy dla ofiar, dawali ogłoszenia w gazetach i telewizji, wyznaczyli nagrodę. Zdjęcie Mallego spoglądało ze ścian domów i ze sklepowych witryn, było na tyłach riksza. Udawałam, że nie zwracam uwagi na wysiłki Rajiva. Powtarzałam sobie, że są całkiem bezcelowe. Nie wolno mi było żywić nadziei. Nie znowu i nie teraz.

Jak mogę pogodzić się z tym, że Malli i Steve po prostu zniknęli? Że nigdy nie będzie żadnego dowodu? To pytanie stawiałam sobie nieustannie. Jak mogę tolerować coś tak niedorzecznego? Chociaż wszystko, co na tym świecie było racjonalne, zmiotła ta wielka fala.

Oni są moim światem. Jak mam zamienić ich w zmarłych? W głowie miałam mętlik.

W odrętwieniu zaczęłam wpajać sobie to, co niemożliwe. Musiałam nauczyć się tego choćby na pamięć. Nie polecimy z powrotem do Londynu. Chłopcy nie wrócą we wtorek do szkoły. Steve nie zadzwoni do mnie z pracy, żeby spytać, czy odebrałam ich o czasie. Vik nie będzie już bawił się w berka przed klasą. Malli nie będzie skakał w kółeczku z dziewczętami. Gruffalo. Malli nie będzie tulił się do mnie w łóżku i czytał o tym stworze z trującą brodawką na czubku nosa. Vik nie będzie się podniecał bramką dla Liverpoolu. Chłopcy nie będą ukradkiem zaglądać do piekarnika, żeby sprawdzić, czy upiekła się już szarlotka z kruszonką... Ta deklamacja nie miała końca. Nie mogłam jednak pogodzić się z żadną jej częścią.

Włożę pizzę dla chłopców do lodówki, bo samolot spóźnił się na Heathrow. Mleczarz przyniesie rano mleko, tak jak zwykle, bo zostawię dla niego kartkę. Na Nowy Rok pójdziemy na przyjęcie do Anity. Było Boże Narodzenie. Vik i Malli śpiewali swoją ulubioną wersję *Jingle Bells*, piskliwie wyciągając wers „*Uncle Billy lost his willy on the motorway*”². Nie tak dawno chłopców ekscytowało Halloween. Słodczyce z halloweenowego łupu wciąż leżą w pomarańczowym wiaderku w kuchni. Czuję, jak ich okryte rękawiczkami palce zaciskają się na moich. Jest wieczór sztucznych ogni, wilgoć listopada osiada na ich policzkach.

² „Wujek Ziutek zgubił fiutek, gdy po szosie gnał”.

Od tego, co wskazywało, że już ich nie ma, rozpaczliwie się odcięłam. Bałam się wszystkiego, ponieważ wszystko pochodziło z tamtego życia. Jeśli tylko coś ich ekscytowało, chciałam, żeby uległo zniszczeniu. Wpadałam w panikę na widok kwiatka, bo Malli wetknąłby mi go we włosy. Nie mogłam znieść obecności żdźbła trawy, bo Vik by po nim chodził. O zmierzchu drżałam, gdy widziałam tysiące nietoperzy i wron latających

pod niebem Kolombo. Chciałam, żeby wyginęły, bo należały do mojego dawnego życia – ta scena zawsze fascynowała chłopców.

Teraz musiałam zapewnić sobie bezpieczeństwo. Musiałam się skurczyć. Znikłam w ciemnościach. Zamknęłam się w pokoju. Nawet gdy zasłony były zaciągnięte, cała nakrywałam się kołdrą, razem z głową.

Ruch przed domem ciotki nie ustawał ani na chwilę, grając mi na nerwach. Ale ten męczący jazgot wydawał się całkiem na miejscu. Łatwiej mogłam ich uśmiercić, gdy ciągle byłam drażniona tymi zwyrodniałymi odgłosami życia bez nich. W londyńskiej sypialni słyszeliśmy przede wszystkim zięby, rudziki i odbicia piłki do nogi.

Londyn... Już sama myśl o nim budziła we mnie trwogę. Nasz dom. Ich szkoła. Ich przyjaciele. Jazda metrem do Muzeum Historii Naturalnej. Sygnał furgonetki z lodami. Co ja zrobię z tym wszystkim? Miałam ochotę podrzeć na strzępy znajomość naszego życia.

Bałam się niedziel. Ta wielka fala przyszła po nas właśnie w ten dzień tuż po dziewiątej. Teraz starałam się w niedzielne ranki nie patrzeć na zegar. Nie chciałam wiedzieć, że dokładnie o tej porze przed dwoma, trzema, czterema, dziesięcioma, piętnastoma tygodniami dla nich, dla nas skończyło się życie. W Kolombo w niedzielę rano chodziliśmy popływać. Teraz musiałam się uodpornić na wspomnienie miękkich maźwolin usznych Mallego dotykających mojego policzka, gdy trzymałam go na głębokiej wodzie. Nie chciałam przyjąć do wiadomości, że jest niedzielny ranek, ale już nigdy Vik nie robi awantury, że Steve czyta gazety i nie chce wziąć go do parku. Że jest niedzielny ranek, ale Steve już nigdy nie pobrudzi sedesu farbą z gazety.

Niemożliwe, żeby to zdarzyło się właśnie mnie. To nie ja. Ciągle rozchwiana. Patrzenie na mnie, bezsilną niczym plastikowa torba na wietrze.

To nie ja.

Powlokłam się pod prysznic i nie byłam w stanie przypomnieć sobie, jak puścić wodę. Pogapiłam się na krany i znów się ubrałam, wsunęłam się w pościel. Leżąc nieruchomo, miałam wrażenie, że opadam – tak szybko, że musiałam zacisnąć dłonie na krawędziach łóżka.

Jak to mogę być ja? Przecież zawsze byłam bezpieczna. Teraz ich już nie mam, zostałam tylko z trwogą, jestem sama. Czuję ściskanie w żołądku. Przytuliłam do piersi rozgrzany termofor, żeby uspokoić serce bijące jak młotem, ale nie chciało przestać.

Dźgałam się nożem do smarowania masła. Cięłam sobie ramiona i uda. Tłukłam głową o kant wezglowia. Trzymałam żarzące się papierosy na dłoniach. Nie paliłam, tylko

przyżegałam sobie skórę. Raz, drugi, trzeci. Moi chłopcy...

Nie mogę już ich przytulić. Co mam zrobić z ramionami?

Nigdy nie zostawiano mnie samej. Armia krewnych i przyjaciół strzegła mnie w dzień i w nocy. Natasha pilnowała mnie i nie odstępowała ani na krok przez całe pół roku. Ramani doprowadzała mnie do szału pukaniem do drzwi łazienki, gdy tylko uznała, że tkwię tam podejrzanie długo, ale moje ciało było w takim skurczu, że musiałam siedzieć na sedesie wieki przy odkręconych wszystkich kranach, żeby tylko się wysuszyć. Nocami wyganiałam Keshini z sypialni, zarzucając jej, że za głośno chrapie, ona jednak wzięła sześć miesięcy wolnego w firmie w Stanach, żeby przy mnie czuwać. Amrita próbowała mnie rozgrzać i znaleźć mi jakąś rozrywkę – po to rzuciła pracę i zostawiła dzieci pod cudzą opieką. Gunna i Darini namawiały mnie, żebym wyszła z pokoju choć na kilka metrów. Ruri kładła się koło mnie w łóżku, by razem ze mną płakać.

Czasem człapałam do kuchni, licząc na to, że może zdołam podciąć sobie żyły, ale zawsze ktoś ukradkiem szedł za mną. Zresztą pochowali wszystkie noże. Wieczorami ciotka dawała mi tabletkę nasenną, wydzieloną, tylko jedną. Próbowałam zrobić zapas, dokładając do niego również znalezione środki przeciwbólowe, ale Natasha odkryła mój magazyn i skrzyczała mnie tak, jakbym była złodziejem rowerów. Codziennie myślałam o tym, żeby rzucić się pod autobus, jeden z tych, które głośno przejeżdżały przed domem. Natasha jednak stanowczo powiedziała, że jeśli mi się nie uda i skończę sparaliżowana, to będzie zostawiać mnie na całe dni samą na wózku w ogrodzie.

Upierałam się, że nie chcę już nigdy widzieć przyjaciół z Londynu ani rodziny Steve'a. To życie się skończyło. Oni jednak sami się zjawili.

Gdy nasz przyjaciel Lester wszedł do mojego zaciemnionego pokoju i powiedział, jak bardzo się cieszy, że żyję, wydarłam się na niego. Jakby nie rozumiał, głupek, że chcę umrzeć! Lester był u nas w Kolombo zaledwie kilka miesięcy wcześniej, latem. Chodziliśmy na mecze krykieta, gdzie zadziwił Vika piciem piwa bez umiaru. Wybraliśmy się do dżungli i tam z kolei Malli budził go codziennie bardzo wcześnie rano, żeby iść na spacer. I teraz Lester jest tu dlatego, że oni wszyscy nie żyją?

Wpadłam w kompletne oszołomienie, gdy w moim pokoju pojawiła się szlochająca Anita. Pożegnałyśmy się wiele tygodni temu po szkolnym koncercie z okazji Bożego Narodzenia, krzycząc na dzieci, żeby nie przydeptywały kostiumów, kiedy biegły drogą. A teraz? Anita powtarzała mi, że muszę żyć, że beze mnie nie uda jej się wychować dziewczynkę. Odpierdol się, pomyślałam.

Raz po raz przyjeżdżał też ktoś z rodziny Steve'a. Kiedy jego szwagier Chris zaczął opowiadać mi o nabożeństwie żałobnym, które planują w Londynie, poprosiłam, żeby dał spokój. Nabożeństwo żałobne? Nieziemski pomysł. On jednak obstawał przy tym i pytał, jaką muzykę wybrać. Delikatnie próbował mnie nakłonić do pomocy, wspominając słowa mojej teściowej, która powiedziała: „Kiedy Stephen był chłopcem, lubił taki zespół o nazwie Slade”. Wzięłam się w garść i powiedziałam Chrisowi, żeby zagrać coś Coltrane'a. Już samo to słowo wywołało u mnie skurcz serca. Zobaczyłam Steve'a w kuchni, jak opieka rybę, słuchając *A Love Supreme*.

Siostra Steve'a, Beverley, siedziała na moim łóżku i ocierała łzy. Rankiem dwudziestego szóstego grudnia w Londynie zbudziła się, płacząc. I nie była w stanie zrozumieć przyczyny, bo to był przecież dzień po Bożym Narodzeniu, które rodzina jak zwykle spędziła razem, wesoło i hałaśliwie. Płakała, zanim jeszcze ktoś zatelefonował, żeby przekazać jej wiadomość o wielkiej fali na Sri Lance. Gdy mi to opowiadała, mogłam myśleć tylko o tym, że jej podbródek, podbródek, właśnie podbródek ma ten sam kształt co u Steve'a.

Nie chciałam wyjść z tego pokoju. Z łóżka wstawałam jedynie wtedy, gdy szłam umyć zęby. Myłam je często i starannie. Człapałam do łazienki co kilka godzin i pieczołowicie wyciskałam pastę na szczoteczkę. Szczotkowałam mocno. Bolała mnie ręka, ale dalej pracowałam na cały regulator, jak powiedziałby Steve. Starłam się nie myśleć o nim, gdy spoglądałam w lustro i widziałam swoje usta w pianie. Podobał mi się odgłos tego gorączkowego szczotkowania, ale nie znosiłam pasty do zębów, która smakowała goździkami i budziła u mnie odruch wymiotny.

Postanowiłam nie opuszczać domu, nigdy. Jak mogłabym wyjść na zewnątrz? Tam, gdzie bawiłam się z chłopcami? Jak mogłabym chodzić, nie trzymając ich przy sobie, po jednym z każdej strony?

Tyle tych pierwszych razów. Pierwszy raz zesłam na dół w domu ciotki, przerażona świadomością, że nie zobaczę sterty butów przy frontowych drzwiach, jaka była u nas. Pierwszy raz wyszłam na ulicę Kolombo i nie mogłam znieść widoku dziecka ani piłki. Pierwszy raz odwiedziłam przyjaciółkę i omal się nie pochorowałam. Steve i ja byliśmy u niej zaledwie kilka tygodni wcześniej. Na ścianie zostały jeszcze odciski palców moich dzieci. Pierwszy raz zobaczyłam pieniądze, a byłam wtedy z Davidem, moim przyjacielem, który chciał kupić grzebień, bo swojego nie wziął z Anglii. Zadrżałam, gdy zerknęłam na sturupiowy banknot w jego dłoni. Ostatnio, gdy widziałam podobny, miałam swój świat.

Był też pierwszy raz, gdy zobaczyłam muchodławkę rajską. Pomyślałam, że nie powinnam była pozwolić przyjacielom na odsłonięcie okien w pokoju. W mroku byłam o wiele bezpieczniejsza. Teraz słońce kłuło mnie w oczy, a znajomy ptak puszył pióra na gałęziach tamaryndowca. Gdy tylko go ujrzałam, odwróciłam głowę. I co to się stało? – pomyślałam. Zobaczyłam ptaka. Zobaczyłam muchodławkę, chociaż wszystkie ptaki świata powinny być martwe.

Na pierwszy widok zdjęcia moich chłopców byłam nieprzygotowana. Szukałam w Internecie sposobu, w jaki mogłabym się zabić, i jedno kliknięcie, jak to często bywa, prowadziło do następnego. Nagle londyński „Evening Standard” krzykliwymi literami oznajmił mi: „Patrzyłam, jak cała moja rodzina ginie w odmętach”, a obok znajdowało się duże zdjęcie Vika i Mala. To zdjęcie zostało zrobione w szkole, Malli miał czerwoną koszulę i dumną minę. Znajomy wizerunek całkiem mnie przytłoczył. Od czasu wielkiej fali nie mogłam skupić wyobraźni na ich twarzach, bo dla mojego umysłu byłoby to nie do zniesienia. Rzuciłam się na łóżko i przycisnęłam poduszkę do oczu. I ten tytuł... „Patrzyłam”...? Nie rozmawiałam z żadnym dziennikarzem, prawie nie wychodziłam z tego pokoju. Jak oni śmieli? Byłam wściekła. Gdyby Steve był tutaj, gdyby był Steve, powiedziałabym mu, żeby któregoś wieczoru odszukał tych pismaków z „Evening Standard” i sprzął ich na kwaśne jabłko.

Steve i Malli zostali zidentyfikowani cztery miesiące po wielkiej fali. Przez cały ten czas powtarzałam sobie, że zaginęli w głębinach oceanu. Znikli. Jak za dotknięciem różdżki przestali istnieć. Przez to ich śmierć nadal była nierealna, miała cechy snu, tak jak wielka fala. Przy końcu kwietnia powiedziano mi jednak, że zidentyfikowano ich na podstawie badania DNA. Było to kilka dni przed urodzinami Steve’a. Skończyłby czterdzieści jeden lat.

Nie wiedziałam wtedy, że ich ciała ekshumowano w lutym z masowego grobu. Nie wiedziałam, że badania DNA odbywały się w jakimś laboratorium w Austrii. Gdy powiedziano mi, że ich znaleziono, rozbijałam rzeczy na drobne kawałki. Nie chciałam, by teraz zostali znalezieni. Nie jako martwi ludzie. Nie chciałam, żeby leżeli w trumnach.

Jeszcze w tym roku, tyle że później, poszłam z Davidem na ten masowy grób. Znajdował się na zaniedbanej działce przy buddyjskiej świątyni w Kirindze, kilka kilometrów od Yali. Dzieciaki ze wsi przybiegły i powiedziały mi więcej, niż chciałam usłyszeć.

– Ciała przywieziono nocą traktorami i buldożerami – mówiły. – Niektóre były ubrane,

inne nie. Całkiem bez ubrań. Ludzie we wsi bali się, ale kapłan w świątyni pozwolił je pochować. Potem któregoś dnia przyszła policja, niektórzy policjanci biali, i rozkopali grób. Nie pozwolili patrzeć, ale nie posłuchaliśmy.

Nie powiedziałam im, że nie chcę tego słyszeć. Nie odeszłam. Po prostu słuchałam. Mówili o Stevie i Malu. Steve i Mal.

– Moja matka postradała zmysły, kiedy zobaczyła te martwe ciała – powiedział jeden z chłopców. – Potem była dla niej *thovila* i nawet przyszedł *kattadiya*, czarownik. Musieliśmy mu zapłacić dwadzieścia pięć tysięcy rupii. Ale nie wyzdrowiała. Wciąż jest szalona.

Wyjechaliśmy z Londynu wieczorem ósmego grudnia. Tego dnia i ja, i Steve pracowaliśmy w domu. W południe pojechaliśmy na Muswell Hill zrobić zakupy. Byliśmy w sklepie muzycznym, bo Vik potrzebował książkę do egzaminu z fortepianu, który miał zdawać w kwietniu. Kupiliśmy kompakt Keitha Jarretta *The Melody at Night, With You*. Poszliśmy na ciasto czekoladowe do Oliver's Deli. Wpadliśmy do M&S, bo w weekend policzono nam tam za dużo za wino – kupiliśmy trzy butelki, a zapłaciliśmy za pięć. Kasjerka spytała, czy chcemy zwrot pieniędzy, czy wolimy bon kredytowy. Steve powiedział, że może być bon, bo często tam przychodzimy. Schował go do portfela.

Poprzedniego wieczoru odbył się w szkole koncert bożonarodzeniowy. *Opowieść wigilijna*. Vikram stał z tyłu i śpiewał z obojętną miną, jak zwykle. Malli siedział na widowni, na kolanach u Steve'a. Gdy zabrzmiało *White Christmas*, śpiewał razem ze wszystkimi. Patrzył zafascynowany, jak na scenę pada sztuczny śnieg. Malli uwielbiał wszystko, co miało związek ze śniegiem. Postanowiłam wtedy, że po powrocie z Kolombo zabiorę go do Peacock Theatre na przedstawienie *Bałwanka*. Widziałam, jak otwierał buzię z zachwytem, gdy latającego chłopca z bałwankiem widział w telewizji. Następnego ranka zamówiłam cztery bilety. Na piątego stycznia.

Chłopcami zajmowałam się bez przerwy. I teraz będę musiała z tego wszystkiego zrezygnować? Przez długie miesiące po wielkiej fali zaciskałam dłonie na krawędziach łóżka, gdy od tej myśli zaczynało mi się kręcić w głowie. Jak jednak przestać poszukiwać z Vikiem w Internecie informacji na temat żółwi z Galapagos? Jak przestać z nim rozmawiać o latających dinozaurach? Jak zrezygnować z marzeń Mallego o zostaniu tancerzem? Albo kimś, kto przygotowuje wielkie widowiska? Dopiero co myślałam o tym, że muszę się przyłożyć, by porządnie nauczyć go czytać i pisać. Kartka świąteczna, którą zrobił dla nas w szkole, miała napis: „Dla Mamy i Dady”.

Mama. Słyszę ich. „To nieprawda, mamoo...”. „Za chwilę, mamoo...”. „Ojej, nie wyłączaj telewizora, mamoo...”. „Bolą mnie nogi, mamoo”. Chciałam raz na zawsze wydrapać to słowo „mama”.

Cierpiałam, pragnąc, by przyszli do mnie dzielić tę bliskość. Wkrótce się zabiję. Tylko jak będę do tej pory łagodzić ból?

Muszę jakoś ich od siebie odłączyć. Ale jak?

Muszę skończyć ze wspomnianiem. Muszę trzymać ich w odległym miejscu. Im więcej wspominałam, tym bardziej cierpię. Takie myśli tłukły mi się po głowie. Przestałam więc o nich mówić, nie wymieniałam ich imion, odsunęłam od siebie wszystkie historie na ich

temat. Niech oni i nasze życie staną się tak samo nierealni jak ta wielka fala. Ale i bez tego byli już wtedy zamgleni i dalecy. To stało się w ciągu pierwszych dni po wielkiej fali. Nie mogłam odnaleźć ich twarzy, były rozedrgane jak krajobraz w upale. Nawet mimo odrętwienia wiedziałam, że szczegóły ich wyglądu odpadają ode mnie jak okruchy. Ilekroć jednak zaczynały się wyłaniać, wpadałam w panikę. Muszę być ostrożniejsza, powiedziałam sobie. Nie wolno mi ich do siebie dopuszczać.

Nie zawsze udawało mi się wytrwać w tym postanowieniu. Łapałam się na tym, że odruchowo rysuję palcem kontury ciał chłopców na swoim łóżku, przypominam sobie ich wielkość i kształty. Te wgniecenia były takie realne, niemal ciepłe... Chciałam zachować ich kształt na prześcieradłach na stałe.

Wiedziałam jednak, że muszę z tym zerwać. Muszę się od nich odwrócić.

Nie chcę, żebym piła alkohol. Co za bezczelność! – wściekam się. I to, patrzcie, patrzcie, moi krewni, którzy ciągle sięgają po następną szkocką. Przez lata, ilekroć moich rodziców i wujostwo zapraszano na bezalkoholową kolację, powodowało to rodzinny kryzys. Narzekania zaczynały się z wielotygodniowym wyprzedzeniem. Och, uciążliwa sprawa takie przyjęcia. Zawsze starali się spotkać wcześniej i wlać w siebie, ile się da. A teraz ci sami krewni próbują powstrzymać mnie od picia...

Przez pierwsze tygodnie co wieczór ktoś próbował skusić mnie kieliszkiem wina. Bez przesady, tylko jeden. Albo brandy. To cię odpręży, pomoże ci zasnąć. Odmawiałam. Obawiałam się, że brandy zaćmi świadomość tego, co się stało. A ja musiałam być czujna. Bo co by było, gdybym choć przez jedną chwilę pomyślała, że nic się nie zmieniło, że nikt nie zginął?

A potem nagle wieczór w wieczór byłam pijana. Pół butelki wódki jeszcze przed osiemnastą. Nieważne, że paliło mnie w żołądku. Potem wino, whisky, wszystko, na czym tylko mogłam położyć rękę w domu. Piłam prosto z butelki, szkoda mi było czasu na szukanie kieliszków. Wtedy wszyscy wpadli w panikę. Zamykali alkohol (kiedy już sami wypili swoją porcję). Ciotka chowała klucz. Nasza przyjaciółka Sarah przyjechała z Londynu i wylała do zlewu całe butelki likieru Baileys. Ty krowo, pomyślałam. Taka strata! Wściekłam się i próbowałam pić płyn po goleniu albo perfumy, w tym też jest alkohol, prawda? Fúj, co za smak, rzucałam butelkami o ściany. Każdego wieczoru miałam nadzieję, że umrę od tego picia bez opamiętania. Poza tym alkohol zmniejszał mój lęk przed snem. Wiedziałam, że następnego ranka muszę się zbudzić i znów przyswoić sobie całą prawdę. Bywało, że na balkonie pociągałam z butelki przez całą noc, bo wtedy panowała cisza, jeśli nie liczyć trzepotu ciem. Zanosłam błagania w mrok, żeby mi ich zwrócono. Pytałam, gdzie są. Chowałam się do pokoju, gdy o brzasku zaczynały śpiewać ptaki. Przed ptakami musiałam uciec, inaczej musiałabym powiedzieć im, aby się darły coraz głośniej... Aby wykrzyczały mój ból.

Jeśli piłam przez całą noc, nie musiałam śnić. A każdej nocy miałam sny o uciekaniu, o czmychaniu przed czymś – raz była to woda, innym razem masa błotna, a jeszcze innym coś nieokreślonego. W tych snach zawsze ktoś z moich ginął. Potem się budziłam i musiałam stawić czoło realnemu koszmarowi.

Piłam alkohol, ale również nadal brałam tabletki. Chociaż mój lek nasenny był tylko na receptę, Kolombo ma swoje prawa. Mogłam więc iść do pobliskiej apteki bez żadnej recepty i dobrze się zaopatrzyć – w zolpidem, halcion, seroquel. Po wieczorze spędzonym

na picciu połykałam dwie tabletki, potem jeszcze dwie, jeszcze cztery, znowu cztery i znowu dwie w krótkich odstępach. A do tego wypijałam kubek dzinu i brałam kolejną tabletkę, jeśli byłam w stanie wyciągnąć ramię, by po nią sięgnąć. Następnego ranka nie mogłam się ruszyć. Byłam bliska omdlenia. Miałam dreszcze, spadało mi ciśnienie. Moja przyjaciółka Keshini siedziała na łóżku, załamując ręce, i surowo pouczała mnie, że źle korzystam ze środków tłumiących czynności ośrodkowego układu nerwowego i nie mogę tak dalej robić, bo zatrzyma mi się praca serca. Patrzyłam na nią obojętnie. Oho, zmobilizowała całą wiedzę fachową przeciwko mnie, pomyślałam.

Podobało mi się mieszanie alkoholu z lekami. Miałam po tym halucynacje. Obserwowałam tłuste czarne robaki wylazące z klimatyzacji i pełzające po ścianie. Były ich setki, pełzły powoli. Kiedy siedziałam na balkonie, zobaczyłam mężczyznę w białym garniturze huśtającego się na gałęzi. Zachichotałam i pokazałam go przyjacielom. Udawali, że nie są przestraszeni. To dobrze. Czułam się szalona i uważałam, że tak powinno być. Mój świat przepadł w jednej chwili, więc potrzebowałam szaleństwa.

Pół pijana, pół naćpana szukałam w Internecie obrazów wielkiej fali, scen zniszczenia, martwych ciał, kostnic, masowych grobów. Im większa makabra, tym lepiej. Gapiłam się na to godzinami. Chciałam teraz uczynić to wszystko realnym, ale aby chociaż spróbować, musiałam być pijana. Było też we mnie odrętwienie wywołane nie piciem alkoholu, lecz głębiej tkwiącą martwotą, która, jak mi się zdawało, chroniła mnie przed popadnięciem w prawdziwy obłąd. Chciałam go tymi obrazami wywołać. Szukałam ich ciągle z nadzieją, że coś jednak mnie do niego doprowadzi.

Dalej sprawdzałam w wyszukiwarce, jak mogłabym się zabić. Musiałam się dowiedzieć, jak zrobić to skutecznie, nie mogłam tego spać. Ilekroć logowałam się do systemu, myślałam: hasło jest jedyną częścią mojego życia, która się nie zmieniła. Pamiętałam hasło Steve'a, chociaż wolałabym je zapomnieć. Zawsze brzmiało „*rosebud*” i coś jeszcze. *Rosebud*, różany pąk.

Czasem w stanie zamulenia proszkami panikowałam z powodu czegoś, co nagle wydawało mi się bardzo ważne. Na przykład książki z biblioteki. „Co ja zrobię? Nie oddaliśmy książek pożyczonych przez dzieci”, powtarzałam i chodziłam lub zataczałam się tam i z powrotem po korytarzu. Korzystaliśmy z biblioteki w południowym Londynie. A ja przecież nigdy nie wrócę do Londynu. Nie mam jak oddać tych książek... Czasem z upodobaniem czepiałam się czegoś takiego, bo wtedy zajmowało mnie zwykłe strapienie.

Przyjaciele zabierali mnie na krótkie wycieczki poza Kolombo z nadzieją, że trochę

mnie to uspokoi. Nie zawsze tak się działo. To właśnie po mnóstwie wódki i tabletek wymusiłam któregoś wieczoru na Lesterze wielokilometrowy spacer mrocznym, opustoszałym brzegiem morza. Znałam miejsce, gdzie żółwie wychodziły z wody, by składać jaja, i chciałam mu je pokazać. Przez ponad godzinę plątały mi się nogi – winiłam o to ukształtowanie terenu, niewielkie wydmy – i nie przyznałam się, że moim zdaniem zgubiliśmy drogę. Lester widział mnie wcześniej tego wieczoru z butelką wódki, więc się zaniepokoił. Poprzedniego wieczoru wypłam tak dużo, że kilka razy wymiotowałam i urwał mi się film, a on siedział przy moim łóżku do rana, bo bał się, czy nie udławię się przez sen. Obawiał się, że dzisiaj zrobię to samo.

– Co my tutaj robimy? – powtarzał. – W pobliżu nikogo nie ma, jest za ciemno.

W końcu natknęliśmy się na samicę żółwia zielonego, która złożyła miękkie jaja w wielkiej dziurze wygrzebanej w piachu. Nie byliśmy już sami. Jakaś para niemieckich turystów też to obserwowała. Podczołgałam się cicho do żółwicy, zajrzałam do dziury, wzięłam jedno jajko w dłoń. Było ciepłe. Pomyślałam, że to magia. Kazałam Lesterowi spojrzeć, ale on miał dosyć.

– Jest piątkowy wieczór – burknął. – Mógłbym być w Londynie, siedzieć w pubie. Co ja robię na plaży na końcu świata? Czemu razem z jakimiś Niemcami zaglądam żółwiowi w dupę?

Rozdział drugi



SRI LANKA, LIPIEC–GRUDZIEŃ 2005

Ktoś usunął mosiężną tabliczkę z nazwiskiem mojego ojca z szarej frontowej ściany. Litery były na niej wyryte czarną kursywą. Siedziałam w samochodzie obok mojej przyjaciółki Mary-Anne i wpatrywałam się w pozostałe w ścianie dziury po śrubach. To był przez jakieś trzydzieści pięć lat dom moich rodziców w Kolombo, a zarazem mój dom rodzinny. Moi synowie mieszkali tu podczas pobytów na Sri Lance. Radośni i podnieceni wyczekiwali kolejnych odwiedzin w nim każdego lata i na Boże Narodzenie. Vik stawiał tutaj swoje pierwsze kroki, a Malli, kiedy był młodszy, nazwał ten dom Sri Lanką. W zeszłym roku, gdy i Steve, i ja korzystaliśmy w pracy z długoterminowych urlopów i spędziliśmy tutaj dziewięć miesięcy, aż do września, ten dom stał się ośrodkiem naszego życia. Tu właśnie mieliśmy wrócić po południu dwudziestego szóstego grudnia. Moja matka przekazała już Saroi, naszej kucharce, kolacyjne menu. Ale razem z tatą nigdy już tu się nie pojawiła. Teraz, sześć miesięcy po wielkiej fali, odważyłam się wreszcie zatrzymać wzrok na tym domu.

Siedząc w zaparkowanym od frontu samochodzie Mary-Anne, nie umiałam pokonać nieufności. Nie chciałam się rozglądać, bałam się, że zobaczę zbyt wiele. Mimo to zerkałam.

Jeśli nie liczyć bezimiennej teraz ściany, nic przed domem się nie zmieniło. Wysoka żeliwna brama wciąż miała spiczaste zakończenia, odstraszające złodziei. Balustrada na balkonie była biała i bezpieczna. Mangowiec, pod którym parkowałyśmy, był tym samym drzewem, które kwitnąc, wywoływało u mnie alergiczną reakcję, tym niezdrowym drzewem z ciemnymi plamami na liściach. Na podjeździe zauważyłam trochę drobnych czarnych kamieni i wtedy sobie przypominałam, że Vik zonglował nimi, kiedy czekał tutaj na furgonetkę New Lanka Caterers, z której sprzedawano *kimbula paan*, ocukrzona bułeczki w kształcie krokodyla.

Było wilgotne, duszne popołudnie, więc Mary-Anne opuściła szyby. Na pobliskim słupie telefonicznym śpiewał bilbil. Przypominałam sobie parę tych ptaków z czerwonymi kuperkami, mieszkających w lampie zawieszanej w wiacie samochodowej. W szklanym abażurze budowały gniazdo z wyschniętych gałązek oraz liści i miały tam nawet zieloną słomkę do napojów. Chłopcy byli urzeczeni, gdy wykluły się ruchliwe pisklęta, wciąż jeszcze ze śladami bladoczerwonej skorupki jaja na ciele. Wiele razy obserwowali pierwsze próby lotu z tej lampy i płoszyli tłumy wron, które przysiadły na murze i wyczekiwały, aż nieopierzone pisklę spadnie przypadkiem na ziemię. Miałam przed

oczami obraz, jak we dwóch stawiają pod lampą krzesło, żeby lepiej widzieć, i spychają się wzajemnie z niego. „Teraz moja kolej. Ja chcę zobaczyć małego ptaszka. Złaż”.

W domu zadzwonił telefon. Wywołał u mnie dreszcz. Sygnał dochodził z gabinetu ojca, bezpośrednio zza ściany, i brzmiał dokładnie tak jak jego aparat. Nikt nie odebrał. Ale ja usłyszałam ojca, jak odsuwa krzesło, żeby iść i powiedzieć matce, że znowu telefonuje jej siostra. I jak otwiera drzwi gabinetu. Na tych drzwiach zawsze wisiał pęk kluczy. Przy otwieraniu i zamykaniu obijały się o szybę. Słyszałam ich pobrzękiwanie.

W ciągu minionych miesięcy nie skupiałam się na śmierci rodziców. Odsuwałam myśli o nich, bez reszty oszołomiona stratą chłopców i Steve'a. Teraz, gdy siedziałam przed domem, moi rodzice powoli zaczęli się wyłaniać.

Przez gałęzie mangowca zobaczyłam, że okna sypialni na górze są zamknięte. To była moja sypialnia. Potem korzystali z niej Vik i Malli, kiedy przyjeżdżaliśmy w odwiedziny. Położenie ich do łóżek w tym pokoju zajmowało wieki. Ciągłe wołali moją mamę i prosili o jeszcze jeden napój gazowany, a ona chętnie spełniała ich prośby. Kłócili się, próbując osłonić zbyt małą moskitierą dwa przylegające do siebie łóżka, i toczyli spory o to, jak ciemno powinno być w pokoju. Vik chciał trochę światła, a Malli nie, mówił więc: „Nie bój się, Vik. To dobrze, kiedy jest naprawdę czarno. Wtedy lepiej widzisz swoje sny”.

Oderwałam wzrok od okna. Zatrzymałam go na pustym miejscu, gdzie na ścianie zawsze wisiała tabliczka. Oni na pewno jeszcze są w tamtym pokoju. Niemożliwe, żeby ich nie było.

Nie weszłam do środka. Mary-Anne ścisnęła moją dłoń i włączyła silnik, żeby cofnąć. A ja przypomniałam sobie, jak ostatniego ranka naszego pobytu tutaj, w dniu wyjazdu do Yali, zbudziłam się przed chłopcami i zapakowałam ich świąteczne prezenty do dwóch czerwonych toreb. Vik napisał na nich swoje imię czarnym markerem, takim niezmywalnym.

Wróciłam do domu wieczorem, bo za nic nie weszłabym do środka przy świetle dziennym. Wysoka metalowa brama była zatrzaśnięta, nie uchylona jak dawniej, wszystkie pokoje ciemne, okna pozamykane. Dom wydawał się wyciszony, jakby wstrząsał nim dreszcz niedowierzania. Samotne światło paliło się na balkonie, drugie pod wiatą samochodową. Zerknęłam szybko na lampę pod wiatą. Zobaczyłam resztki gniazda, ale ptaków nie było. Duże frontowe drzwi, dudniąc, przesunęły się na rolkach. Weszłam w sandałach. Nie zrzuciłam ich z nóg zgodnie z przyzwyczajeniem przy wysokim lustrze w ramie z brązu, wiszącym pod schodami.

Gdy stanęłam we frontowych drzwiach, uderzyła mnie niesamowita cisza. Wieczorami próbowałam tu wejść wiele razy, ale nigdy nie zdobyłam się na przekroczenie bramy. Do diabła z tym! Kopnęłam w metalową konstrukcję, bo przez wszystkie wypite dziny z tonikiem miałam mnóstwo siły w nogach. Do diabła z tym domem! Do diabła ze wszystkim!

Dom, do którego weszłam, był odmieniony, pusty i przestronny. Porzucony. Pozostało tylko kilka przestawionych mebli, całkiem nie na miejscu. Podłogi ogołoczone, bez dywanów, bez chodników, które tłumiłyby odgłos moich kroków. Ściany lśniące od nowej farby, która zamaskowała nawet ślady po lustrach, obrazach i starych biało-niebieskich porcelanowych talerzach.

Nie chciałam tej nagości. Tęskniłam za takim domem, jaki zostawiliśmy. Chciałam usiąść na wszystkich kanapach po kolei, na każdym krześle, na którym siedzieli moi, z nadzieją że wchłonę trochę ciepła. Chciałam, żeby w szafach było pełno ich ubrań, żeby w naszej leżała bezładna piramida bielizny chłopców, a w tej ojca równo poskładane białe chustki do nosa. Żałowałam, że nie mogę wziąć ze stolika przy łóżku książki, którą czytał Vik, i otworzyć jej na założonej stronie, tam, gdzie przerwał. Chciałam wziąć z tego stolika również zielony środek na owady w kulce, pewnie wyschnięty, bo zostawiliśmy zdjętą zakrętkę. Nic z tego jednak nie było możliwe. Mój brat, załamany i oszołomiony, polecił wysprzątać dom i wywieźć rzeczy, zrobić malowanie i lakierowanie, a wszystko w ciągu dwóch miesięcy po wielkiej fali. Być może dla niego był to praktyczny sposób na narzucenie porządku temu, czego nie da się zgłębić. Ja w tym czasie leżałam na łóżku u ciotki i nie mogłam nawet rozważać powrotu do domu rodziców. Na samą myśl o tym zaczynałam się trząść.

Teraz, w sterylnym bezruchu pachnącym lakierem i farbą, polowałam na nasze ślady. Choćby resztki ołówka z obgryzionym końcem, zgnieciony paragon ze sklepu spożywczego,

włos przesuwający się po podłodze, długopisowy bazgroł na ścianie, kawałek widelca na stole... Ale niczego takiego nie było. Żadnego wyszczerbienia, żadnych odprysków farby na poręczy schodów w miejscu, gdzie zbyt mocno uderzyła piłka. Znikły kropelki karmazynowego lakieru do paznokci na białym stoliku w sypialni rodziców. Plamy z czekolady na kanapie zostały wywabione. Niewiarygodne... Przecież jakaś cząsteczka naszego życia musiała się tutaj ukryć, przetrwać gdzieś w tym bezruchu...

I nagle coś zobaczyłam. Wycieraczkę. Małą kwadratową wycieraczkę z czarnej gumy z niewielkimi okrągłymi wypustkami. Zupełnie niepozorną. Skamieniałam. Vik czyścił na niej ubłocone nogi po powrocie z dworu. Właśnie na tej wycieracze. Teraz leżała w środku, rzucona na bok przy schodach, zamiast przykrywać stopień prowadzący do ogrodu. Nikt nie zadał sobie trudu, żeby ją wyrzucić, i nikt się nie wysilił, żeby ją wyczyścić. Przerwy między wypustkami były gdzieś tam zapchane rozpadającymi się bryłkami darni, ziarnami piasku, resztkami martwego żuka, który znużył mrówki. Czy był to ślad stopy Vikrama? Czy ta drobina brudu pochodziła z obcasa jego buta? I nagle się okazało, że ta wycieraczka, a wraz z nią cały dom, wcale nie jest bez życia, że niepostrzeżenie pulsuje, nieuchwytnie sygnalizuje obecność bliskich. Prawie słyszałam, jak szeleści odwracana strona książki i cicho trzeszczy rattanowy fotel, jak chrzęści w zębach prażony orzeszek nerkowca, a inny stuka o podłogę, jak kostka lodu uderza w ściankę szklanki i dźwięczą szczypce odłożone na stół.

Weszłam w czeluść, która była gabinetem mojego ojca. Nie było już tam masywnego biurka zasłanego stertami prawniczych dokumentów, niebieskich i beżowych teczek wystrzępionych na brzegach, czasem związanych kawałkiem tasiemki. Opustoszały drewniane półki, zajmujące na dwóch ścianach przestrzeń od podłogi do sufitu, a te u góry nie uginały się już pod ciężarem zbyt wielu książek. Nad biurkiem nie wisały stare mapy Sri Lanki. Jedna z nich, szesnastowieczna, pokazywała wyspę jako pięciokąt, trochę jak krzywy dom z rysunku dziecka, a pośrodku, między kilkoma górami i rzekami kartograf wyrzył barwnego słonia z ozdobnymi łańcuszkami powyżej stóp, pewnie w celu zrekompensowania braku geograficznych szczegółów.

Gdy stałam w mroku tego pokoju, mimo woli przemykały mi przed oczami strzępki ostatnich dni: Malli przywiązujący wiązki baloników do drzew plumerii na tyłach ogrodu, bo zaprosiliśmy przyjaciół na kolację, a co to za przyjęcie bez baloników? Moja matka ucząca Vikrama grać *Cichą noc* na fortepianie i uroczo uśmiechnięty Vikram z dołkami w policzkach, zmieniający akordy i obficie używający pedału, przez co melodia staje się

nie do poznania... Steve w wieczór przyjęcia w koszuli koloru przypalonej pomarańczy, kupionej przeze mnie wcześniej tego dnia, odrobinę bardziej jaskrawej, niżby sam wybrał. Wszystkiemu teraz wyostają się kontury jedynie dlatego, że znalazłam się w tych ścianach, rozmazany film w mojej głowie na chwilę staje się wyraźny. Wyglądam przez okno i widzę lipę w ogrodzie przed domem. Mocny zapach jej liści poszarpanych na drobne kawałki znam doskonale. Przestrzeń za oknem wypełnia swojski owadzi zgiełk, świerszcze pocierają skrzydłem o skrzydło, cykady wprawiają w wibrację membranę w odwłoku. Kilka chwil uspokojenia. Dom.

Na górze, w naszej sypialni dwa podwójne łóżka, nagie, bez pościeli i poduszek. Szafa pusta. Przesuwam palcem po półkach i nie znajduję kurzu. W kącie szuflady muszelki, małe porcelanki, które zbieraliśmy z Mallim na brzegu, ciesząc palce ich perłową gładkością. Malli nazywał je ulubienicami, moimi i jego. Błądząc w oszołomieniu po pokojach, zerkam również na kapliczkę u szczytu schodów. Na podłodze, poniżej posążków Buddy i Ganeszy, stoją słupki do krykieta, najwyższe, jakie miał Vikram. Steve wbijał je w ziemię kijem pośrodku trawiastego boiska Ministerstwa Sportu, gdy co wieczór chodził grać. Biorę do ręki jeden, zatrzymuję wzrok na jego zaostrowym końcu, czarnym od ziemi, prawie jakby jeszcze lgnęła do drewna swą wilgocią. Zabieram go do naszej sypialni. Dźgam materac ostrym, ubłoconym końcem, potem jeszcze raz i jeszcze, coraz mocniej, póki nie pojawia się rozdarcie, i znowu, żeby pogłębić tę wyrwę, i dalej, w innym miejscu, żeby zrobić następną, a w końcu żeby wszystkie połączyć. Cała nasza czwórka spała tutaj niczego nieświadoma. To nas nauczy.

Pył, gruzy, odłamki szkła. Tak wyglądał hotel. Spłaszczyl się. Nie było ścian. Zdawało się, że zostały wycięte spomiędzy pięt. Pozostały tylko podłogi z glinianymi płytkami, wielkie ślady pokoi i wąskie korytarze ciągnące się we wszystkie strony. Wszędzie leżały zwalone drzewa – las dookoła się rozpląnął. Niczym po pożarze wszystkie pnie były zaczernione. Tabliczka wgnieciona w ziemię oznajmiała: „Yala Safari Beach Hotel”. Potykając się, chodziłam po tym okaleczonym świecie. Bolesnie uderzyłam się w duży palec u nogi.

To był mój pierwszy powrót do Yali. Pojechałam tam z ojcem Steve’a, Peterem, i jego siostrą Jane. Podczas trzystukilometrowej podróży z Kolombo musieliśmy często przystawać, żebyśmy mogła wymiotować. Tego dnia wiał porywisty wiatr, ciskał nam piaskiem w twarz. Był jednak niesamowicie cichy. Nie szeleścił liśćmi i nie kołysał drzewami. W południe nie sposób było znaleźć schronienia przed palącym słońcem. Bieliki białobrzuche, które tak pasjonowały Vika, wciąż mieszkaly na tym pustkowiu. Latały nisko, znienacka rzucając cienie na obnażoną ziemię. Bieliki bez Vika. Nie spojrzałam do góry. Nie mogłam nadać temu realności. Takie rumowisko... Co to ma wspólnego ze mną? – myślałam. Czy właśnie w czymś takim byłam ostatni raz z rodziną? Czy właśnie tutaj chłodziło nam się w wiaderku wino w Wigilię Bożego Narodzenia? Nie mogłam w to uwierzyć, bo nie mogłam pogodzić się z ich odejściem.

Tymczasem poznałam pewne fakty, więc recytowałam je w myśli. Fala miała tutaj ponad dziewięć metrów wysokości. Przetaczała się po ziemi z prędkością czterdziestu kilometrów na godzinę. Wdarła się na ponad trzy kilometry w głąb lądu, a potem cofnęła do oceanu. Wszystko to, co teraz widziałam dookoła, znalazło się pod wodą. Powtarzałam to sobie bez końca. I niczego nie rozumiałam.

Tak dobrze znałam geografię tego hotelu... a teraz nagle zostałam bez poczucia kierunku. Dokąd idę? Co chciałam tu zobaczyć? Wtedy przypomniałam sobie skałę. Na brzegu laguny przy hotelu wznosiła się potężna skała. Czarna, nieruchoma, często siadywaliśmy na niej o zmierzchu. Co roku na tej skale fotografowaliśmy chłopców. Tym razem musiałam przez dłuższy czas szukać, zanim ją zobaczyłam. Nie było jej tam, gdzie zwykle. Tkwiła pośrodku laguny. Czy to ona się przesunęła, czy laguna urosła? Nie umiałam powiedzieć. Ale wraz z odnalezieniem skały zyskałam punkt orientacyjny. Te betonowe filary podtrzymywały jadalnię. Tam, za górą strzaskanego betonu, był basen. Pokoje, w których mieszkaliśmy, znajdowały się w drugim końcu, niedaleko dżungli, więc nocami słyszeliśmy wykradające się z zarośli dziki.

Pokazałam ojcu i siostrze Steve'a te pokoje. Wpatrywali się milcząco w podłogę łazienki, w której był Steve, gdy pierwszy raz zobaczyłam falę. Odtworzyłam drogę, którą uciekaliśmy przed wodą. Pokazałam im podjazd, na którym wspięliśmy się do jeepa. Staliśmy przez chwilę na żwirze. Wzbiłam stopą obłok rudego pyłu.

Zauważyłam przedmioty zaklinowane wysoko w gałęziach dużej akacji, jednego z niewielu drzew, które nadal stały: klimatyzator, różowa moskitiera, tablica rejestracyjna samochodu... W śmietniku na ziemi zauważyłam zwinięty w rulon japoński magazyn, jadłospis, stłuczony kieliszek do wina, czarny pantofel na wysokim obcasie. Dziecięce czerwone majtki. Szybko przesunęłam wzrok dalej. Nie chciałam znaleźć niczego, co kiedyś należało do nas.

Nad ocean poszłam sama. Był czerwiec, kiedy przybój jest tu potężny. Zaczęłam się gapić. Fale, tak blisko. Stałam tam, prowokując morze, naszego zabójcę. Chodź tu. Dlaczego teraz się nie spiętrzysz? Wyżej, wyżej. Wchłoń mnie.

Gdy wróciłam do teścia, oglądał trzymaną w dłoni kartkę. Pokazał mi. Powiedział, że stał na wietrze i powiedział kilka słów w przestrzeń do Steve'a i chłopców. Wtedy coś zaszeleściło mu pod stopami. Nie zwrócił na to uwagi. To był tylko kawałek papieru, mocno zapiaszczony. Pomyślał, że to stara gazeta. Ale przy każdym podmuchu papier trzepotał. W końcu teść go wykopał. Zalaminowana kartka formatu A4. „Czy możliwe, żeby to było Steve'a?”, spytał.

Patrzyłam i patrzyłam. Ciśnienie mi rosło. Rzeczywiście. To była tylna część okładki z podsumowania badań napisanego przez Steve'a i jego kolegę. Raport poświęcony stosowaniu prób losowych w ocenie programów zatrudnienia, opublikowany w Londynie w 2003 roku. Numer ISSN wciąż był czytelny po lewej stronie na dole. Jeśli nie liczyć małego rozdarcia pośrodku, kartka była nietknięta. Przetrwiała wielką falę? I monsun w późniejszych miesiącach? I ten bezlitosny wiatr? I pojawiła się dokładnie przy stopie ojca Steve'a? I szeleściła? Próba losowa. Przypomniałam sobie liczne prace, które prowadził Steve. Te dwa słowa w otaczającym nas obłędzie brzmiały absurdalnie. Czy właśnie to Steve czytał, siedząc na sedesie, kiedy go zawołałam? Czy była to jedna z ostatnich rzeczy, na jakich położył ręce w życiu? Przycisnęłam kartkę do piersi i zapłakałam. Teść stał obok. „Płacz, kochanie, ile tylko chcesz”, powiedział.

Po znalezieniu kartki przestałam się bać przypadkowych spotkań z naszymi rzeczami na tym gruzowisku. Teraz chciałam odkryć ich więcej. Przez następne miesiące obsesyjnie wracałam do Yali. Przeczesałam ruiny hotelu. Szukałam, rozkopywałam, kaleczyłam

dłonie o zardzewiałe blachy. Rzuciłam się na każdy kawałek plastiku, żeby sprawdzić, czy nie pochodzi z naszych zabawek. Czy to jest skarpetka Mallego? Tak naprawdę chciałam odnaleźć Zwariowaną Wronę, wielką pacynkę z potarganymi czarnymi piórami, którą daliśmy Mallemu na Boże Narodzenie, dzień przed wielką falą. Ale się rozpromienił, kiedy odpakował ten prezent!

Od czasu do czasu szłam śladem fali w głąb lądu. W tym transie przedzierałam się przez powyrywane z korzeniami krzaki. Dżungla została pożarta przez wodę, która pokryła wielkie jej połącze bielutkim niczym kości piaskiem. Ignorując niebezpieczeństwo, wchodziłam głęboko w las, gdzie żyły dzikie zwierzęta – słonie, lamparty, niedźwiedzie. Okłamywałam moich niczego niepodajejrzejających przyjaciół z Londynu, którzy czasem ze mną przyjeżdżali. „Czy jesteś całkiem pewna, że to bezpieczne?”. „Tak, naturalnie, chodźcie”.

Nic nie było tutaj normalne. I to mi się podobało. Tu, w tym krajobrazie zniszczenia, nie musiałam się kulić z obawy przed codziennymi drobiazgami, które nie były już nasze – sklepem, w którym kupowaliśmy ciepłe pieczywo, niebieskim samochodem, grą w koszykówkę. Otoczenie było tu tak samo zdeformowane jak ja. Moje miejsce było tutaj.

W ciągu kolejnych miesięcy wielokrotnie tu wracałam i widziałam, jak dżungla stopniowo odżywa. Spod potłuczonych cegieł wpełzały świeże zieloniutkie pędy. Nowe pnącza oplatały pochylone filary, przez co ruiny nagle nabrały wyglądu starożytnego zabytku, jakiegoś świętego miejsca, może klasztoru leśnych mnichów. Dookoła naszych pokoi rozkwitły tu i ówdzie na żółto młode krzaki *ranawara*. Wszędzie, z ziemi i szczelin podłóg, wychylały się białe i różowe kwiatki rosnące na całym wybrzeżu. Mówi się o nich *mini mal*, czyli kwiatki cmentarne. Z niechęcią patrzyłam na to odrodzenie. Jak śmiecie zablizniać ranę?

Mimo to zaczęłam odczuwać nową odmianę spokoju. W Kolombo nieustannie ścisnęło mnie w piersi, tutaj ból słabł. Leżałam na rozgrzanej podłodze naszego hotelowego pokoju, gdy księżyc powoli wspinał się nad morzem, i mogłam oddychać. Na krawędzi podłogi był niewielki otwór po zasuwce zasypany piaskiem. Kiedy zobaczyłam nadchodzącą falę, poprosiłam Vika, żeby zamknął drzwi od strony morza. Właśnie tę zasuwkę opuścił. Teraz wodziłam palcami po brzegach otworu. Czyściłam go z piasku.

Uwielbialiśmy tę dzicz, która teraz powoli zaczynała wywierać na mnie presję, urzekać mnie, żebym coś dostrzegła, po trochu wytrącała mnie z odrętwienia. Właśnie tutaj znajdowałam odwagę, by pamiętać. Szłam po plaży śladami samotnego pawia

i dopuszczałam do siebie strzępki obrazów, na których byliśmy my. Widziałam Vika i Mallego łapiących kraby pustelniki. Trzymali potem je w dużej niebieskiej misce, wbudowanej w sieć tuneli i wałów z piasku, a przy końcu dnia wypuszczali na samym brzegu. Słyszałam ich, jak głosami niewiniątek pytali w świetle zachodzącego słońca: „Czy byłem grzeczny, mamó, i czy Święty Mikołaj przyniesie mi dużo prezentów?”. Miałam też migawki z godzin poprzedzających wielką falę. Vik wskakuje na moje łóżko. „Przytul mnie”, mówię. „Przytulanka świąteczna?”, pyta i garnie się do mnie.

Wkrótce czekała nas wyprowadzka z hotelu, moja matka z pewnością miała już spakowaną kosmetyczkę. Przypomniałam sobie nasz ostatni wieczór z rozgwieżdżonym niebem. „Popatrz, tato, niebo ma wietrzną ospę”. Siedzieliśmy na piachu przed hotelem, powietrze było nieruchome, z drzew *mayila* dolatywało nawoływanie lelka podobne do odgłosu odbijania się szklanej kulki o kamienie. Co za pierdolony lelek!³ Właśnie wtedy, gdy potrzebowałam wyroczni, która ostrzegłaby mnie o zagrożeniu. Koniec mojego świata.

³ Śpiew lelka bywa traktowany jako zły omen.

Zwariowanej Wrony nigdy nie znalazłam. Przestałam szukać w dniu, gdy natknęłam się na koszulę, którą Vik nosił w nasz ostatni wieczór, w Wigilię. To była żółtawozielona koszula z bawełny. Pamiętam, jak się dąsał, że nie chce jej włożyć, bo miała długie rękawy i to mu się nie podobało. Steve podwinął mu te rękawy. „Popatrz, jak elegancko to wygląda”. Kiedy ją znalazłam, leżała pod kolczastym krzakiem, na pół zakopana w piasku. Wyciągnęłam ją stamtąd, nie wiedząc, czym jest ten kawałek żółknącego materiału. Części koszuli, których nie odbarwiły słona woda i słońce, wciąż były jaskrawozielone. Jeden rękaw miała jeszcze podwinięty.

Moje podróże do Yali stały się rzadsze, odkąd zaczęłam dręczyć holenderską rodzinę. W grudniu, gdy zbliżała się pierwsza rocznica wielkiej fali, byłam już porządnie sfiksowana na tym punkcie. Obcy ludzie wprowadzili się do naszego domu w Kolombo. Holenderska rodzina. Kiedy pierwszy raz mi powiedziano o wynajmie, zrobiłam Rajivowi awanturę. Byłam zrozpaczona. Krzyczałam, tłumaczyłam, że dom jest jedynym ogniwem łączącym mnie z dziećmi, mówi mi, że były realne. Muszę od czasu do czasu przycupnąć gdzieś w jego wnętrzu. Mój brat jednak zupełnie tego nie rozumiał. Po co chcę ukradkiem wracać do tego naznaczonego nieszczęściem miejsca? Po nich została tam pustka. A on nie mieszka na Sri Lance i nie jest w stanie zarządzać tym domem. Nie miał wyboru, musiał go wynająć.

Kiedy mi to powiedział, walnęłam czołem w krawędź wezgłowia. Raz po raz gryzłam się w ramię. Szalałam z bezsilnej złości. Moi chłopcy zostali wyrzuceni ze swojego domu. Są tam inni ludzie, brukają to miejsce, zacierają ślady Vika i Mala. Chciałam siedzieć w naszym ogrodzie. Chciałam zerwać źdźbło w miejscu, gdzie chłopcy kładli się na trawie. I nie mogę? Przez tyle miesięcy wszyscy mnie przekonywali: „Musisz żyć”, a teraz nie mogę nawet tyle?

Tego wieczoru, gdy dowiedziałam się o holenderskiej rodzinie, pojechałam do naszego domu. Sama. Wiem, co zrobię, myślałam. Wbiję samochód we frontową ścianę. Stanie w płomieniach. Umrę. To mi pasowało. Zabiję się w naszym domu. I zrobię to wybuchowo, z klasą.

Pierwszy raz od czasu wielkiej fali siedziałam sama za kierownicą. O zmierzchu ruch na ulicach Kolombo jest chaotyczny. Przedzierałam się, trzymając kierownicę jedną ręką i wyprzedzając z niewłaściwej strony. Puściłam sobie jeden ze starych kompaktów The Smiths ze zbioru Steve'a. Angielscy przyjaciele przywieźli mi trochę naszych płyt, ale większości nie mogłam słuchać. The Smiths jednak puszczałam. Nie poruszali mnie do żywego, nie zdawali się pochodzić bezpośrednio z naszego życia. Miałam raczej wrażenie, że znowu studiujemy w Cambridge, gdzie Steve był nimi całkiem opętany. Teraz do znudzenia nastawiałam w samochodzie *There Is a Light That Never Goes Out*: „*And if a ten-ton truck kills the both of us, to die by your side, well the pleasure, the privilege is mine*”⁴. Och, co za szlachetna myśl. Skręciłam w naszą ulicę.

⁴ „A jeśli dziesięcotonowa ciężarówka zabije nas oboje, to cóż, gdy umieram przy tobie, przyjemność i zaszczyt są po mojej stronie”.

Zbliżając się do domu, nie nacisnęłam mocniej na pedał gazu zgodnie z planem.

Zwolniłam tak jak zawsze, gdy tu mieszkaliśmy. I tak samo przystanęłam przed bramą. Była zamknięta. Dawniej o tej porze zawsze trzymaliśmy ją uchyloną, a nasz ochroniarz otwierał, gdy zatrzymałam samochód. Wyrwany z drzemki przez blask reflektorów wybiegał rozchełstany, potykał się o luźne paski sandałów i zapinał po drodze koszulę. Nic takiego teraz się nie zdarzyło. Brama ani drgnęła.

Rozsunięte story we wszystkich sypialniach, światła zapalone. Inne dzieci w pokoju Vika i Mallego. Inne dzieci szykują się do spania na górze. Jest grudzień. Czy te inne dzieci będą miały choinkę? Czy ustawią ją dokładnie w tym samym miejscu co my? Opuściłam głowę na kierownicę i trwałam tak przez kilka minut. Potem odjechałam.

Obcy ludzie w naszym domu... To potworne. Holenderska rodzina wprowadziła się tam jakby nigdy nic. Pewnie tańczą tam sobie w swoich cholernych drewniakach. Nie pozwolę, żeby tam zostali, przysięgam sobie. Nasz dom jest święty. Muszę go odzyskać. Tylko jak? Może uda mi się ich wystraszyć. Wypłoszyć.

Wracałam tam więc co wieczór. *There Is a Light That Never Goes Out* stało się moim hymnem. Energia tej muzyki sprawiała, że jechałam szybko. I słowa oczywiście też. Morrissey śpiewał je dla mnie. „*Because it's not my home. It's their home. And I'm welcome no more*”⁵, ryczałam do wtóru.

⁵ „Bo nie jest to mój dom. To ich dom. Nie jestem już tam mile widziana”.

Nakręcona przez The Smiths i kilka kieliszków wódki nie siedziałam już po cichu na ulicy. Wysiadałam z samochodu i dobijałam się do bramy. Gdy waliłam pięściami i kopałam w blachę, niósł się łoskot. Cześć, holenderska rodzino. Milutko jest w tym domu, prawda? Macie spokojny niedzielny wieczór? Już ja wam pokażę spokojny niedzielny wieczór. Możecie być tego pewni. Gdy usłyszałam, że frontowe drzwi się otwierają, odjechałam. Wróciłam dziesięć minut później i znów kopałam w bramę. Z pewnością zaczynało to ich niepokoić. Przynajmniej odrobinę. I tak działo się co wieczór. Łomotanie szaleńca do bramy o najróżniejszych godzinach. To na pewno odbierało im poczucie bezpieczeństwa. Jakże wielką przyjemność sprawiała mi ta myśl.

Czasem dzwoniłam. O drugiej w nocy. Śpimy, co? Teraz długo sobie nie pośpicie, już ja o to zadbam. Musiałam trzymać palec na przycisku przez wiele minut, zanim ktoś się ruszył. Nie było żadnego rozczochranego ochroniarza, który podbiegłby do bramy. Pewnie wziął ambien tak samo jak ja, myślałam. Światło zapalało się na górze, w dawnej sypialni moich rodziców, a ja wracałam do samochodu i trąbiłam klaksonem albo zsuwałam szyby i puszczałam na cały regulator muzykę. Znowu The Smiths, tym razem *Bigmouth Strikes*

Again. „Mam nadzieję, że wy tam dobrze słyszycie”, mówiłam, gdy z samochodowego odtwarzacza stereo płynęły słowa: „By rights you should be bludgeoned in your bed”⁶. W waszym łóżku w naszym zacisznym zaułku w Kolombo.

⁶ „Żeby sprawiedliwości stało się zadość, powinniście zostać załuczeni w waszym łóżku”.

Odjeżdżałam z piskiem opon pustą Bullers Road, głośno się śmiejąc. Nagle poczułam się panią sytuacji. Nie byłam już taka bezradna. Steve doceniłby to, co robię, pomyślałam. Żeby wypłoszyć tych Holendrów, trzeba mieć trochę wyobraźni. Steve cieszyłby się, że wciąż to jeszcze mam.

Sama w ciemnym samochodzie mogłam sobie pozwolić na myśli o rodzinie. W każdym razie przynajmniej przez chwilę nie starałam się ich tłumić. Dzwonienie do bramy przypomniało mi opowieści Steve’a o tym, jak w czasie wakacji włóczył się po swoim osiedlu domów komunalnych we wschodnim Londynie i dla zabawy dzwonił do drzwi różnych ludzi, po czym uciekał. I naszych chłopców też nauczył żartować w ten sposób ze mnie. Jeśli byłam w domu, gdy wracali z parku, przeciągle dzwonił i chował się za żywopłotem sąsiadów. „Pst... Mama nie wie, że to my”.

Słyszę teraz ich głosy, gdy przejeżdżam na czerwonym świetle przez rondo Thunmulla. Kulę się, żeby ich nie słyszeć. Nie widzę drogi przed sobą, tak bardzo za nimi tęsknię.

Dzięki dręczeniu Holendrów zdecydowanie ożyłam. Wciąż budziłam się sparaliżowana przez głos monotonnie powtarzający: „Oni zginęli”, ale powoli mój umysł się uaktywniał: musiałam zaplanować wieczór. Leżałam więc w łóżku i knułam intrygę. Pozbywanie się Holendrów zmuszało do poważnych przemyśleń. Będę jeździć do domu o różnych porach nocy, żebym nie była przewidywalna. Potem dam wam kilka dób wytchnienia, moje miłe tulipanki, a kiedy pomyślicie, że to już koniec, zacznę znowu.

Tworząc tę strategię, mocno zaciskałam w dłoni muszelkę, jedną z porcelanek, które znalazłam w domu, zanim został wynajęty. Na jej lśniącej powierzchni wciąż były odciski palców Mallego.

Moi krewni i przyjaciele zaczęli się martwić tymi nocnymi wypadami. Przedtem miesiącami błagali mnie, żebym wyszła z pokoju, a teraz próbowali chować przede mną kluczyki do samochodu. „Nie możesz nękać najemców. Oni nic nie zrobili, to nie ich wina”, tłumaczyli. „Doprowadzasz się do obłądu”.

Wreszcie. Byłam psychiczna. To mi się podobało. I nawet jeśli nie wierzyłam, że naprawdę jestem chora, cieszyło mnie, że mam okazję zachowywać się jak osoba niespełna rozumu. Od czasu wielkiej fali byłam zbyt uległa, leżałam bezwolna w łóżku, zdruzgotana

i odrętwiała. Nie taka powinnam być, skoro nikt nie żyje. Powinnam się wściekać.

Zaczęłam do Holendrów wydzwaniać. Nocami, późno. Początkowo zmuszałam palce do wybierania tego numeru. Zatrzymywały się nad klawiaturą, jakby nie dowierzały, że nie dzwonię do matki. Przez pierwsze kilka razy nie odzywałam się, gdy mężczyzna podniósł słuchawkę. „Kto mówi? Kto mówi?”, dopytywał się. Uważałam, że powinnam zachować lodowate milczenie. Niech pomyśli, że to wstęp do czegoś gorszego.

Słyszając obcego człowieka, mówiącego do mnie przez telefon z sypialni rodziców, czułam się, jakby sypano mi sól na ranę. Gdy mama dzwoniła do mnie do Londynu, żeby spytać, czy Mallemu minęło przeziębienie, albo sprawdzić, jak mi wyszło biryani, korzystała właśnie z tego aparatu. Musiałam być bardziej drapieżna. Musiałam oswobodzić nasz dom.

Przeszłam do wydawania złowieszczych dźwięków zaraz po odebraniu telefonu. Holender miał teraz bardziej napięty głos. „Czego chcesz?”, pytał raz po raz. „Powiedz, proszę. Czego chcesz?”.

To telefonowanie wprawiło moją rodzinę w jeszcze większą panikę. „Aresztują cię” – mówili. Ale Vik i Mal byliby zachwyceni moimi upiornymi pomysłami, przyszło mi do głowy. Uwielbiali być straszeni na Halloween. Tonację mojego „hu-uuu” przejęłam z nisko brzmiącego skowytu, jakim Vik budził radosne przerażenie u swoich przyjaciół na zabawach kostiumowych. W tygodniach poprzedzających Halloween nasz dom w Londynie wibrował mrozącymi krew w żyłach odgłosami. Siedząc na łóżku ze słuchawką telefonu w dłoni, przypominałam sobie, jak cieszyłam chłopców swoją interpretacją fragmentu *Hamleta*: „Teraz jest właśnie czarodziejska, straszna godzina nocy...”. Nigdy jednak nie udało mi się wyjść poza: „Groby i same piekła wyziewają na świat zarazę”, bo chłopcy za bardzo piszczeli⁷. Nie chcę o nich myśleć, powiedziałam sobie. Muszę się skupić na Holendrach.

⁷ Akt III, scena 2 w tłumaczeniu Józefa Paszkowskiego; William Szekspir, *Dzieła dramatyczne*, tom VI, Warszawa 1958, s. 91.

Ponad miesiąc po tym, jak z nimi zadarłam, wciąż nie zamierzali się wynieść. Gdyby coś takiego zdarzyło się mnie i Steve’owi, ulotnilibyśmy się błyskawicznie, pomyślałam. „Ona jest kompletnie świrnięta, nie możemy ryzykować”, powiedziałby Steve, gdyby co noc prześladowała nas jakaś kobieta. Vik lubił używać słowa „świrnięty”, a ja go za to strofowałam. Wykorzystał je w wierszu o wariactwie, który napisał w ostatnim miesiącu szkoły. Widocznie uczyli się o emocjach. Zaczynał się: „Wariactwo jest jak galaretki

skaczące ci w głowie”, a kończył: „Wariactwo jest świrnięte, a co świrnięte, to najlepsze”.

Nawet gdy rodzina Steve’a przyjechała do Kolombo w pierwszą rocznicę wielkiej fali, nie dałam się odciągnąć od swojej misji. Mieliśmy nabożeństwo żałobne, zaproszenia zostały wydrukowane, ale ja nie mogłam się zdobyć nawet na to, by spojrzeć na ich treść. Wzięłam jednak jedno i wysłałam je Holendrom. Jeśli jeszcze nie wiedzą, dlaczego ich nękam, to teraz się dowiedzą. I z pewnością zrozumieją, dlaczego nie powinni zostać w tym domu. Podczas nabożeństwa w kaplicy mojej dawnej szkoły, college’u dla dziewcząt, odtwarzaliśmy utwory The Smiths. I oczywiście musiało być *There Is a Light That Never Goes Out*. Dla Steve’a.

Nie udało mi się wykurzyć holenderskiej rodziny. Po kilku miesiącach mojej kampanii zmienili numer telefonu, nasz numer telefonu. A po pierwszej rocznicy znów zaczęłam żyć we mgle wódki i ambienu. Znów znalazłam się w łóżku, nie miałam siły wstać, a tym bardziej prowadzić samochodu i walić w bramę. Czasem bywałam zła na Steve’a. Dlaczego dla odmiany teraz ty nie pójdziesz do domu, Steve? Ty możesz potrząsnąć ich łózkami i wyc przez okna tak, żeby zaczęli się pakować. Jak zwykle zostawiasz brudną robotę dla mnie. Dlaczego to właśnie ja muszę być tym pieprzonym duchem?

Rozdział trzeci



LONDYN, 2006

Kręciło mi się w głowie w tej sali. To było nie do uwierzenia. Miałam wrażenie, że zaraz zemdleję. Przytrzymałam się krzesła, żeby zachować pion. Wiedziałam, co się dzieje, ale nic z tego do mnie nie docierało. To jest Londyn, powtarzałam sobie. Pall Mall. Sala w Royal Society. Właśnie tu jestem. Przez dwie godziny siedziałam tutaj, starając się omijać wzrokiem ekran przed sobą. „Wykład pamięci Stephena Lissenburgha”, tak tam było napisane. Steve’a?

Już koniec, jest po wykładzie, który zorganizował instytut badawczy Steve’a. Wpatrywałam się nieobecny wzrokiem w mówcę na podwyższeniu. Niewiele słów usłyszałam. Byłam spokojna, gdy rozmawiałam z tymi ludźmi, a potem, podczas przyjęcia wypiliśmy kieliszek białego wina i zjadłam przepiórcze jajko. Może nie wyglądałam na oszołomioną.

Teraz jestem z przyjaciółmi w barze Instytutu Sztuki Współczesnej, niedaleko Towarzystwa Królewskiego. To był mój pomysł, żeby przyjść w to miejsce. Zapropnowałam je, nie przestając myśleć, że często bywaliśmy tu razem ze Steve’em.

Jestem w Anglii? Nie mogę pojąć, że to prawda. Pierwszy raz wróciłam do Anglii, a minęły już prawie dwa lata od wielkiej fali. Rzeczywistość bycia tutaj jakoś mi umyka. Nie mogę się skupić, jestem otumaniona. I chcę, żeby tak zostało. Gdybym myślała zbyt jasno, to – obawiam się – przestałabym nad sobą panować. Tego wieczoru szłam po Piccadilly ogarnięta paniką. Nie rozglądałam się dookoła, aby w jakiś sposób okazać lekceważenie znajomemu otoczeniu. Zostanę tu tylko kilka dni, dodawałam sobie otuchy. Nawet nie zauważę, kiedy będę z powrotem. A nasz dom w północnym Londynie... Przeraza mnie nawet sama myśl o nim, w ogóle nie będę się do niego zbliżać.

Ale jestem w barze Instytutu Sztuki Współczesnej? Nie chcę tego wiedzieć. Steve i ja przychodziliśmy tutaj w drodze do kina Curzon Soho. Wypijaliśmy po drinku, a potem szliśmy spacerem wzdłuż Regent Street. W kinie Steve zawsze wypijał czarną kawę, a ja jadłam lody imbirowo-miodowe. Teraz kończę z tymi myślami. Ponieważ właśnie zamierzam powiedzieć: „Nie, nie mamy czasu na jeszcze jednego drinka. Film zaczyna się o siódmej. Chodźmy, Steve”.

W ANGLII NA WSI, 2007

To była kwestia światła. Wysokości słońca nad pewną wiejską drogą w Shropshire o godzinie siedemnastej w niedzielny wieczór na początku marca. Ukośnie padające promienie przenikały między gałęziami cisu i oślepiały mnie, odbite w samochodowym lusterku. Głogowe żywopłoty po obu stronach drogi rzucały długie cienie. To światło było tak bardzo znajome, że nieoczekiwanie spowodowało na mnie zapomnienie. Zapomniałam, że jestem w drodze powrotnej z Walii razem z moimi przyjaciółmi, Davidem i Carole. Znalazłam się znowu w naszym samochodzie ze Steve'em za kierownicą i chłopcami z tyłu. We czworo pokonujemy łagodne zakręty wiejskiej drogi w Anglii tak samo jak wiele razy wcześniej.

Przez trzy lata usiłowałam na stałe wyrzyc w swojej świadomości zdanie „Oni zginęli”. Bałam się chwili nieuwagi i zapomnienia, kiedy zacznę myśleć, że żyją. Uważałam za pewne, że wyjście z takiej pomyłki, nawet krótkotrwałej, jest bardziej bolesne niż ciągła świadomość sytuacji. Teraz jednak moje więzy nagle pękły przez coś tak zwykłego jak znajoma gra światła. To było coś innego niż ostrożne wspomnianie, na jakie sobie zwykle pozwalałam. To było rzucenie się na całego w nich, w nasze życie, powrót do naszego samochodu. To była nieuwaga. Widzę gwiazdkę na szybie, ślad kamyka, który wystrzelił spod opony i uderzył w szkło wkrótce po tym, jak kupiliśmy to auto. Atlas samochodowy leżący u moich stóp jest podeptany i pozagniatany. Vik siedzi za mną, Malli za Steve'em. Między nimi są dwa wkleśnięte kartony po soku z czarnej porzeczki. Ostatnie krople ciemnej cieczy skapują ze słomek i plamią siedzenie. Jest też zapluty ogryzek jabłka, który jeden z nich łatwo mógł wyrzucić przez okno, ale zostawił, więc ogryzek pewnie stoczy się pod pedał gazu i tam zgnije. Musimy dojechać do domu i dać chłopcom kolację. Oto pośpiech niedzielnych wieczorów.

Czyżby na poboczu leżał martwy bażant? Ich tu nie ma. Zauważyliby go, gdyby byli. Powiedzieliby coś. „Pfuj”. „Super”. „Jak myślisz, tato, kiedy on padł?”. Nie ma ich tutaj. Ja jednak nie chcę wyłonić się spomiędzy nich. Chcę tkwić w naszym metalicznoniebieskim renault mégane scénic. Dlaczego na to pozwalam? Niedługo będę musiała odczołgać się z powrotem do rzeczywistości i bardzo przy tym cierpieć. Może to senne ciepło samochodu Dave'a sprawia, że tak się zapominam. Robię to znowu, tym razem dobrowolnie.

Chłopcy siedzą spokojnie z tyłu, nie kopią się po kostkach z nudów ani nie urządzą konkursu bekania. Vik widzi stadko szpaków przelatujące nad nami, śledzi wzrokiem tę

szarą rozedrganą chmurę. Tak naprawdę jednak chce zobaczyć krogulca. Albo jeszcze lepiej: krogulca walczącego z wroną. Malli przysypia jak zawsze w samochodzie, ale jest już za późno na drzemkę.

– Vik, porozmawiaj, kochanie, z Mallim, żeby nie zasnął. Bo on potem nie będzie chciał spać w nocy.

Niedługo wbiegną na schody prowadzące do frontowych drzwi i będą dzwonić jak szaleni, choć wiedzą, że nikogo w środku nie ma. Będą się kłócić o to, kto ma dzisiaj prawo pierwszeństwa przy siusianiu. Steve proponuje, żeby wszyscy trzej wysiusiali się jednocześnie, i z wielką radością tak właśnie zrobią. A ja spytam, czy przynajmniej jeden nie mógłby skorzystać z toalety na górze, i powiem, żeby, cholera, nie zapaprali całego pomieszczenia. Kiedy już skończą, skorzystają z biało-niebieskiej ścierki do rąk, żeby przetrzeć nią podłogę, a potem odwieszą ją z powrotem. Będę słyszała ich chichoty na tle gulgotów i bulgotów wody w sedesie. To jednak dopiero po powrocie do domu. Tymczasem wciąż jesteśmy w samochodzie, a obaj chłopcy siedzą w skarpetkach, bo Steve wrzucił ich ubłocone buty do bagażnika.

Malli jest dumny ze swoich nowych butów turystycznych, brązowych timberlandów na grubych podeszwach, bardzo podobnych do tych taty. Gdy byliśmy dzisiaj w lesie, nie narzekał i nie prosił, żeby go ponieść. „Masz najlepsze buty, Mal, więc prowadzisz”, powiedzieliśmy. A on na to, że małe czerwone przywieszki z tyłu butów żarzą się jak światła i dzięki temu na pewno się nie zgubimy nawet na najciemniejszej ścieżce. Szedł przodem pewnym, energicznym krokiem i przystawał tylko po to, by przetestować przyczepność podeszew na nierównym stoku albo zerwać jeżyny. Owoców było niewiele. Krzaki na naszej drodze oferowały przechodniom jedynie wysuszone brunatne jagody i tylko gdzieś widać było pojedyncze fioletowawe koraliki, które chłopcy pracowicie zrywali, by potem krzywić się na kwaśny smak, gdy zgniatali je między zębami. Vik wlaź w pokrzywy, a Steve pokazał mu, jak pocierać poparzoną nogę liściem szczawiu, żeby mniej piekło. Szczaw zawsze można znaleźć w pobliżu pokrzyw, powiedział Vikowi. Przeszliśmy dzisiaj długą drogę, a Malli ani razu nie chciał zawrócić, wszystko dzięki nowym butom.

I nagle sobie przypominam. Buty. Te buty. Pamiętam je i serce mi drży. Policjanci zabrali jeden z nich z domu rodziców, kiedy próbowano identyfikować ciała. Wzięli go, żeby zbadać DNA. Zwrócili potem w zapieczętowanej torbie z polietylenu jak wielką kanapkę. Jestem wykończona. Raz jeden pozwoliłam rodzinie, by przyszła do mnie żywa,

i ten but mnie dobija. Ale chcę z nimi jeszcze pobyc. Chcę pozostać w naszym samochodzie na zawsze. Położyć chłopców wcześniej do łóżek i obejrzeć *The Catherine Tate Show*, tak mówię Steve'owi. Muszę przygotować wykład na rano następnego dnia, to jednak może poczekać. Przy czym jestem? Przy *The Catherine Tate Show*? Przecież wtedy nawet nie było go w programie. To było już po naszych czasach, straciliśmy to w całości. Teraz muszę się poddać, muszę wcisnąć się znowu do rzeczywistości. Ale światło dnia szybko dogasa, a powietrze staje się coraz bardziej rześkie, jak zawsze wczesną wiosną. Z tyłu samochodu słyszę pytający głos: „Czy jutro trzeba iść do szkoły, mamó?”. I jeśli się odwrócę...

Rozdział czwarty



LONDYN, 2008

To jest kawałek pirytu. Mówi się o nim, że jest złotem głupców, ale Vikram zawsze obstawał przy prawdziwej nazwie. Znalazł ją w książce o skałach i minerałach. Ten mały mieniący się kamyk leży dokładnie tam, gdzie Vik zostawił go przed czterema laty: na gzymsie kominka w pokoju zabaw. Podnoszę go i już wiem. Vik kupił go w Muzeum Nauki. To był nasz ostatni weekend w Londynie. „Możesz wydać dwa funty”, powiedzieliśmy mu i właśnie ten kamień wybrał. Nie mogę skupić wzroku na żadnej rzeczy znajdującej się w tym pomieszczeniu, ale złoto głupców widzę. I dwa czerwone plecaczki wiszące jak zawsze na kłamce. Wzięłam ten kawałek skały i mocno zacisnęłam na nim dłoń. Nie mogę jednak dotknąć plecaków, każdy jest jak skalpel.

Dzieje się to chwilę po szlochach w holu. Gdy tylko Anita zamknęła za nami frontowe drzwi, zamieniłam się w kupkę nieszczęścia na podłodze przy schodach. A więc wreszcie to zrobiłam. Przekroczyłam próg naszego domu pierwszy raz, odkąd wyszłam z niego razem ze Steve'em i chłopcami wieczorem, na początku pamiętnego grudnia. Trzy lata i osiem miesięcy temu, prawie co do dnia. I przez większą część tego czasu mogłam myśleć o naszym domu jedynie z lękiem i strachem. W pierwszych miesiącach, gdy nie umiałam się zmusić, by wstać z łóżka, chciałam, aby ten dom został zniszczony. Chciałam, by ślady po nim zostały zatarte. Potem zaczęłam potrzebować pewności, że stoi i czeka na mnie zachowany w takim stanie, w jakim go zostawiliśmy. Zarazem jednak jego istnienie mnie dręczyło. Stroniłam od jakiegokolwiek rozmowy o nim. Sama myśl o jego zobaczeniu wywoływała u mnie drżenie. Nie potrafiłam wrócić. Nawet zerknięcie do wnętrza z pewnością wprowadziłoby mnie w jeszcze większy rozstrój. Pusty i jałowy, taki musiał być teraz ten dom, nasz dom. Kiedy jednak w końcu przestałam drzeć i chwycić ustami powietrze, kuląc się na podłodze w sieni, i oparłam się o poręcz schodów, by wyrównać oddech, zatrzymałam wzrok na suficie i przeżyłam zaskoczenie. Wyglądało to tak, jakbyśmy w ogóle nie wyjechali. Gzymsy pod sufitem... zdawało mi się, że widziałam je ostatnio rankiem, kiedy chłopcy zeszli na dół, a w lustrze na przeciwległej ścianie przez moment odbijały się ich twarze, póki nie zeskoczyli z piątego lub szóstego stopnia.

Teraz wchodzę do każdego pokoju, siadam na podłodze. Dom wygląda w dużym stopniu tak jak wtedy, gdy wyjeżdżaliśmy. Z nas zostały szczątki, ale tu wszystko jest nietknięte. Wszystko. Konsternuje mnie to. Nie mogę poskładać kawałków w całość. Oni nie żyją, moje życie pękło, ale wewnątrz domu tchnie tą samą atmosferą co zawsze. Tak jakby moi wyszli przed dziesięcioma minutami. To miejsce nie straciło swojego rytmu, nie

potrzebuje ożywiania. Przez ostatnie cztery lata nasze życie tutaj często wydawało się nierzeczywiste, kapryśne i irytująco nieuchwytnie. Teraz jednak wyłania się z tych ścian i powoli we mnie wsiąka.

Przez te wszystkie lata widziałam bardzo niewiele naszych rzeczy. W pierwszych miesiącach przyjaciele z Londynu przywieźli mi niektóre do Kolombo: kilka fotografii w ramce, na które nie mogłam patrzeć, koszulkę Steve'a, z której zrobiłam nocną koszulę, więc jest już przetarta, *Clifforda – wielkiego czerwonego psa*, którego schowałam. A teraz jest tu wszystko. Karuzela wyobrażeń mnie oszałamia. Mogę uchwycić tylko niektóre.

Jest oczywiście dowód naszej nieobecności, wskazujący, kiedy wszystko się skończyło. Gałęzie dwóch jabłoni rozpościerają się na szerokość całego ogrodu. My nie zaniechalibyśmy ich przycinania. Kiedy wcześniej zapuściłam się w głąb ogrodu, zaskoczony lis prysnął przez dziurę w płocie na trawnik do sąsiadów, ale stamtąd wciąż mi się przyglądał. Byłam najeźdźcą na jego terytorium. Pożółkłe „Guardiany” na stojaku w salonie pochodzą z pierwszego tygodnia grudnia 2004 roku. Do ściany w gabinecie wciąż są przytwierdzone wydruki biletów na przedstawienie *Bałwanka* w Peacock Theatre 5 stycznia 2005 roku. Na podłodze w naszej sypialni leży sterta nieotwartych prezentów świątecznych. Przypominam sobie. Prezenty dała Vikowi i Mallemu rodzina Steve'a w weekend przed naszym wyjazdem na Sri Lankę.

– Dostaniecie mnóstwo prezentów w Kolombo – powiedziałam chłopcom. – Te będzie o wiele zabawniej otworzyć po powrocie.

Znajduję kartkę świąteczną w zaklejonej czerwonej kopercie, napisaną przez Vika do moich rodziców. „Do aacci i seei, przyjeżdżamy do Kolombo ósmego grudnia, Vikram i Malli”. Widocznie zapomniałam ją wysłać przed wyjazdem. I kalendarz na 2005 rok, zrobiony przez Mallego w szkole. W delikatny wzór z pomarańczowych i złotych kropeczek mały chłopiec włożył tyle zaangażowania... Całkiem się rozsypuję.

Gdy jednak ostrożnie dryfuję po domu, czuję również przejawy podskórnego spokoju, który oddala mnie od cierpienia, tak troszkę. Omal nie zaczynam myśleć, że nic się nie zmieniło. Że wciąż tutaj mieszkamy. W pokoju zabaw lalka Mallego siedzi w wózku jak zawsze. Na gzymisie kominka leży jego srebrny diadem, a przy palenisku – różowe baletki. Na podłodze kilka kartek formatu A4, na których Vik wypisywał wyniki wymyślonych przez niego meczów krykieta. Australia przeciwko Namibii, Zimbabwe przeciwko Indiom i oczywiście, na złość mnie, Sri Lanka, która zawsze przegrywa. Płócienna plakietka, którą Vik dostał zaledwie kilka dni przed naszym wyjazdem za przepłynięcie ośmiuset metrów,

została na półce z książkami. Obiecałam mu po powrocie naszyć ją na jego pływackie szorty. Na drewnianym niebieskim biurku został wiersz, który Malli napisał do spółki ze mną. Występował w nim zamorski stwór z fioletowymi uszami i kaktusem rosnącym na nosie, nazwany przez Mallego Giddymeenony. Była nawet do tego ilustracja. W pokoju zabaw chłopcy czuli się absolutnie bezpieczni.

Buty synków stoją przy kuchennych drzwiach, wciąż oblepione zaschniętym błotem. Są nawet resztki skórek cebuli w glinianym garnku, którego Steve używał do przyrządzania curry wołowego. Promień popołudniowego słońca pada na czerwoną kanapę w salonie i jak zawsze widzę kurz unoszący się w snopie światła. Na podłodze przy kominku stoi duży brązowy garnek, który kupiłam w Kambodży. Malli kiedyś do niego nasiusił. Wkładam rękę do środka i wyjmuję kilka czarnych pionków szachowych. Na górze w gabinecie martwa osa na podłodze, druga łązi po firankach. Osy zawsze miały gniazdo na zewnątrz, tuż za oknem, i kilka razy użądliły i mnie, i Steve'a. W sypialni chłopców łyżeczka po lekarstwie wyglądająca tak, jakby używano jej wczoraj wieczorem. Zastygły na niej kryształki syropu Nurofen. Na naszym łóżku kilka włosów, nie moich, Steve'a i może również Vika. W łazience dwie szczoteczki do zębów w kształcie dinozaura. Kosz z bielizną do prania, na wierzchu sarong Steve'a.

Pragnę przywrócić ich w to miejsce, po prostu chcę ich przywrócić. Oni bardzo by tego chcieli, kochali ten dom.

Wiedziałam, że nasz dom będzie wyglądał właśnie tak, i teraz czuję się swobodnie. Wbrew moim wcześniejszym obawom, że to nie jest zwyczajne ani naturalne, skoro ich tutaj nie ma i już nigdy nie będzie, sprawia wrażenie czegoś normalnego. Zanim wróciłam, spodziewałam się ataku rzeczy, o których istnieniu zapomniałam. Nie przeżywam jednak niespodzianek. Mobilizuję się i otwieram szafy na górze. Czy odważę się spojrzeć na ich ubrania? Coś z pewnością mnie rozłoży. Ostrożnie otwieram kolejne drzwi, a potem szuflady. Wszystko jednak jest tak, jak być powinno. Nie znajduję ani jednej skarpetki, którą wyciągnęłabym z przekonaniem, że jej nie pamiętam. Po tym szperaniu zatrzymuję wzrok na białej koszuli Vika, wypranej i wyprasowanej, czekającej cierpliwie na wieszaku. Miał ją na sobie podczas szkolnego koncertu świątecznego w wieczór poprzedzający nasz wyjazd z Londynu. Po chwili wahania zdejmuję ją z wieszaka i trzymam, żeby poczuć jej miękkość. Nic z tego nie wydaje mi się teraz groźne.

Jak bardzo podobało mi się, kiedy mogłam tu być wtedy, gdy miałam dzień pracy w domu, chłopcy szli do szkoły, a Steve do biura. Łaziłam po całym domu, wkładałam

ubrania do pralki, robiłam herbatę, pewnie również wypatrywałam dzięcioła, który wybijał dziury w deskach naszej szopy ogrodowej. I jestem tu znowu teraz, gdy nasze życie już się skończyło. Siedzę na podłodze w salonie, opieram się o kanapę i wpatruję w czubki tych nadmiernie rozrośniętych jabłoni, a gdy to robię, niepostrzeżenie ogarnia mnie spokój.

Machinalnie wracam do starych przyzwyczajzeń. Zaczynam trochę sprzątać, odkładam przedmioty tam, gdzie powinny być, lub tam, gdzie zawsze uważałam, że powinny być. Co kij krykietowy Vika robi na stercie przytulanki? Biorę go i stoję z nim przy pudle pełnym piłek i słupków, to jest właśnie jego miejsce. Kukiełki Mallego trafiają do jego przebrań. Wykładzina spod pryszniczka leży przy grzejniku. Odnoszę ją z powrotem. Te rzeczy są już uprane, powinnam je poskładać. Niosę kosz do pokoju chłopców. I nagle nieruchomieję. Co ja robię? Dla kogo porządkuję ten dom? Przecież oni nie wrócą. Nie bądź głupia, mówię sobie, to jest szaleństwo.

Ale nie mogę przestać. Idę do kuchni i włączam lodówkę. Bez jej szumu mam poczucie, że coś jest nie w porządku. Bez powodu nastawiam elektryczny czajnik. Na ociekaczu przy zlewie leżą dwie cienkie drewniane podkładki pod talerze. Steve i ja mieliśmy ich użyć do kolacji ostatniego dnia w domu. Wycieram je teraz i odkładam na półkę. Zabieram też wypłowiałą niebieską plastikową miseczkę stojącą na kuchennym stole. Anita i ja znalazłyśmy ją na samym środku trawnika, gdy zaraz po przyjeździe zajrzałam do ogrodu. Poznałam ją od razu. Z tej miseczki Vik zjadł swój pierwszy prawdziwy posiłek, kiedy miał zaledwie kilka miesięcy – łyżeczkę rozwodnionej kaszki ryżowej. Widocznie później ta miseczka stała się zabawką, a my o niej zapomnieliśmy. Anita bardzo się zdziwiła, gdy zobaczyła ją na trawniku. Twierdziła, że poprzedniego wieczoru jej tam nie było. Przecież chodziła po ogrodzie wczoraj, gdy ogrodnik skosił trawę. Widocznie więc przytargały ją późnym wieczorem lisy.

Gapię się na tę ubłoconą miseczkę i wspominam machającego nóżkami Vika, który właśnie wypluł swój pierwszy posiłek. I wcale nie spieszy mi się na dwór, żeby odłożyć ją tam, gdzie teraz jej miejsce – do szopy, do reszty zabawek używanych w ogrodzie. Zostawienie jej teraz w domu wcale nie byłoby ani głupie, ani szalone.

Sarah, Niru, Fionnuala i ja siedzimy u mnie przy kuchennym stole. Jest ponure jesienne popołudnie, słońce tylko od czasu do czasu przebija się przez kłęby szarości. Pijemy herbatę i pogryzamy gorzką czekoladę, może z nadzieją, że doda nam trochę wigoru. Wciąż jesteście wzruszone. Godzinę temu, gdy zadzwoniły i otworzyłam im drzwi, nie mogłyśmy powstrzymać łez. Spotykamy się w moim londyńskim domu po prawie czterech latach.

Kiedyś robiłyśmy to często. Przed laty. Nasze maluchy ciągle były razem, odkąd Noah, Alex, Finian i Vikram skończyli mniej więcej rok, odkąd zaczęłyśmy je wozić do miejscowej biblioteki na opowiadanie bajek. Z upływem lat nasi chłopcy zaczęli razem chodzić do szkoły, a my cztery regularnie spotykałyśmy się, żeby pogawędzić o ostatnich zdarzeniach: o pracy, domu, o przedstawieniu, które ja i Sarah widziałyśmy w ostatnim tygodniu w Donmarze. Czasem towarzyszyła nam gromada rozbrykanych dzieci, czasem nie. Te bezcenne godziny, które powinnam była spożytkować na pisanie tekstu o polityce makroekonomicznej w Nepalu, chętnie poświęcałam na plotki.

Teraz jesteście w tej samej kuchni, kiedy już wszystko się skończyło. Byłam pewna, że czegoś takiego nigdy już nie powtórzymy. Nawet kiedy postanowiłam jeszcze raz odwiedzić nasz dom i zostać tam przez kilka dni, nie miałam tego w planach. To byłoby okropne, zbyt familiarne, a tego bym nie zniosła. Tak sądziłam. Ale już kilka godzin po powrocie zadzwoniłam do przyjaciółek. I wtedy wpadłam w panikę. To będzie coś innego niż nasze poprzednie spotkania w Londynie w ciągu ostatnich czterech lat. Ich sceneria – kawiarnia w księgarni Foyles i turecka restauracja w St. John's Wood – jakoś nie dopuszczała rzeczywistości do głosu. Ale tutaj, w moim domu zostanie zniszczona, jeśli za bardzo zbliżę się do życia, które straciłam.

I miałam rację. Siedzimy, a ja odruchowo zaczynam myśleć, że nic się nie zmieniło, nikt nie umarł. Że to jedno z tych popołudni, kiedy Fionnuala i ja prowadzimy synów na zajęcia piłkarskie w tej hali, do której z niezrozumiałego powodu musimy wchodzić przez szatnię pełną niekompletnie ubranych młodych ludzi świeżo po meczu koszykówki, co zresztą nie budzi naszego sprzeciwu. I nagle muszę się napomnieć. Tamto życie już się skończyło. Ale jak to możliwe? Kiedy tutaj siedzę, wydaje się to nie do uwierzenia. Z dzbanka unosi się para i tak jak zawsze leci ponad zlewem w stronę okna. Kran nadal kapie, jeśli nie dokręcę go szczególnie starannie. Zabłocone buty uspokajają swym widokiem przy wejściu do kuchni, tak jakby chłopcy właśnie wrócili. A zielone i różowe ślady mazaków Mallego na kuchennym stole mają jaskrawy odcień żelków.

W oczach moich przyjaciółek dom jest zaciszny i przyjemny, niczym nie różni się

od dawniejszego. Trochę denerwowały się przed przyjściem, same bowiem nie wiedziały, jak zareagują. Przez te wszystkie lata odwracały głowę, ilekroć przejeżdżały naszą ulicą. Dzisiaj Niru popadła w zamieszanie na widok ogrodu. Przypomniała sobie obrazy z przyjęć urodzinowych dla dzieci, które tam się odbywały. Teraz dalej pogryzamy czekoladę i rozmawiamy o tych przyjęciach. Śmiejemy się, wspominając, jak Vik strzelił sąsiadom gola w okno. Siedziałyśmy dokładnie w tym samym miejscu co teraz, gdy rozległ się brzęk szkła.

Śmiejemy się, i to mnie niepokoi. Dlaczego czuję się tak lekko? To rzeczywiście przypomina dawne czasy, ale wydaje się, że mogę to znieść. Nawet jest mi przyjemnie. Natychmiast się strofuję: nie wolno mi korzystać z nadmiaru swobody. Czyżbym nie wiedziała, że Malli nie stanie już nigdy więcej na tym krześle, ubrany w różowy strój taneczny, żeby zlizać resztki ciasta z drewnianej łyżki? Steve nie wejdzie do domu o siódmej wieczorem, nie będzie słychać chrzęstu, gdy wyklada zawartość kieszeni na stolik w korytarzu. Szyby u sąsiadów pozostaną całe. Ale mimo wszystko ponowne zanurzenie w ciepłe naszego życia przynosi mi pewną ulgę, chociaż zdaję sobie sprawę z tego, że rzeczywistość mnie dopadnie, tylko później.

I naprawdę dopada. Wieczorem bezruch w tym domu jest nie do zniesienia. Włączam muzykę, głośno rozmawiam z Sarah, która zostaje na noc, ale cisza wciąż odbija się rykoszetem o ściany. Łapię się na tym, że nasłuchuję chłopców i Steve'a. Na półce w pokoju gościnnym leży do połowy opróżnione pudełko czekoladek. Prawie słyszę Vika i moją matkę, szepczących do siebie wieczorem w łóżku, gdy się do nich dobierają. Mama jest głucha na moje sprzeciwy, że mały już umył zęby. Zdumiewa mnie spokój w pokoju zabaw. Włączam światło i widzę na podłodze jakąś gwiazdkę z błyszczącej folii. Mam u stóp całą galaktykę.

Kiedy leżę w naszym łóżku, uderza we mnie siła ich nieobecności. Pościel nie była zmieniana, odkąd ostatnio spałam w niej ze Steve'em. Nie byłam w stanie zmusić się, żeby ją wyprać, więc całą noc kicham. Sarong Steve'a wciąż wisi na stacjonarnym rowerze przy oknie, ale nie mam pod głową mężowskiego ramienia. Na poduszce Steve'a, tej, której jego głowa nie dotknęła od czterech lat, leży rzęsa. Nie mogę patrzeć. Naciągam kołdrę na twarz, mimo to widzę całą naszą czwórkę słończoną w tym łóżku w niedzielny ranek. Chłopcy zakradli się na palcach do pokoju, by dobitnie ogłosić, że jest słoneczny dzień. Kiedy nie zwracam na nich uwagi, Malli pyta: „Dlaczego ludzie potrzebują tak dużo snu?”. „Ludzie” to w jego języku „dorośli”. Nie poprawialiśmy go, tylko dodaliśmy to słowo

do zestawu przekręceń, które są tylko nasze. Teraz wszystkie te słowa unoszą się w tym pokoju, mimo że nikt ich nie wypowiada. A ja panikuję, bo nie chcę obudzić tych wspomnień, nie tutaj, w nocy, w tak głębokiej ciszy. Cieszę się z zakurzonej pościeli, bo przynajmniej kichanie jakoś mnie od nich odrywa.

Rankiem słyszę skrzypienie desek podłogi. To Sarah, która już się zbudziła. Złościło mnie, kiedy Steve tak skrzypiał o szóstej rano, bo chodził między łazienką a gabinetem, włączał komputer i sprawdzał wyniki NBA z poprzedniego wieczoru. Ten odgłos powinien mnie teraz wprowadzić w zakłopotanie, ale tego ranka lgnę do jego swojskości, która działa na mnie kojąco.

W porannym świetle wychodzę do ogrodu. Idę na bosaka po pokrytej rosą trawie. Zawsze to lubiłam. Jesień jest porą pajaków i na krzakach lśni teraz babie lato. Steve i chłopcy karmili pająki. Ostrożnie umieszczali w ich sieci żywą mrówkę i zachwycali się, gdy owad chwycił ją odnóżami i rozgniał na miazgę. „Popatrzcie, wysysa sok z mrówki jak koktajl mleczny”, powiedział Steve do synków. Jeśli któraś pajęczyna była szczególnie kunsztowna, bardzo mnie prosili, żebym jej nie zniszczyła podczas podlewania ogrodu.

I tego ranka widzę taką piękną, na pnącej róży, efektowną i skomplikowaną. Ale oni nie mogą jej zobaczyć. Czy więc to dlatego, że jestem jeszcze zaspana, ogarnia mnie przy niej zachwyty? Moja nocna samotność powoli się rozprasza, ale czy to tylko radość z porannego słońca? Jeszcze się nad tym zastanawiam, ale jestem pewna, że przynajmniej przez pewien czas będę wracać do tego domu, do jego ciepła i wygody. Po stole na patio pełźnie mały ślimak. Ciepło jego ciała topi kryształki szronu, które pokryły blat nocą. Za ślimakiem zostaje mokry ślad. Na nich zrobiłoby to duże wrażenie.

Rozdział piąty



Kulę się w rogu łóżka. Ledwo jestem w stanie podnieść głowę. Żołądek mam skurczony, serce mi wali, prawa ręka boleśnie ściska lewą. Cała się trzęsę, a przynajmniej takie mam wrażenie. Wyobraźcie sobie, że ktoś mógłby mnie zobaczyć w tym stanie. To by była tragedia.

Całymi dniami nie wychodzę z nowojorskiego apartamentu, gdzie mieszkam od kilku miesięcy. Nie jestem w stanie stawić czoła nagłej zimowej jasności tego nowego miasta. Nie mogę znieść szczęśliwych, rozbrykanych, wybiegających ze szkoły dzieci, dołków na policzkach małego chłopca. Jasna cholera, Steve! – szlocham w poduszkę. Co z ciebie za pożytek? Gdzie ty się w ogóle podziewasz? Czemu nic mi na to nie poradzisz? Każ mnie zabić i tyle, ja mam już tego wszystkiego potąd.

Jestem w takim stanie jak w pierwszych miesiącach, kiedy kuliłam się na łóżku w domu ciotki w Kolombo. Tylko że minęły cztery lata... Sama zdumiewam się intensywnością tego lęku. Spadł na mnie znieca, niedawno, kiedy byłam w naszym domu w Londynie, pod koniec października. Którejś nocy poczułam z nową i przerażającą siłą, że wyrzuciło mnie z naszego życia. Tak po prostu. Wieczór był wietrzny, a ja grzebałam w jakichś dokumentach na biurku Steve'a. Wiatr szarpał oknem za moimi plecami, czułam na ciele przeciąg. W gabinecie był większy porządek niż kiedyś, choć ekran komputera był tak samo przechylony, żeby nie odbijały się w nim gałęzie srebrzystego klonu zza okna i żeby nie trzeba było mrużyć oczu. Pracując w tym pokoju, zawsze nastawiałam sobie głośno radio Jazz FM. Ale tego wieczoru nie grało nic, tylko ten wiatr.

Biurko było całe zarzucone typowymi papierami Steve'a: stosy modeli ekonometrycznych z zakreślonymi niebieskim długopisem jakimiś współczynnikami, książka o szachach, almanach krykietowy Wisdena, kartka z datą wizyty u fryzjera... Przejrzałam jego książeczkę czekową leżącą w szufladzie. Ostatniego dnia w Londynie wypisał trzy чеки: dla ogrodnika, mleczarza i za szkolne posiłki chłopców. Te dwa słowa, „szkolne posiłki”, wystarczyły. Posypałam się.

Bo przez te lata mój mózg nawet nie wyszeptał tych słów. Jakże mogłam zapomnieć? Jakże mogłam to wyprzeć? Słyszałam teraz nasze codzienne rozmowy. Vik mówił, że na lunch znowu były kiełbaski, Malli wzruszał ramionami i odchodził, gdy pytałam, czy zjadł jakieś warzywa. I widziałam, jak Steve siedzi dokładnie tu, gdzie ja teraz, i podpisuje ten czek piórem, które ciągle tu leży, wyrywa go i wkłada Vikowi do torby. Widziałam ten rachunek za obiady, jak wala się tu od wielu dni i czeka, aż w końcu zostanie opłacony. Podnosiłam go od czasu do czasu, siedząc przy tym biurku, czytając rozdział pracy mojego

studenta i przerywając tę czynność nieco zbyt często, żeby zapoznać się na stronie internetowej „Guardiana” z recenzją jakiegoś filmu albo pogapić na promienie popołudniowego słońca barwiące kominy z czerwonej cegły w domach po drugiej stronie ulicy. Ale tego wieczoru załamało mnie nie to, że zapomniałam o czymś tak pospolitym jak szkolne obiady. Gdy wpatrywałam się w odcinek w książeczce czekowej Steve’a, uzmysłowiłam sobie nagle, jak spójne i bezpieczne było nasze dawne życie, w którym wszystko wydawało się przewidywalne i trwałe. Były kolejne rachunki do zapłacenia, kolejne zachody słońca, które odrywały mnie od pracy...

Wiatr targający oknami sprawił, że w jednej chwili zrozumiałam, że nie mam już schronienia. Nie, żebym tego dotąd nie dostrzegła. Co to, to nie. Ale wówczas dotarło to do mnie z przerażającą klarownością. Do tej pory się trzęsę.

Naprawdę byliby wstrząśnięci, widząc mnie w takim stanie. To nie ja, nie taka byłam przy nich. Widzę teraz tamtą siebie, wylatującą z nimi z Londynu do Kolombo, dokładnie cztery lata temu, ósmego grudnia, w dniu, w którym Steve wypisał ten czek, z terminalu 4 na Heathrow. Wszystko zapowiadało się jak najlepiej. Wszystko było załatwione. Nie mogliśmy się ze Steve’em doczekać tych trzech dni w małym hotelu nad morzem bez chłopców, których zostawilibyśmy na rozpieszczanie dziadkom. Zarezerwowaliśmy pokój z wielkimi oknami z trzech stron, aby łoskot fal rozbijających się o skały przenikał nawet do naszych snów. Potem cała nasza czwórka, razem z moimi rodzicami, miała pojechać do Yali, gdzie chłopców miał oczarować mały słońnik chowający się pod brzuchem niemal ocierającej się o naszego jeepa matki. Cieszyliśmy się ze Steve’em, że dzieci nie uparły się na Disneyland.

Teraz, gdy trzęsę się skulona na łóżku, nie zostało mi nic z tej pewności. Nienawidzę swojego nieutulonego żalu, poczucia opuszczenia. Jak nisko upadłam... Kiedy ich miałam, byli moją dumą, teraz, gdy zginęli, został mi tylko wstyd. Było mi to pisane od samego początku. Jestem naznaczona. Coś musi być ze mną bardzo nie tak. Przez te pierwsze miesiące nieustannie tak myślałam. Bo niby dlaczego znaleźliśmy się właśnie tam, kiedy przyszła wielka fala? Dlaczego w moim życiu zdarzyła się ta wstrząsająca historia, to statystyczne nieprawdopodobieństwo? Może w poprzednim życiu byłam seryjnym mordercą? Z czasem wyzbyłam się tych myśli, lecz ciężar wstydu pozostał.

Zbliża się Boże Narodzenie, a ja nie mogę podzielać entuzjazmu moich synów. Nie ma ich przy kuchennym stole, nie wypisują świątecznych kartek do kolegów, do których nie odzywali się przez cały rok, ani dowodzących zachłanności listów do Świętego Mikołaja.

Nie mogę robić nic z tych rzeczy, które były dla nas normalne... i nadal są dla tak wielu innych. Wzdrygam się na myśl o tym, co się ze mną stało. A niezależnie od tego czuję wielki ból, bo po prostu bardzo mi brakuje moich bliskich.

Odwracam więc oczy od świątecznych dekoracji w witrynach sklepów na Bleecker Street, bo nie ma przy mnie Mallego, który byłby nimi zachwycony. Przed naszymi ostatnimi wspólnymi świętami brałam go na ręce wśród londyńskiej mżawki, żeby mógł zobaczyć pełne dzwoneczków scenki z *Dziadka do orzechów* przed Fortnumem i Masonem. Teraz ja, nieszczęsna matka, mam puste ręce. Przechodzę na drugą stronę, żeby uciec od zapachu choinek wystawionych na sprzedaż na chodniku koło domu. Ale i tak mimo woli przypominam sobie naszego znajomego handlarza z Friern Barnet Road ubranego w czapkę Mikołaja. Choinki szły mu jak woda. Któregoś roku udało mu się nam sprzedać czerwony metalowy stojak pod drzewko. „Solidna robota. Będzie na zawsze, skarrrie”, zachwalał swój towar. Ostatnio stojak nawinał mi się w szopie w ogrodzie. Sprzedawca mnie oszukał. Jest do niczego. Kiwa się.

Cały ten mój wstyd wydaje się płytki. Sprowadza się do tego, że czuję się ograbiona, ale w niczym mi to nie pomaga. Nie mogę jednak się go pozbyć. Ciężył mi przez całą wizytę w Londynie. Zajrzałam do szaf chłopców, pomyślałam, że dawno wyrosliby z tych ubrań. I odczułam to jak osobistą klęskę. Było akurat wolne w połowie semestru i z wszystkich ogródków dookoła dochodziły okrzyki dzieci skaczących na batutach. Ja miałam w domu tylko ciszę. Tak właśnie wyglądam teraz: wałęsam się po peryferiach naszego dawnego życia.

W Kolombo nie mam już domu, choćby pustego, pozbawionego dzieci. Chciałabym zaznać otuchy, jaką dawało mi to miejsce. Czuję się wydziedziczona. Kiedy tam wracam i idę do mojej dzielnicy, oblewa mnie zimny pot i robi mi się niedobrze. To nie do przyjęcia, że nie mogę wjechać przez tę bramę i wejść do rodzinnego domu. Znam tutaj każdą studzienkę, moja noga automatycznie wciska sprzęgło, a ręka bez wysiłku zmienia bieg. Pamiętam to miejsce idealnie. Ale czuję się z niego wyeksmitowana. Ciągle myślę, że tracąc ich wszystkich, straciłam własną godność.

Moja sytuacja nie mieści się ludziom w głowie. Słyszę o tym od czasu do czasu. Jakiś znajomy mówi: „Opowiedziałem komuś o tobie i ten ktoś nie mógł uwierzyć, że to prawda, nie był w stanie sobie wyobrazić, jak ty się czujesz”. A ja wzdrygam się na samą myśl, że przeżyłam coś, czego ludzie nie umieją sobie wyobrazić, choć czasem nawet sama się zastanawiam, czy to wszystko jest prawdą. Zdarza się, że jakiś gruboskórny krewny

odwraca się ode mnie, gdy wspominam o swoich strasznych przeżyciach. Kurczę się wtedy, upokorzona tym, że moje cierpienie okazuje się nie do zniesienia dla innych.

Jakież marne jest moje życie. Pozbawiona miłości i blasku moich najbliższych mam wrażenie, że schnę. Bez ich wsparcia, piękna, uśmiechu robię się mała i blada. Zupełnie nie przypominam sobie z dnia przed wielką falą, gdy siedzieliśmy na pace jeepa i podziwialiśmy młodego lamparta skaczącego w eleganckim stylu po gałęziach drzewa *palu*. Łypał z pogardą na stado małp, które drażniły się z nim z wysokości koron innych drzew. A obok, wśród unoszącego się w powietrzu prześwietlonego słońcem pyłu przesybowały jak mgiełka żołą o błękitnych ogonach. Czasem, nawet i teraz, bez trudu przywołuję w pamięci tę ich lekkość. Na parę chwil unoszą mnie ponad strach i wstyd.

Kobieta, która siedzi koło mnie w samolocie, ciągle się o coś dopytuje. Zbywam ją półsłówkami. Udaję, że śpię – droga z Nowego Jorku do Kolombo to dwa długie loty. Ona jednak nie daje za wygraną:

– Ma pani dzieci?

– Nie?

– A męża?

– Nie.

– Aha, czyli może się pani bez przeszkód poświęcać karierze. Widać, że bystra z pani dziewczyna.

Dziewczyna? I przecież ani słowem nie wspomniałam o żadnej pracy. Uśmiecham się uprzejmie. Czemu do niej nie dociera, że nie mam ochoty z nią rozmawiać? Nie okazałam ani krzty zainteresowania jej życiem.

– Pani rodzice mieszkają w Kolombo?

– Mmm... – Znowu udaję, że drzemię.

Jesteśmy nad Oceanem Indyjskim, zaczynamy podchodzić do lądowania. Jeszcze bardziej się ożywia.

– Ojej, ojej, będzie pani w domu na święta? Pewnie będzie pani miała piękne rodzinne święta. Ale miło.

Teraz stać mnie już tylko na słabiutki półuśmiech.

– A co pani rodzina robi na święta? Urządzacie wielkie przyjęcie?

Zamknij się, ty wścibska krowo, myślę sobie. Jakbym ci powiedziała prawdę, pewnie byś zemdlała. Musiałabyś wyciągnąć z góry maskę tlenową.

Mówienia prawdy unikam. Nie mogę się na to zdobyć. Na tę szokującą prawdę o mnie. Jak mogłabym wyjawić coś takiego niewinnej, niczego niepodważającej osobie? Z tymi, co znają „moją historię”, rozmawiam otwarcie. Mówię szczerze o nas, o Stevie, dzieciach, rodzicach, o wielkiej fali. Ale przy innych to ukrywam, trzymam pod korcem, bo nie chcę nikogo szokować ani robić komuś przykrości.

To takie do mnie niepodobne, ta skrytość i powściągliwość w kontaktach z ludźmi. Steve i Vik zawsze uśmiechali się drwiąco i unosili brwi, gdy zatrzymywałam się, żeby zagadać kolejną osobę na targu warzywnym albo na Muswell Hill High Street. („Co, ją też znasz?”). Teraz jednak trzymam dystans wobec niewtajemniczonych w moją tragedię. A przynajmniej zbywam ich ogólnikami. Wiem, że czasami balansuję na granicy prawdy i kłamstwa; zdarza się nawet, że kłamię. Ale po prostu nie potrafię cisnąć komuś prawdy

prosto w oczy, bo jest straszna, przytłaczająca.

Nie chodzi o to, że powinnam być z każdym szczerą. Nie przejmuję się niewinnymi kłamstwami wobec nieznanym. Ale niektórych ludzi widuję stale, chodzę z nimi na drinka, żartuję... tymczasem nawet oni nic nie wiedzą. Znają tylko moją pogodną stronę. A ja wyrzucam sobie oszustwo. Nie opowiedziałam im nawet połowy historii o Stevie ani moich rodzicach. Kto wie, do czego mogłoby doprowadzić wyznanie prawdy.

Może nie potrafię się do tego wszystkiego przyznać dlatego, że sama jeszcze do końca w to nie wierzę. Jeszcze za bardzo jestem wstrząśnięta. Przeżywam szok za każdym razem, gdy sama sobie powtarzam tę prawdę, a co by się działo, gdybym zwierzyła się komuś innemu? Wymijające odpowiedzi to mój sposób na oszczędzanie nerwów. Wyobrażam sobie, że wypowiadam słowa: „Cała moja rodzina nie żyje. Wszyscy zginęli w jednej chwili” – i robi mi się słabo.

Widzę jednak, że posiadanie tajemnicy mi nie służy. Dziwaczej. Utwierdzam się w przekonaniu, że moja historia jest aż tak okropna, iż mało kto jest w stanie ją zrozumieć. Siedzę na kawie z przyjacielem, który pewnie sądzi, że zna mnie całkiem dobrze. Myśli, że jestem w Nowym Jorku tylko dlatego, że przyjechałam przeprowadzić pewne badania na Columbi, bo na mojej macierzystej uczelni SOAS⁸ w Londynie mam urlop naukowy. Zapewne uznał, że jestem beztróskim naukowcem. Kiedy rozmawiamy, dochodzę do wniosku, że chyba sama w to wierzę, takiej wprawy nabrałam w swoich kłamstwach. Ta poza to jakieś szaleństwo. Muszę mu się przyznać. Mam już na końcu języka odpowiednie słowa, ale w ostatniej chwili się powstrzymuję.

⁸ School of Oriental and African Studies – Instytut Studiów Orientalnych i Afrykańskich Uniwersytetu Londyńskiego.

Z rana skończyła mi się herbata. Wpatrywałam się zaczerwienionymi oczyma w czerwone pudełko od Twiningsa przekonana, że wczoraj wieczorem nie było puste. Przeszukałam szafki, na próżno. Było w nich pełno innych herbat – ulung, jaśminowa, rumiankowa i japońska z prażonym brązowym ryżem – ale przecież rano nie da się tego pić. Wcześniej to by się nie stało, pomyślałam z rozpaczą. W domu herbata nigdy się nie kończyła. Albo – jeśli otwierałam pojemnik i znajdowałam na dnie tylko pachnący pył – Steve wyskakiwał za mnie do sklepu i wracał po chwili. Wiedział, że póki nie wypiję dwóch wielkich filiżanek, w ogóle nie jestem w stanie zebrać myśli. Dziś z rana zgmiotłam puste pudełko i cisnęłam je do kosza. I co mam teraz zrobić? Pójść do sklepu po jakąś herbatę? Nie chciałam poddać się rzeczywistości, w której muszę robić to, co zawsze robił Steve... Nie chciałam wędrować do sklepu spożywczego na Ósmej Alei, choć to parę minut stąd. Włączyłam czajnik i nalałam sobie kubek wrzątku. Siorbałam go z ponurą miną. Jak ja mam bez nich żyć?

Steve brał chłopców na zakupy, przeważnie w niedzielę po południu. W pierwszych tygodniach po wielkiej fali, kiedy nie potrafiłam przypomnieć sobie ich twarzy, powracała do mnie taka właśnie scenka: cała trójka przychodzi z supermarketu, a chłopcy kłócą się o jakiś słodki przysmak. I dziś jest właśnie niedziela; gdyby pojechali na zakupy, Vik dostałby całe mnóstwo słodyczy, bo w tym tygodniu przypadają jego urodziny. Skończyłby dwanaście lat. O tej porze roku dwanaście lat temu nie mogliśmy się doczekać, aż Vik się urodzi. Nadaktywny chłopak cały czas bujał mi brzuchem na boki. Wcześniej to mnie cieszyło, ale po kilku miesiącach zrobiło się męczące. Denerwowała mnie skorupa od maści cynkowej, którą musiałam smarować sobie wysypkę, jaka pojawiła się na ciele w ostatnich tygodniach ciąży. Moi rodzice byli u nas w Londynie, cali podekscytowani – to był ich pierwszy wnuk. Mama powtarzała Steve’owi, że ma dokładnie zapisać godzinę narodzin, co do minuty, albo i sekundy, bo jeśli czas będzie niedokładny, jej astrolog w Kolombo nie będzie mógł przygotować dokładnego horoskopu.

Vik urodził się przez cesarskie cięcie w trybie pilnym – nagły pośpiech położnych, lekarzy, igły wbite w kręgosłup, a przecież poszłam do szpitala tylko na rutynowe badanie. Stwierdzili jednak, że dziecko ma niepokojąco niskie tętno. Steve dobrze ukrył przede mną paniczny strach, do którego się później przyznał, natomiast ja w ogóle niczym się nie przejmowałam. Coś jest po prostu nie tak z urządzeniem monitorującym, pomyślałam, na pewno wszystko będzie dobrze. Kiedy chirurg coś szarpał i ciągnął, zaczęłam dygotać z zimna. Powiedziano mi, że to od znieczulenia. Steve grzał mi dłonie swoimi, pamiętając,

żeby co jakiś czas zerknąć na zegarek. „Ale czupryna”, mruknął jeszcze przed wyciągnięciem Vika, a chwilę później oboje poczuliśmy w dłoniach cudownie miękkie czarne włoski.

Chłopcy wodzili palcami po bliźnie na moim brzuchu, nie dowierzając, że stamtąd wyszli. Malli nawet przez jakiś czas chciał być mamą. Nie zwracając uwagi na protesty Vika, że chłopcy nie mogą rodzić dzieci, wtykał sobie pod koszulkę lalkę owiniętą w małe kocyki. Kiedy rodził się Malli, w szpitalu Royal Free panował spokój. Była to zaplanowana cesarka, bez nerwowej krzątaniny, za to Steve zapomniał spojrzeć na zegarek. „Trochę po dwunastej”, powiedział mojej mamie. To były zbyt mało precyzyjne dane, by jej astrolog mógł sporządzić horoskop. Dwuletni Vik popatrzył na swojego świeżo urodzonego brata i szepnął „Malli” głosem tak czułym, że wzruszam się na samo wspomnienie. Po syngalesku „malli” oznacza młodszego brata – odtąd już zawsze tak właśnie go nazywaliśmy, choć naprawdę daliśmy mu imię Nikhil.

Widzę nas teraz w dniu, kiedy Nikhil się urodził. Cudowna błogość. Malli śpi mi na brzuchu. Vik, który szybko znudził się bratem, niebezpiecznie wspina się na poręcz łóżka, żeby zobaczyć przez okno dźwig podnoszący jakieś stalowe pręty. Steve jest zbyt uradowany, by się przestraszyć, że chłopiec spadnie. Czopek z voltarenem łagodzi ból po cięciu. Myślę teraz o tym dniu i nie umiem pogodzić go z niewyobrażalną tragedią, która w sekundzie mnie ich pozbawiła.

Dzień przed wielką falą rozmawialiśmy o ich urodzinach. Siedzieliśmy w jeepie pod drzewem *weera*, a wokół polatywały krzykliwe gdaczące dzioborożce. Za kilka miesięcy Vik miał skończyć osiem lat. Malli co roku był zły, że Vik ma urodziny wcześniej od niego. Pytał, kiedy sam będzie mieć osiem lat. Steve wytłumaczył mu, że najpierw musi skończyć sześć, potem siedem i dopiero osiem. „A jak będę mieć osiem, Vik też będzie mieć osiem?”. Steve przyznał, że Vik będzie mieć wtedy dziesięć. Malli wybuchnął: „Eee, czemu ja zawsze muszę być młodszy?!” – tak głośno, że dzioborożce się rozpierzchnęły. My też odjechaliśmy.

Ósme urodziny Vika wypadły niecałe trzy miesiące po wielkiej fali. Byłam bliska obłędu. To on nie żyje? Chciał dostać na urodziny aparat i nową torbę do krykieta.

Ostatnio zajrzałam do jego starej torby. Przez ponad cztery lata nie potrafiłam się przemóc. Patrzyłam na kij i w każdym wyszczerbieniu widziałam zamach rąk doskonalących uderzenie. Czerwona piłeczka, cała w trawie i błocie. Kiedyś Vik omal nie złamał Steve’owi środkowego palca, odbijając do niego w ogrodzie; i to nie była jego

wina, to jego tata okazał się na tyle nierozsądny, że nie włożył rękawic. W torbie były jeszcze kask, nakolanniki, przepocony ochraniacz na pierś i poźółkłe białe rękawice. A między tym wszystkim jeden listek. Mały, ciemnobrązowy, spiczasty. Nie umiałam poznać, jaki to gatunek; był wyschnięty i kruchy, ale nitkowate żyłki i ząbkowane brzegi zachowały się idealnie przez tyle lat. Trochę się pokruszył, kiedy go podniosłam, pył sypnął mi się na dłonie. Skąd on się wziął? Z naszego ogrodu? Może z klubu krykietowego Highgate Wood, gdzie Viki grywał z tatą między siatkami, ja pilnowałam Mala, który wspinał się na poukładane pnie i gałęzie albo chował się za drzewa, a potem krzyczał „Mamo!”, trochę przestraszony, że mi się zgubił.

Mama. Czasem trudno mi uwierzyć, że byłam ich mamą. Choć pamiętam wiele szczegółów z ich narodzin albo na przykład to, że uspokajałam Mallego, kiedy wyglądał wtedy zza drzewa, prawda o macierzyństwie skryła się we mgle i wydaje mi się odległa. Naprawdę byłam mamą? Naprawdę umiałam przewidzieć nadchodzący ból ucha po kolorze smarków? Naprawdę szukałam z nimi w Internecie zdjęć żarłaczy ludojadów i owijałam ich niebieskimi ręcznikami, kiedy wychodzili z wanny?

Oczywiście wiem, że to byłam ja, ale ta świadomość jest mętna, chwilami nawet przerażająca. Dziwne. Przede wszystkim oni zginęli, więc co ja robię wśród żywych? Chyba nie mam serca. Przecież jestem ich matką. Oczywiście jestem udręczona, prawie co noc we śnie płaczę za nimi. Wciąż jestem zdruzgotana jak w tych pierwszych tygodniach, kiedy nie byłam w stanie wyjść z pokoju, bo wiedziałam, że nie ma przy mnie moich dzieci. Ale to wszystko przecież za mało. Moje reakcje nie mogą się równać z okropieństwem ich śmierci. Chyba nic nie może, myślę, wyobrażając sobie, jak rzucam się w spienione fale w Yali, tym razem skutecznie, bez żadnego łapania się gałęzi.

Czy to, że byłam ich matką, nie dociera do mnie dlatego, że jeszcze jestem tym wszystkim oszołomiona, zszokowana, jak raptownie się to skończyło? Może sama to z siebie wyparłam w szoku i rozpacz, gdy w jednej chwili ich zabrakło. Byłam z nimi tak mocno związana, wsłuchana w ich nastroje i potrzeby, a potem chciałam się od tego odseparować, z determinacją i furją, bo moje trwanie przy nich nie miało sensu – już ich mamą nie byłam. Nawet teraz, mniej więcej cztery lata później, niechętnie budzę tamte uczucia, gorące i czułe, z czasów, kiedy jeszcze żyli. Jak to znieść w tej pustce? Nie chcę wspominać ciężaru Mallego w moich ramionach, gdy niosłam go do domu po tym, jak zasnął w samochodzie. Nie chcę słyszeć, jak Vik pyta mnie po treningu piłki nożnej, czy dobrze grał, tym swoim niepewnym tonem, sugerującym, że wie, że nie, ale potrzebuje,

żebym pocieszyła go gładkim kłamstwem. Jeśli dopuszczę to do siebie, oszaleję z tęsknoty za nimi.

Czy to prawda?

A może wypieram świadomość macierzyństwa, bo chwilami czuję się odpowiedzialna za ich śmierć? Wtedy, w grudniu, to my zabraliśmy chłopców na Sri Lankę, ja i Steve. Choć zrobiliśmy tylko to samo, co zawsze, a winne było osunięcie się płyt tektonicznych, nie mogę wyzbyć się poczucia, że zaprowadziłam ich na śmierć, a oni mi ufali. Dlatego niechętnie wspominam, jak troskliwie się nimi opiekowałam. Nie mogę znieść świadomości, że całe życie na mnie liczyli. Mimo to chwilami nie mogę się oprzeć pokusie zajrzenia w tamto życie. Kiedy ostatnio w Google Maps pojawiły się trójwymiarowe mapy całego Londynu, spojrzałam na naszą ulicę i raptem stałam się tamtą osobą z przeszłości. Idziemy do szkoły. Mówię chłopcom, żeby zapięli kurtki. Biegną przede mną. „Vik, nie wleź w kupę!”, słyszę własny głos. Ciągłe wchodził, jeśli nie uważałam.

Ale kiedy byłam ich matką, zawiodłam ich. Jeep przewrócił się we wzburzonej wodzie, a później przez kilka minut, nie mam pojęcia, jak długo, nie myślałam o tym, co się z nimi dzieje. To prawda, potwornie mnie ścisnęło i miażdżyło w tej wodzie, sądziłam, że umieram. Ale nie krzyczałam, że się nie zgadzam. Nie opłakiwałam ani ich, ani swojego życia. Myśl, która kołatała mi się w głowie, to coś w rodzaju: „Już koniec, i co teraz”. Sama się temu dziwię. Spodziewałabym się po sobie czegoś szlachetniejszego. Na litość boską, zaledwie chwilę przedtem byliśmy w naszym pokoju hotelowym, dzień wcześniej było Boże Narodzenie, a w tej kipieli stać mnie było tylko na „i co teraz”? Wprawdzie były chwile, że chciałam zostać przy życiu tylko dla moich chłopców, ale się poddałam. Supermatka.

Kiedy ten jeep się wywrócił, woda porwała nas na wszystkie strony. Wymknęli mi się, nawet nie zauważyłam kiedy, nie uświadomiłam sobie, że się rozdzieliliśmy. Wcale nie starałam się trzymać w objęciach moich dzieci, kiedy morze mi je wrywało, nic mi ich nie wyszarpnęło, nie widziałam ich ciał. Po prostu na zawsze zniknęły z mojego życia. Czy chcąc przyjąć tę niesamowitą i brutalną prawdę, muszę zamącić pamięć o naszym wspólnym życiu?

O tym, że Malli chciał, żeby go pocałowała na pocieszenie w palec u nogi za każdym razem, gdy sobie go stłukł, biegając boso po ogrodzie. O tym, że wielka fala przyszła po nas, kiedy chłopcy bawili się prezentami gwiazdkowymi w pokoju hotelowym... Nawet nie byliśmy wtedy nad oceanem... Może dlatego wypieram oba aspekty rzeczywistości, że nie

wiem, jak ma wyglądać ich współistnienie. Nie mam pojęcia, czy robię to świadomie. Ale nie było mnie przy moich chłopcach, kiedy najbardziej tego potrzebowali. Wiem, że w tej wodzie byłam całkiem bezradna, nie mogłam do nich dotrzeć, nawet nie miałam pojęcia, gdzie są. Mimo wszystko i tak ich zawiodłam. W tych strasznych chwilach moje dzieci były tak samo bezradne jak ja, a ja nie mogłam być przy nich, choć tak bardzo mnie wtedy potrzebowwały. Wzdrygam się na samą myśl o tej bezradności, tak samo jak nie mogę znieść wspomnienia o Viku krzyczącym ze strachu na moment przed tym, gdy jeep napełnił się wodą. Jakże mogłabym znieść prawdę, że jestem ich matką, kiedy muszę żyć ze świadomością tego, co się stało?

I to jeszcze nie wszystko. Ja nawet nie zaczęłam ich szukać. Kiedy woda ustąpiła, puściłam się tej gałęzi i nie szukałam dzieci. Prawda, byłam zamroczona, trzęsłam się, dygotałam i kaszlałam krwią. Lecz i tak wyrzucam sobie, że nie przemierzyłam całej ziemi w poszukiwaniach. Mój krzyk powinien trwać wiecznie. A ja tymczasem gapiałam się na podmokłe zarośla dookoła i powtarzałam sobie, że oni nie żyją. Przypominam sobie teraz, że już wtedy zastanawiałam się, co zrobię ze swoim życiem. A przez te następne miesiące, gdy rodzina i znajomi przeczesywali kraj, szukając Mallego, nie obchodziło mnie to, twierdziłam wręcz, że ich działania są pozbawione sensu. Dlaczego tak łatwo przeszłam do porządku nad tragiczną rzeczywistością? Bo rozpaczliwie nie chciałam dopuścić do siebie jakiegokolwiek nadziei z obawy, że zaraz się rozwieje? A może dlatego że znałam prawdę? Trudno powiedzieć. Byłam jednak ich matką i powinnam ich szukać na wszelkie sposoby, nawet gdyby wydawały się bezsensowne i daremne. Nie zrobiłam tego: porzuciłam moich chłopców i tego się teraz wstydę.

Czasem mi się wydaje, że poczułabym się ich matką, gdybym nieustannie szlochała, zawodziła, rwała sobie włosy z głowy i drapała ziemię w akcie bezradności. Lecz przez te lata rzadko byłam tego bliska. Dlaczego tak się dzieje? To przecież nienaturalne, reaguję anemicznie i sama się sobą brzydę. Owszem, bez rodziny czuję się jak sparaliżowana, ale spodziewałam się czegoś zupełnie innego, intensywniejszego. Przypomina mi się, jak miałam chyba z osiem lat, siedziałam po turecku na balkonie naszego domu w Kolombo i tłukłam komary, słuchając lamentów kobiety z niedalekich slumsów, której zmarła siostra. Dzień za dniem jej krzyki i przekleństwa niemal bezustannie niosły się po okolicy, a ja słuchałam ich jak zahipnotyzowana, sądząc, że tak właśnie trzeba się zachowywać, kiedy umrze ktoś nam bliski. Gdzieś głęboko w duszy musi mi się jeszcze czaić ta myśl, bo za każdym razem, gdy czytam o zwycięstwie Anglii w krykieta albo o tym, że Pluton już nie

jest planetą, nienawidzę siebie za to, że nie rozpaczam bez ustanku. Uświadamiam sobie wtedy, jak bardzo te informacje zainteresowałyby Vika. Może gdybym lamentowała, nie zaskakiwałaby mnie ciągle świadomość, że byłam ich matką. Przejmuję się jednak, czytając te słowa, wciąż kipi we mnie ból.

Bywają chwile, w których doświadczam jasności umysłu i akceptuję prawdę, że byłam matką moich synów, bez zastrzeżeń, bez goryczy i bez ściśniętego serca. Czasem taki stan wywołują we mnie rozległe bezludne krajobrazy. Niedawno byłam ze swoją przyjaciółką Malathi w Szwecji pod kołem podbiegunowym, na jałowym brzegu zamarznętego jeziora, otoczonego gołymi brzozami w mroźnej mgle; każda gałąź opalizowała w łagodnym świetle i była pokryta meszkiem jak rogi jelenia. Zanurzona w tej bezkresnej bieli wiedziałam, że byłam matką moich chłopców, i nie czułam przerażenia, nie zamierzałam się obwiniać. Czułam tulącego się do mnie, usadowionego na kolanach Mallego. Pozwoliłam sobie na wspomnienie, jak owijał mnie nogami, ściskając garb wielbłąda ryczącego arabską piosenkę, od której puchły nam uszy. To bardzo różniło się od mojego typowego, nieśmiałego wspomnienia. Może ta lśniąca pustka przełamała moje szyki obronne, uwolniła myśli i uleczyła serce? Sama się dziwiłam temu, z jaką odwagą wkraczam z powrotem do tamtego życia.

Zdarza mi się to też w naszym londyńskim domu, chociaż nie mogę pozostawać w tym stanie zbyt długo. Kiedy ostatni raz tam byłam, siedziałam w pokoju chłopców i zastanawiałam się, czy to naprawdę ja codziennie rozkładałam im ubrania na łózkach. Znalazłam ukochane czarne spodnie dresowe Vika, wytarte na kolanach do białości. Dotknęłam ich i wątpliwości wyparowały. Leżąc na podłodze, wypłakiwałam się w nie przez dobrą chwilę, jak przystało na matkę. Przestałam, dopiero kiedy zajrzałam do kieszeni i znalazłam paperek po cukierkach Love Hearts, które tak lubił. Steve ustępował mu i kupował te paskudztwa. Ja nigdy tego nie robiłam. I znów wkurzyłam się jak wtedy, przypominając sobie, z jaką radością Vik ssał te pastylki, obracając w ustach sercowate kształty językiem całym jaskrawocytrynowym od barwnika E-ileś tam. Ohyda.

– Kręciłaś się jak wrzeciono – powiedziała. – Wyobraź tylko sobie.

Moja przyjaciółka Caryll spotkała mężczyznę, jednego z tych, którzy mnie znaleźli w tej błotnistej dżungli po przejściu wielkiej fali. Szukała czaszki krokodyla do muzeum. Londyńska podstawówka Vikrama i Mallego, Holly Park School, utworzyła fundusz ich imienia i zebraliśmy pieniądze na modernizację małego muzeum przyrodniczego w Yali. Właśnie tam siedziałam na ławce, nieprzytomna, przez pierwsze godziny po przejściu fali. Caryll zajęła się organizacją remontu – jest niezwykle skuteczna w załatwianiu różnych spraw – i placówka wypiękniała nie do poznania.

Opowiedziała mi, co mówił ten człowiek, który mnie uratował. Do tej pory nie miałam o tym pojęcia.

– Mówił mi, jak cię znalazł. Bo to na pewno był on. Opowiedział mi dokładnie to samo, co ty. Ale powiedział też coś dziwnego. Dalej mam ciarki, jak o tym myślę. Ten facet jest strażnikiem parkowym. Powiedział, że w dniu tsunami jechał do parku z kilkoma facetami, kiedy dowiedzieli się o wielkiej fali. Skręcili do hotelu, bo ktoś powiedział, że fala go zalała. Ale droga też była zalana, nie dało się jechać. Wysiedli z busika. Mówił, że wyglądało to jak koniec świata. Nikt nie miał pojęcia, co się stało. Któryś z jego kolegów zaczął wrzeszczeć, że demony niszczą świat. Potem reszta zaczęła wołać, pytać, czy ktoś żyje, prosić, żeby ludzie się pokazali. Jakiś chłopak zawołał o pomoc. Poszli go szukać. I zobaczyli ciebie. Tak jak mówiłaś. Miałaś na sobie ciemnoniebieską bluzkę bez rękawów. Bo miałaś, prawda? I powiedział, że nie miałaś spodni. Ale posłuchaj. Mówił, że czegoś tak dziwnego w życiu nie widział. Cała byłaś w czarnym błocie. Nie, słuchaj, to jeszcze nie koniec. Kręciłaś się w kółko. Cały czas. W kółko. Jak dzieci, kiedy chcą, żeby im się zakręciło w głowie. Rozmawiałam z nim w jego pokoju w biurze. Wstał z krzesła i mi pokazał. Jak się kręciłaś w tym błocie. Cały był wstrząśnięty. Nie mogłaś przestać. Kiedy chciał cię zabrać, nie pozwoliłaś mu. Nic nie mówiłaś, ale potrzasałaś głową. I cały czas się kręciłaś. Ktoś inny owinał cię koszulą. Zaciągnęli cię do busika. Zawieźli do kasy i pobiegli szukać innych ocalałych. Mówił, że potem często się zastanawiał, co się z tobą stało. A, i jeszcze, słuchaj. Opisał, gdzie cię znalazł. Niedaleko hotelu, nad samą zatoczką. Woda wdarła się tyle kilometrów w głąb lądu. Potem wróciła do morza przez zatoczkę. Poniosła cię kawał drogi i z powrotem. W ostatniej chwili złapałaś się tego drzewa, inaczej zmyłoby cię do morza. Temu facetowi nie dawało spokoju to, że się tak kręciłaś. Jakbyś była w transie. Może w wodzie też wirowałaś i nie mogłaś się zatrzymać? Pytałam go, czy jest pewien. Tak, tak, powtarzał. *Karaki karaki hitiya*. Wyobrazasz sobie?

Rozdział szósty



Na autostradzie międzystanowej nr 70, na trasie z Denver do Snowmass, córka Anity, Kristiana, pyta mnie, co to takiego miasto-widmo. Zaskakuje mnie tym pytaniem. Bo brzmi bardzo znajomo. Kiedyś bardzo często odpowiadałam na różne dziecięce pytania, tłumaczyłam jej i Vikowi różne rzeczy, o żukach gnojowych, mrowiskach, stolicach świata, pierścieniach Saturna, dinozaurach z kaczymi dziobami. Czasem dorzucałam jakąś zabawną historyjkę, żeby ich rozśmieszyć:

– Kiedy byłam mała, moja koleżanka ze Sri Lanki zjadała mrówki, które chodziły jej po butelce oranżady. Mówiła, że mają dużo witaminy C. I wcale jej w język nie pogryzły.

– A zjadła całe mrowisko?

– No nie, może z pół.

Teraz jednak stać mnie jedynie na zdawkowe wyjaśnienie. Jak miałabym odpowiadać jej na pytania, kiedy nie ma z nami Vika? Kiedy nie ma Vika, żeby zachwycał się moimi odpowiedziami albo marszczył nieufnie brwi. Jak mam się zmusić, żeby powiedzieć jej to samo, co mówiłabym im obojgu? Gdyby jechał z nami Vik, popłynęłyby historie o gorączce złota i jego poszukiwaczach, o wysadzaniu skał, budowie kolei, o wierceniu tuneli w skałach w poszukiwaniu rudy srebra.

Byli jak rodzeństwo: Kristiana, jej siostra i moi chłopcy. Dobrze się czuli w swoim towarzystwie, chociaż nieraz się kłócili. W Londynie byliśmy sąsiadami, odkąd Kristiana i Vikram mieli sześć miesięcy. Alexandra i Malli w ogóle nie pamiętali świata bez siebie. A z biegiem lat, znaczonych przez niezliczone bijatyki i zgody, młodszy i starszy duet upodobniły się do siebie nawzajem, dopasowując się w pewnym stopniu tak charakterami, jak i zainteresowaniami.

Widzę nas wszystkich w piątkowy wieczór: Anita, Agi, Steve i ja siedzimy u nas w kuchni. Stół zastawiony butelkami czerwonego wina, z piekarnika pachnie czosnkiem i rozmarynem, którym Steve naszpikował udziec jagnięcy, grzeje nas *When the Lights Go on Again* Abbey Lincoln. W pokoju dzieciennym Vik czyta Kristianie fragmenty z *Przewodnika po dzikich ptakach Sri Lanki* G.M. Henry'ego – to jego najnowsza obsesja. Kristiana, jak zawsze pogodna i uprzejma, stara się wykrzesać z siebie entuzjazm dla rozpiętości skrzydeł i sposobu gniazdowania jakiegoś nikomu nieznanego ptaka. Młodsza parka co chwila chodzi do łazienki, na zmianę kucając i patrząc, jak drugie sika. Twarze mają grubo zasmarowane kredkami. Przewrócona kanapa robi za zamek. W miarę upływu czasu nasze kuchenne rozmowy przerywa coraz głośniejszy jazgot dzieci. Lecz wino jest takie dobre, że nikomu z nas nie chce się wyrwać z błógiego otępienia i zbadać sytuacji.

A teraz jestem w transie, jadąc przez Góry Skaliste z Anitą, Agim i dziewczynkami, które przywodzą na pamięć moich chłopców. Przytłaczają mnie wszystkie miny, gesty, maniery i przekręcane wyrazy; widzę w nich odbicie zachowań Vika i Mala. Chcę odwrócić wzrok, ale ukradkiem ciągle zerkam, spragniona każdego kolejnego obrazu. Alexandra ogląda telewizję, w skupieniu podpierając piąstkami podbródek. Właśnie tak siadał Malli i łytał na mnie, kiedy wchodziłam do pokoju: „Nie przeszkadzaj mi”. A teraz widzę całą ich czwórkę, wpatrzoną w popołudniowy program telewizyjny. Na oparciu naszej czerwonej kanapy balansuje niebieska miska pełna pestek z mandarynek.

Mój umysł nie daje sobie z tym rady. Wszyscy powinni być tutaj. Vik i Malli powinni razem z dziewczynkami jechać na narty. Mieliby twarze zaróżowione od słońca i wiatru albo od wskakiwania do gorącego jacuzzi. Cała czwórka często kąpała się razem w wielkiej wannie u Anity, przepychając się łokciami, żeby mieć więcej miejsca. Policzki były całe w bańkach z piany. Widzę to tak, jakby to się działo teraz. Mam ochotę wyciągnąć Mallego z wanny i wdychać zapach kredek z jego twarzy.

Kiedy dziewczynki się odzywają, cała zamieniam się w słuch, bojąc się, że świadomość tego, co mogłabym mieć, rozedrze mnie na strzępy. Gdy sama sobie wyobrażam, co chłopcy by teraz robili, dbam o to, by przed oczami przesuwały mi się zamglone obrazy. Teraz jednak nie da się w żaden sposób zawoalować tego, co mówią Kristiana i Alexandra.

Któregoś wieczoru długo rozmawiamy o Viku i Mallim. Przypominamy sobie różne zabawne zdarzenia. Dziewczynkom błyszczą oczy, gdy opowiadają o tym, jak Vik chciał trzymać w domu wronę. Ja z kolei mówię o trzech żółwiach słodkowodnych, które mieli w Kolombo. Malli dał jednemu z nich na imię Pirat, bo tak naprawdę chciał mieć psa. Opowiadam im, że kiedy żółwie zachorowały i zdechły, bałam się, że będzie im smutno, a tymczasem Vik nakarmił nimi wrony. Taki był śmieszny, mówi Aleks. Kiedy jej niebieskie oczy rozbłyskują wspomnieniami, widzę, jak wiele z Vika i Mallego pozostało na zawsze w tych dziewczynkach. Jak mam przed tym uciec? Czy mam osłonić przed nimi oczy i uszy, skoro cały czas mimo woli zasypują mnie raniącymi odłamkami? Nie potrafię. Dla nich też to, co się stało, było nie do uwierzenia. Pojechaliśmy jak zawsze na Sri Lankę na święta i nigdy nie wróciliśmy. „Vikram świetnie pływa, na pewno przepłynie tę falę” – powtarzała Kristiana przez te pierwsze dni, kiedy trudno było zebrać myśli. I wtedy też nabrała zwyczaju bekania, głośnego, umyślnego. Nie robiła tego nigdy wcześniej. To nasz Vik był mistrzem świata w przeraźliwym bekaniu. „Chyba weszła w nią część jego ducha”,

powiedziała mi później Anita. A przynajmniej to, co było w nim najbardziej nieznośne.

Kristianę boli brzuch. Teraz śpi mi na kolanach. Vikowi zdarzało się spać tak samo. Zapadał się we mnie swym ciężarem, wiercił się, póki nie znalazł najwygodniejszej pozycji. To mógłby być Vik. Kosmyk włosów opada jej na twarz, odgarniam go. Jej włosy nie są prze pocone. Vik zawsze strasznie się pocił, kiedy spał mi na kolanach. Siedzę, patrzę na ośnieżone szczyty Gór Skalistych błyszczące w nisko stojącym słońcu, w głowie słyszę jak refren: „Vik już nigdy nie będzie mi spać na kolanach”. Kristiana porusza się, łapie się za brzusek, pojękuje. Przesuwam jej palcami po włosach, żeby spała dalej, póki syrop z paracetamolem nie rozprawi się z bólem brzuszka; dokładnie tak, jak postępowałabym z Vikramem.

LONDYN, 2009

Rolety mające zaciemnić sypialnię chłopców nigdy nie spełniły swojego zadania. Nie sięgały do samego dołu, więc latem słońce zaglądało tam stanowczo za wcześnie. Promyk słońca skradał się po dywanie i rozświetlał otwartą książkę albo porzuconą poprzedniego dnia zieloną skarpetkę. To wystarczało, żeby obudzić Vika. W jednej chwili był przy oknie i wołał na brata, żeby wstawał szybko, bo w ogrodzie mogą być lisy. Rezygnowałam z prób dalszego spania, słysząc ich krzyki. „Lis! Lis!”. Schodziłam chwiejnie na dół, żeby wypuścić ich na zewnątrz, gdzie można było już podziwiać przepiękny poranek. Te wybrakowane rolety oznaczały całe godziny zabaw przed wyjściem do szkoły. Pięć lat temu, choć wydaje się, że to było przed chwilą.

Denerwuję się za każdym razem, gdy wracam do naszego domu. Może pojedę tam o innej porze roku, mówię sobie. Jak ja wytrzymam tę nieznośnie soczystą zieleń na dworze? Ogród buzuje wczesnym latem tak samo teraz, jak i wtedy. Na trawę kładą się późnowieczorne cienie. Krzewy dzikiej róży migoczą w ostatnich promieniach słońca przesączonych przez wierzbę sąsiadów. Dwa pulchne rudziki szybują nad trawnikiem, by wylądować na wiciokrzewie, tak oswojone, że prawie ocierają mi się o rękę. Zauważam fioletowego diabła morskiego. Malli ganiał wzdłuż grządek z całymi garściami plastikowej oceanicznej fauny. Steve i Vik siadywali pod jabłoniami i jedli grzanki z sardynkami. Już pięć letnich sezonów minęło bez nich w tym ogrodzie.

Ale ta wizyta w domu jest trochę inna. Poprzednim razem odważałam się tylko na ukradkowe spojrzenia w stronę mojej rodziny. Zerkałam tam od czasu do czasu, ale wołałam, żeby obraz pozostał zamazany. Teraz właściwie nie odrywam od nich wzroku, całkiem inaczej niż wtedy, kiedy żyli. Stale coś badam, zauważam, jakbym od nowa ich odkrywała. Gromadzę szczegóły o nich i o nas.

Przez ostatnie pięć lat panicznie się tych szczegółów bałam. Mówiłam sobie, że im więcej będę pamiętać, tym bardziej będę nieszczęśliwa. Teraz jednak przestaję walczyć ze wspomnieniami. Chcę pamiętać. Chcę wiedzieć. Może dzięki temu będę to wszystko lepiej znosić. A może podejrzewam, że i tak nie zaznam już spokoju.

Cały dom iskrzy ich obecnością. Aż nią dźwięczy.

Na blacie w kuchni wala się kilka płyt bez okładek. W ostatnich miesiącach Steve puszczał je chłopcom, muzykę z jego młodości. Vik niezgrabnie podskakiwał przy *Our House* grupy Madness. Cała trójka wywrzaskiwała: „*It's nice to be a lunatic, hit me!*” – z piosenki *Hit Me with Your Rhythm Stick* Iana Dury'ego. Jestem teraz w stanie zaczerpnąć

trochę tej energii. Ciągle iskrzy między tymi ścianami.

Zapach starego pudełka po butach przywodzi na myśl niedzielne wieczory. Są w nim przybory Steve'a do pastowania butów. Grzebię w kartonie. Między pastami i szczotkami leży szmata, której używał do ostatniego polerowania, ta sama od lat. W niedzielę wieczorem siadał na schodach i glansował buty sobie i chłopcom. Przytykam kawałek flaneli do nosa. Nadal pachnie jak początek nowego tygodnia. Twarz mam mokrą od łez. Ale jednocześnie to miłe i upragnione: ta stara szmata mówi mi, że to nasze życie toczyło się naprawdę.

„Najgorszy dzień w moim życiu” – te słowa, wypisane charakterem Vika, widzę na kanapie w pokoju dziecinnym. Przeżywam zaskoczenie. Nigdy tego nie widziałam. Ani przed falą, ani po. Czemu Vik to napisał? Czy zrobił to z mojego powodu? Pobił się na placu zabaw, zdenerwował się, a ja nie zwróciłam uwagi? Potem na oparciu widzę jakieś wyniki meczów – Liverpool przegrał. Przez chwilę czuję ulgę, a potem z całego serca pragnę pocieszyć synka, chociaż nic nie mogę zrobić.

Przez ostatnie lata nie dopuszczałam do siebie myśli o codziennych urazach i lękach moich dzieci, o ich kruchości i wrażliwości. Łatwiej mi było wspominać je z humorem, przywoływać w pamięci chwile, w których okazywały charakterek. Teraz jednak przyglądam im się bliżej, widzę je całościowo.

Przez lata powtarzałam sobie, że nie ma sensu podziwiać cech charakteru i zainteresowań swoich dzieci, skoro one dawno nie żyją. Lecz teraz, we własnym domu, pełnym najrozmaitszych dowodów i wspomnień, odblokowuję się i pozwalam sobie na odrobinę zachwyty.

Znajomi często zauważali, że nasi chłopcy są bardzo skupieni na swoich hobby, co było dość niezwykle jak na ich wiek. Czasem chciałam trochę odciągnąć Mallego od teatru, aby chociaż nauczył się poprawnie pisać. Ale wszystko z naszego salonu – od grubo tkanej narzuty przez rzeźbioną ramę okienną z Nepalu po mosiężną kobrę – stawało się rekwizytami do „przedstawień”, które wymyślał. Lubił przenosić się w świat fantazji. Mając wielki zbiór lalek i przebrań, nieustannie wyczarowywał coraz to nowe historie. A wyobraźnię miał czasami zaskakującą. W gabinecie widzę typowe dla małego dziecka malowidło z niebieskich i brązowych kleksów. Malli namalował to, kiedy miał mniej więcej trzy lata. „Ładnie, ładnie, Mal. A co to?” – zapytałam go wtedy w roztargnieniu. „Człowiek, który stracił dłonie w kałuży”, odparł Malli bez zastanowienia.

Ze Steve'em zachęcaliśmy go do ciągłych poszukiwań, broniliśmy go, kiedy nauczyciel

się skarżył, że zepsuł mu lekcję, upierając się, że samochody są żywe. Zaniepokoiła mnie jednak jego przebiegłość w dniu, gdy specjalnie podstawił starszemu bratu nogę na ulicy. Nie było mnie przy tym, opiekunka opisała mi, co się stało, a Vik miał rozcięte czoło.

– Policja widziała, jak to robisz, i zadzwoniła do mnie ze skargą – skarciłam go, teraz sama posuwając się z fikcją za daleko.

Uwierzył mi, ale był niewzruszony.

– Nie powiedzieli, o której godzinie, prawda? Nie powiedzieli, jaki kolor skóry mieli ci chłopcy. Może byli biali? Mogło chodzić o innych chłopców.

– Co z niego wyrośnie? Przestępca czy sędzia? – pytałam potem Steve’a.

Ten potencjał naszych dzieci ciągle tkwi między ścianami domu.

Wszędzie widzę kartki A4 zapisane obliczeniami Vika. Najróżniejszymi. Vik był zdumiewająco bystry. Bez wysiłku przyswajał sobie najrozmaitsze pojęcia. Siedzę na naszym łóżku i przypominam sobie czas przed snem, kiedy siadał koło mnie, zajęty jakimś zadaniem matematycznym, o które mnie prosił. Steve i ja staraliśmy się pobudzać jego ciekawość. Zapoznawał nas z najdrobniejszymi szczegółami jakiegoś zjawiska ze świata przyrody, którą interesował się niemal fanatycznie. Chłonał wiadomości na temat każdego stworzenia, które go fascynowało, i zachowywał się niemal jak ono. Kiedy był młodszy, stawał przed szkieletem brachiozaura w londyńskim Muzeum Historii Naturalnej (które było dla nas jak drugi dom, Vik mógł się po nim poruszać z zamkniętymi oczami), wyciągał szyję, wyginał całe ciało, jakby stapiał się z wielkim gadem. Potem zauważyłam, jak obserwuje orły, śledzi ich szybujący lot i przybiera drapieżny wyraz oczu.

Kładłam się z Vikiem na jego łóżku i przegadywaliśmy ostatnie pół godziny przed zaśnięciem. Podekscytowany opowiadał mi o grupie teatralnej, która była tego dnia w szkole, o tym, że wszyscy wystąpili w *Burzy*, że było super, a on grał Prospera. Albo przeglądałam jego pismo o krykocie i rzucałam: „O, ten to jest przystojny” – patrząc na zdjęcie Rahula Dravida. „To kogo ty kochasz, mamó, tatę czy Dravida?”, napominał mnie, natychmiast stając w obronie Steve’a, najlepszego ze wszystkich ojców. Dziś siedzę na tym samym łóżku i wspominam, jak wspaniale porozumiewałam się z Vikiem. Widzę go, jak podwija nogawkę piżamy, żeby ostrożnie zdrapać strup z kolana. Nie wyrywam się jak wcześniej z powrotem do rzeczywistości. Może jednak ten paraliżujący mnie podział na dawniej i teraz da się zlikwidować? Ale wtedy będę wariować z tęsknoty za nimi.

Na razie pozwalam sobie, przynajmniej od czasu do czasu, na chwile tęsknoty. Już nie trzymam swoich uczuć na wodzy. Kładę się więc pod jabłonią na samym końcu ogrodu,

na macie wciąż poplamionej po naszych piknikach, i patrzę na dwa puste karmniki dla ptaków, które Steve kiedyś powiesił na gałęziach. Bardziej niż czegokolwiek pragnę teraz usłyszeć paplaninę chłopców w sobotni rano, napełniających te karmniki „ptasimi orzechami”.

Może taka swobodniejsza tęsknota przyniesie mi trochę ulgi. Bo kiedy usiłowałam ją powściągać, szczególnie tu, w domu, wcale nie łagodziło to bólu. Przy wcześniejszych wizytach, zwłaszcza wieczornych, brak moich najbliższych rzucał się na mnie ze wszystkich ścian i drzew, atakowała mnie pustka. Dziś jest trochę inaczej. Ta pustka nie ciąży mi już jak ołów. Kładę się do łóżka ubrana w sarong Steve’a i przypominam sobie, jak starałam się od niego odsuwać, bo zasypiając, uparcie wtulał się we mnie. I tak strasznie tego teraz pragnę...

Poznając moich synów jakby od nowa, zbierając strzępki naszego życia, czuję się pewniej, nie jestem już tak rozdarta, oszołomiona. Już nie zadaję sobie w kółko pytania, czy naprawdę byłam ich matką. Jak to możliwe, żeby taka ogromna część mojego życia wydawała mi się obca? Szybciej dojdę do siebie, jeśli przyjmę trochę ich radości.

Po ścianie w salonie pną się kreski w miejscu, gdzie ze Steve’em zaznaczaliśmy czerwonym pisakiem wzrost chłopców. Widzę te bazgroły i natychmiast wpadam w dawną rolę. Wiem, że to ja rozstrzygałam spory, kto więcej urośł. Wiem, że to ja upominałam Mallego, kiedy stawał na palcach, żeby być wyższym, opierając się piętami o lekko odstającą listwę pod ścianą. I to ja mówiłam Vikowi, że nie ma sensu wypijać szklanki mleka tuż przed mierzeniem. Przecież od razu się od tego nie urośnie. Bez namysłu lekko całuję te czerwone ślady od pisaka, tak jak całowałam moich chłopców w czubki głów. Potem osuwam się na podłogę, plecami do tej ściany.

Tutaj, właśnie tu, w naszym domu, zaskakuje mnie konstatacja, że jednak czasami moi bliscy dają mi spokój. W zielonym zmierzchu w ogrodzie na krawędź mojego kieliszka ze schłodzonym winem wspina się kosarz. Wtedy sobie przypominam. Właśnie o tej porze roku wprowadzaliśmy się tutaj.

W Londynie mieliśmy wtedy jeden z rzadkich upalnych lipcowych dni, trochę podobny do dzisiejszego. Zawsze podobały mi się okazałe edwardiańskie domy, płonące w słońcu czerwoną cegłą. Znaleźliśmy taki w sam raz dla nas, przytulny i gościnnie. Wyglądało na to, że nie wzruszy go nasz chaos. Z kolei my na razie wytrzymamy z jego niedoskonałościami, na przykład tym zielono-musztardowym dywanem w holu, zdobionym spiralnymi wzorami, wyglądającym tak, jakby przeniesiono go z pubu z lat siedemdziesiątych. Z pewnością go zwiniemy i odnowimy popękaną oryginalną terakotę pod spodem, ale to nic pilnego.

Widzę nasz pierwszy wieczór: Steve'a leżącego na oświetlonym słońcem trawniku po wyjściu panów od przeprowadzki – dłonie pod głową, uśmiech na twarzy, atmosfera błogiego spokoju. Vik i Malli, wtedy cztero- i prawie dwuletni, chowają się w domu w kartonach, trochę zagubieni, bo nie mogą już wołać przez płot do swoich sąsiadek. A Malee, niania, upiera się, żeby przyrządzić *kiribath*⁹ i gotować mleko w nowym glinianym garnku, aż wykipi, na pomyślność i szczęście. Żeby szczęścia było jeszcze więcej, Steve postanowił puszczać nagranie z ceremonii *pirith* z Kolombo, które przysłała nam mama. Cały dzień leciało w kółko, a ja ciągle je ściszałam, aby panów z firmy organizującej przeprowadzki nie denerwował śpiew mnichów buddyjskich.

⁹ *Kiribath* – rodzaj puddingu ryżowego z mlekiem kokosowym.

Mieszkaliśmy w tym domu trzy lata z okładem, zanim wyjechaliśmy do Kolombo, wtedy, wieczorem, na początku grudnia. I ciągle nie mogliśmy pozbyć się tego dywanu z holu. Mieliśmy jednak bogate plany na przyszłe lato: chcieliśmy wyremontować cały dom, przenieść chłopców do oddzielnych sypialni. A my będziemy wreszcie mieć własne gabinety na zaadaptowanym strychu.

Przez ostatni rok z każdą wizytą w domu coraz bardziej denerwował mnie paskudny dywan w holu. Jak go jednak wyrzucić? Chłopcy co rano siadali na nim, żeby włożyć buty. Ciskali na niego kurtki po powrocie ze szkoły. Mimo tych wahań pozbyłam się go, choć potem miałam wyrzuty sumienia. Jak mogłam wyrzucić ślady butów moich synków? Patrząc zadowolona na podłogę, cały hol wydaje się teraz jaśniejszy. Ale czy to ważne? Co mi to daje? Ich tu nie ma. Co ja tu robię? Bawię się w dom?

Malli lubił bawić się w dom ze swoją koleżanką Alexandrą. I ona to właśnie zrobiła,

kiedy przyszła do naszego domu pierwszy raz po wielkiej fali. Poszła prosto do pokoju zabaw, wyciągnęła z kąta domek dla lalek i zaczęła się bawić jak gdyby nigdy nic. Mówiła teraz, że to pamięta, choć zdarzyło się to ponad cztery lata temu i miała wówczas niecałe pięć lat.

Przez wiele miesięcy po fali nie mogłam choćby słuchać imion przyjaciół moich dzieci. A kiedy zaczęłam się z nimi znów widywać, bałam się, że będą mi ciągle przypominać, jacy mogliby być moi synowie, uświadamiać, czego mi dotkliwie brakuje. Teraz spotykam się z tymi dziećmi całkiem często. W pewien sposób udzielają mi się ich energia i radość. Dzięki nim moi chłopcy stają się realni, już nie pozostają poza moim zasięgiem, jak przez tych pierwszych kilka lat. Kristiana i Alexandra przychodzą do mnie za każdym razem, kiedy pojawiają się w domu. Pomagają mi podlewać ogród, omawiają ze mną swoje prace domowe, boksują się z drzwiami w rękawicach bokserskich Vika. Bębnią na tabli Mallego. Przypomina mi się, jak wirował, trochę nerwowo, ale z niezwykłym poczuciem rytmu, do muzyki z filmu *Lagaan*, pięknie wyglądając w swoim dżajpurskim turbanie, ciągnąc za sobą długi pompon, a kiedy puls przyspieszał raptownie na koniec utworu *Chale Chalo*, już kompletnie kręciło mu się w głowie.

Jestem jednak matką z pustymi rękami. Nie mogę dać dziewczynkom Vika, żeby pośmiały się z jego głupich żartów. Nie mogę im dać Mallego, żeby porozmawiał z Aleksim o wyjściu za mąż czy „za małż”, jak mawiała ona. Tak często z sobą rozmawiali... „Chyba zwariowałaś, Mal, że chcesz się żenić”, mówił Vik. „Żona będzie ci ciągle rozkazywać, będzie krzyczeć na ciebie z okna na górze, kiedy będziesz wracać z pracy...”. Skąd on czerpał tę wiedzę o małżeństwie, nie mam pojęcia. Teraz Aleksim siedzi w naszym salonie, ma na sobie taki sam czerwony szkolny mundurek jak moi chłopcy. Z wystrzępionego mankietu bluzy zwisa długa nitka – chłopakom wycierały się dokładnie w tych samych miejscach. Patrząc na nią i przez chwilę zachodzę w głowę: czy tkwię w tym życiu, czy w tamtym? Dziewięciolatka wyrywa mnie z tego zamyślenia.

– Czemu musieli zginąć? – pyta nagle głośno i dramatycznie rzuca się na stertę poduszek. – Jak to możliwe, że zginęła cała piątka?

Brakuje mi słów.

– Strasznie było, jak przyszła ta fala? – pyta ciągle, nie zwracając uwagi na moje cierpienie.

Mówię jej, że to się stało bardzo szybko. Zastanawia się nad tym przez chwilę i dodaje:

– A gdybyście to wy ze Steve’em zginęli, a Vikram i Malli by się uratowali, to czy mieszkaliby wtedy z nami?

Kiedy czeka niecierpliwie na moją odpowiedź, dociera do mnie, że tego właśnie by chciała, że rozmyślała nad tym przez wiele lat.

– Tak, oczywiście – odpowiadam.

Uśmiecha się.

– Super. Moja mama ma klucze od waszego domu, prawda? Przyszlibyśmy, zabrali wszystkie ich rzeczy i zawieźli do nas, prawda?

Ten obraz przez kilka dni stoi mi przed oczyma: zrozwyczajeni Vik i Malli stoją pod drzwiami naszego domu, do którego przyjechali „po rzeczy”.

Pięć lat... Jak bardzo wyrosły koleżanki moich synów. Oni też by wyrosli. Z coraz większą ciekawością przypatruję się ich kolegom, chcąc lepiej wyobrazić sobie Vika i Mala. Po raz pierwszy od pięciu lat spotykam się z ich kolegami Danielem i Joem. Joe góruje nade mną, kiedy bierze mnie delikatnie w objęcia. Ma prawie trzynaście lat. Nie wiadomo skąd pojawia się jakaś pięść i wali mnie z całej siły. Tak właśnie wyglądałby Vik. Świadomość, że ci chłopcy dojrzewają, jest dla mnie w pewien sposób bolesna. Gapię się na to, czego nigdy nie zobaczę u moich synów: na przyszcze, rozrastające się bary, pierwsze kępki zarostu. To jest nawet przyjemne wyobrażać sobie moich synów. Vik tak bardzo lubił towarzystwo swoich kumpli. A teraz ja z nimi jestem, a on być nie może. Czuję się, jakbym coś przemycała.

Przeszłość ożywa także, kiedy wracam w nasze ulubione miejsca. Do niedawna ich unikałam i twierdziłam, że nigdy tam nie zawitam. Powoli jednak zdobywam się na odwagę. Chodziłyśmy z Sarah na przechadzki skrajem parku Hampstead Heath – to było ulubione spacerowe miejsce Steve’a w Londynie. Byliśmy tam całą czwórką tuż przed grudniowym wyjazdem do Kolombo. Nigdy później tam nie poszłam. Aż do teraz. W żywopłotach wzdłuż ścieżek roi się od zięb, całkiem jakbym wyszła stąd przed chwilą. Aż trudno uwierzyć, że nie byliśmy tu razem w zeszłą sobotę. Znam każde drzewo, pod którym rozkładaliśmy się z piknikiem, wiem, gdzie chłopcy próbowali grać z tatą w rugby. Widzę miejsce, gdzie sprowokowani przez Steve’a „zablokowali” mnie, gdy nieopatrznie weszłam im na „boisko”, aby odrzucić piłkę. Wszędzie było pełno błota, ja byłam w białych dżinsach, a oni śmiali się do rozpuku. Za to mnie wcale nie było do śmiechu.

Malli miał około dwóch lat, gdy zaczął opowiadać nam o swojej prawdziwej rodzinie. Tak, my też byliśmy jego rodziną, ale miał jeszcze drugą, „prawdziwą”.

– Wrócę do nich – mówił. – U was jestem tylko na trochę.

– To jak się nazywa twój prawdziwy tato? – pytał Steve.

– Tees.

– Tees? A cóż to za dziwne imię?

– Nie śmieję się, tato, to jest prawdziwe imię.

– A mama?

– Sue. I jeszcze mam siostrę, Nelly.

Mówił, że siostrę kocha najbardziej. Mieszkają w Ameryce.

– Mamy dom nad wielkim jeziorem i nawet łódkę mamy, naprawdę. W Meryce.

Nie zrażały go drwiny Vikrama i niedowierzanie małych sąsiadek.

– Mal, ale ty nie masz siostry. Gdzie ona jest? Pokaż mi ją.

– No, nie bądź głupia, ona tu nie może przyjść. Jest w innym kraju. W Meryce.

Moja matka i nasza opiekunka Malee upierały się, że Mal mówi o poprzednim życiu.

– Taki wiek po prostu, dzieci wtedy pamiętają poprzednie narodziny – mówiły.

Czasem prosiły, żebyśmy ze Steve'em coś z tym zrobili, poszli do świątyni, porozmawiali z kapłanem. Lecz zrobiliśmy tylko tyle, że zaczęliśmy udawać „prawdziwych” rodziców Mallego, rozśmieszając tym nasze dzieci. Czasami bawiliśmy się tak przez całe weekendy. Steve wymyślił, że mieszkają gdzieś w zapadłym Missisipi. Chłopcy mieli niezły ubaw, gdy odgrywał Teesa, który przyjechał do Londynu odwiedzić synka. Komicznie naśladowując południowy akcent, wygłaszał przemowy na temat tego, jakie zatłoczone to miasto i jak mu brakuje komarów z bagien.

– Jeszcze, tato, jeszcze! Zrób jeszcze Teesa!

Na kilka miesięcy przed wielką falą Malli zakończył historię o swojej prawdziwej rodzinie.

– Mal, a gdzie są teraz Sue i Tees? Dalej w Ameryce? – zapytał go któregoś dnia Vik kpiącym tonem.

– Umarli – odpowiedział Mal. – Pojechali do Afryki i zjadły ich lwy.

– Wszystkich? Lwy przeważnie nie zjadają tylu ludzi naraz – zdziwił się Vik, jak przystało na przyrodnika.

– Tak, wszystkich. Właśnie dostałem wiadomość.

– Ale od kogo, Mal?

Mal nie odpowiedział.

Rozdział siódmy



KOLOMBO, 2010

Chyba nawet jaszczurki się wyprowadziły. Te zielonobrazowe zwierzątka o głowach jak u pradawnych przodków i cienkich jak witki ogonach powinny ciągle smyrgać w trawie, płoszone przez Vika ganiającego za nimi z rybacką siatką. Dziś jednak w tym zwiędłym, wyschniętym ogrodzie nie rusza się nic. Prawie sześć lat po fali, przez pięć lat, podczas których mieszkał tu ktoś inny, dom moich rodziców uległ przemianie. Jest teraz pusty i razi zaniedbaniem. Tylną werandę zaścielają liście chlebowca. Matka nigdy go nie lubiła. Górował nad ogrodem, a ona uważała, że jest stanowczo za duży. Denerwowała się, że któregoś wietrznego dnia zwali się na dom i go zniszczy.

Kiedy się tu wprowadzaliśmy, miałam siedem lat. W pierwszą noc rodzice urządzili *pirith*, żeby pobłogosławić dom. Mnisi nucili całymi godzinami, a ja siedziałam, patrząc w roztargnieniu na rzędy glinianych lampek poustawianych wokół sadzawki. Była dla mnie wtedy najwspanialszą rzeczą w całym domu. Mieściła się w środku, ale nie było nad nią dachu. Intrygowało mnie, co z nią będzie, kiedy przyjdą deszcze.

Dom zmieniał się przez lata, bo pasją matki było jego urządzenie. Powiększono jadalnię przeszklonymi drzwiami otwierającymi się na ogród, skuto lastrykowe posadzki i zastąpiono je marmurem. A sadzawka zniknęła. Zamurowano ją, bo podczas monsunów wylewała i mama miała dość miotających się po jej nowych podłogach złotych rybek.

Ostatni raz byłam w tym domu w pierwszych miesiącach po wielkiej fali. Wtedy snułam się po nim oszołomiona. Teraz wróciłam chętna do poznania szczegółów o nas, zwłaszcza o moich rodzicach. Chcę, żeby nasze życie na Sri Lance nabrało realności, przestało być snem. Moje doznania są jednak zupełnie inne niż w naszym londyńskim domu, do którego wchodziłam, mając wrażenie, że zaledwie przed chwilą z niego wyszłam. Tam byłam pewna śladów własnego życia, a tutaj jest na tyle dziwnie, że zaczynam we wszystko wątpić. Czy mój ojciec naprawdę czytał gazetę na tej werandzie, na tym hebanowym fotelu z ciągle odpadającym podłokietnikiem? Czy moi chłopcy naprawdę budzili się w tej sypialni, bo bali się skórek tchórzy na suficie, a ja usypiałam ich z powrotem, przeczesując im włosy palcami? Zapalam światło w salonie, chociaż jest środek dnia. Znajomy dotyk jednego z licznych wyłączników na ścianie dodaje mi otuchy. Myję ręce w łazience na górze, rozluźniam się, dotykając kranu. Przez okno do środka wlewa się blask słońca. Siadam na muszli i pozwalam, żeby paliło mnie w plecy. Stary nawyk przynosi ulgę. Nie słysząc szcęknięcia złotych bransolet matki (Vik nazywał ten dźwięk dzwoneczkami *aaćci*), ale ściany go pamiętają. Moje życie zyskuje odrobinę więcej spójności.

Jest lipiec. Co roku przyjeżdżaliśmy tu w lipcu na wakacje. Dom trzął się od dziecięcych gonitw, a rodzice wypełniali nam dni wystawnymi, uroczystymi obiadami: wieprzowe curry przyciemnione prażonym kokosem w poniedziałek, placki *appa* we wtorek, w środę biryani i niech nas ręka boska broni umówić się ze Steve'em do restauracji ze znajomymi. Mama cały dzień chodziła z ponurą miną i ostrzegała, że jakiś jej znajomy zjadł w tej restauracji i potem, nie uwierzycie, przez cały tydzień miał biegunkę. Według niej nikt na świecie nie gotował tak dobrze jak ona i jej trzy siostry. Jeśli nawet się myliła, to naprawdę bardzo niewiele. Przez całą angielską zimę Steve tęsknił za jej popisowym curry z krewetkami. Ognieście czerwony sos zagęszczało się rozgniecionymi na pastę niedogotowanymi główkami krewetek. Tej sztuczki mama nauczyła się od swojej babki.

Jest szesnasta, na podłodze werandy – zupełnie tak samo jak kiedyś – drżą trzy trójkąty słońca. Prawie je tu słyszę. Mamę i ciotki. Kiedy była z siostrami, zachowywały się jak niesforne uczennice. Nieustannie się z czegoś zaśmiewały, a ich radość towarzyszyła mi przez całe życie w tym domu. Gdy byłam dzieckiem, denerwowało mnie, że tyle się śmieją. Wydawało mi się to niestosowne. Inne matki i ciotki chyba przecież nie śmieją się tak histerycznie? Mimo to pośród ich wesołości zawsze czułam się bezpiecznie.

Chciałam czy nie chciałam, ciągle raczyły mnie pasjonującymi według nich historiami, czyli niekończącym się strumieniem plotek. Ktoś poszedł do fryzjera i wylał cały wazon wody na głowę kochanki męża. Słyszałam też liczne opowieści z czasów, kiedy były młodymi dziewczynami – mój dziadek, poważny urzędnik państwowy, ustawiał swoje cztery córki w szereg u męskiego fryzjera i prosił o obcięcie im włosów na krótko. Fryzury miały szpeciść, żeby żaden chłopak zbyt długo nie przyglądał się dziewczętom. Nie szczędziły mi też opisów późniejszych prób zaaranżowania dla nich przez dziadków stosownych małżeństw. Michael, zezowaty ogrodnik, pierwszy zerkał na przychodzących absztyfikantów i szeptał przez okno do mamy i jej sióstr: „*Eeya, haamu, eeya!*” („Fuj, szanowna pani, fuj!”) – gdy z *morrisa minora* wysiadał jakiś nieszczęśnik z wybrylantynowanymi włosami.

A kiedy byliśmy mali, z nas także się śmiały. Bawiło je niepomierne, kiedy nudziłam się na wakacjach w brudnym bungalowie koło Elephant Pass na północy Sri Lanki. Miałam czternaście lat i chciałam się bawić w Kolombo, a nie tkwić na odludziu, mając do towarzystwa tylko ogromną zatokę i pociąg przejeżdżający raz dziennie, wieczorem. „No, chodź, popatrz na pociąg”, mówiły do mnie ze śmiechem, a ja szlochałam. Pamiętam

też, jaką radość spowodował kuzyn Krishan, gdy był mały i uczył się czytać. Miał problemy ze zwrotem „ma prawo”. „Każdy kot na prawo jeść rybę”, obwieszczał uroczyście, czytając reklamę jedzenia dla kotów na tylnej okładce *Reader's Digest*. Jego matka z siostrami pokładały się z radości i wtykały mu do ręki dwie rupie.

W takie popołudnie jak dziś mama i ciotka Swyrie siedziałyby na tej werandzie i licytowały się nawzajem, która nie zje stojącego obok na stole tuczącego czekoladowego ciasta. A to, by nie być grubą, było ważne. Skrytykowałam je, gdy posunęły się za daleko wobec mężczyzny sprzedającego miód w dżungli koło Habarany, czyli na jeszcze innych wakacjach. Niemal bezzębny człowiek ze sterczącymi na wszystkie strony włosami, ubrany tylko w przepaskę biodrową, przez całe dni zbierał dziki miód, przytykając dymiącą pochodnię do wylotów pszczelich gniazd wysoko na drzewach, by wykurzyć owady. Kiedy go spotkałyśmy, siedział w małym lasku i oburącz wyciskał miód z plastra. Miał długie paznokcie, brudne i sękaty. Ucieszony perspektywą szybkiej sprzedaży, zaczął rozwodzić się nad leczniczymi właściwościami swojego towaru. „No tak, ale czy ten miód tuczy?” – zapytała mama czy ciocia. A on spojrzał na te przedstawicielki obcego gatunku, uszmiękowane, w wielkich okularach przeciwsłonecznych, i niepewny właściwej odpowiedzi, oznajmił śpiewnym głosem: „Za grubi chudną od niego, a za chudzi przybierają na wadze”. „Ojej, a z nami co się stanie?” – dręczyły go pytaniami, rozchichotane. Zniesmaczona ich próżnością i kokieterią, kazałam im zapłacić za miód i dać człowiekowi spokój.

Teraz w tym domu potrafię z bliska spojrzeć na rodziców. Przez sześć lat nosiłam ich i ich śmierć w najgłębszych zakamarkach serca. Skupiałam się na chłopcach i Stevie, więcej nie byłam w stanie znieść. Jakie to obrzydliwe, że nawet w przeżywaniu bólu obowiązuje jakaś kolejność, priorytety.

W drugim kącie werandy, od strony ogrodu, siedziała często krawcowa, pochylona nad starożytną maszyną Singera. *Tak-a-tak-a-tak-a* – słyszę ją teraz. Mama ciągle potrzebowała pilnie coś uszyć – wieczna elegantka, przywiązywała do stroju ogromną wagę. Tylko na dzień przed moim ślubem była tak zaaferowana i rozkojarzona, że z rana zbiegła na dół w jedwabnej bluzce i charakterystycznych dla niej sandałach z cekinami, ale bez spodni.

Na kilka dni przed wyjazdem krawcowa uszyła Mallemu parę strojów: papuzie przebranie i wielki wór z niebieskiego atłasu ozdobiony złotymi gwiazdami do jego kolekcji kostiumów. Miał to być gwiazdkowy prezent. W Boże Narodzenie włożył ten

papuzi strój. Był trochę za ciasny w kostkach. „Jutro, jak wrócimy do Kolombo, da się go do przeróbki”, powiedziała mu mama. Przypominam sobie, że kilka miesięcy po wielkiej fali, gdy przeszukiwałam ruiny w Yali, znalazłam ten niebieski worek. Zaplątał się w gałęzie wyrwanego drzewa, był jak nienaruszony. Ałtas nadal lśnił.

Siedzę na podłodze w sypialni rodziców. Opróżniona z mebli wydaje się ogromna. Mama drapowała swoje sari, stojąc przed lustrem wiszącym na jednej ze ścian. Widzę, jak spina plisę, sięgnawszy wcześniej po szpilkę do białej porcelanowej misy. Na szpilkę nasunięty jest maleńki guziczek, żeby nie przedzierała jedwabiu. Sari były dla matki jak dzieła sztuki, wypełniały pełne kulek naftaliny szafy w sypialni i garderobie. Narzekała, że nie podzielam jej entuzjazmu dla tej kolekcji. „Kto będzie to wszystko nosił, kiedy ja umrę? Nie wiem, po co w ogóle tyle ich nakupowałam”, mówiła. Albo: „Taka nudna jesteś. Co za szkoda, że zostałam naukowcem. Widziałam kilka dni temu parę takich kobiet jak ty. Szły na konferencję. Ależ były fatalnie ubrane. Płakać mi się chciało”. Całą nadzieję pokładała w Mallim, on rozumiał styl i szyk. „Powiedz mamie, żeby się ładniej ubierała”, prosiła go, kiedy leżał na jej łóżku, podziwiając kolekcję pachnących mydełek. W nasz ostatni wieczór w tym domu rzeczywiście się wystroiłam, zyskując aprobatę i mamy, i syna. Malli miał koncert skrzypcowy i włożyłam jedno z sari mamy, z karmazynowego jedwabiu. Malli patrzył na mnie, gdy malowałam usta, i powiedział mi, że on też ma swoje szminki; jak chcę, to mogę którąś wziąć. Odparłam, że następnym razem.

Sypialnia rodziców wychodzi na balkon, na którym matka odgrywała codzienną farsę z handlarzem rybami. Co rano przychodził pod bramę, wykrzykując, co ma w koszu przywiązanym do zarzuconej na ramię żerdzi. Odwrzaskiwała, że nic nie potrzebuje, choć zamierzała kupić cały jego połów. Odchodził, głośno wyrzekając, ale wszyscy wiedzieli doskonale, że wróci. Bawili się tak przez kilka godzin, w końcu wysypywał zawartość koszyka pod bramą, kończąc pracę na dany dzień, a matka miała więcej ryb, niż potrzebowała, ale za to za pół pierwotnej ceny. Steve patrzył na wrony i muchy zlatujące się do zakrwawionego żwiru i pytał teściową, czy aby nie istnieje lepszy sposób robienia zakupów.

Rodzice pomagali mnie i Steve'owi urządzić się w Kolombo. Ich zdaniem nadal byliśmy potrzebującymi ich opieki dziećmi. Przez ostatnie lata nie pozwoliłam sobie zatęsknić za ich troską. Poczulałabym się jeszcze bardziej samotna, a przynajmniej tak mi się wydawało. Za to tutaj, w domu, w przytulnym otoczeniu, pragnę ich pociechy. Ojciec co wieczór stawał na balkonie i wypalał ostatnie cygaro. Chciałabym, żeby teraz doleciał

mnie zapach tego dymu i zapiekł w oczy tak jak kiedyś, choć dawniej zawsze na to narzekałam.

Coraz pewniej czuję się w tym domu i nagle coś mnie mrozi. Przypomina mi się, że się nie zatrzymałam. Kiedy uciekaliśmy przed falą, nie zatrzymałam się pod drzwiami pokoju rodziców w hotelu. Pomyślałam, że tego nie zrobię. To był ułamek sekundy i nie wiedziałam, dokąd i przed czym uciekamy, ale tak właśnie wtedy postanowiłam.

Matkę widziałam po raz ostatni wieczorem. Po kolacji na hotelowym tarasie pożegnaliśmy się pospiesznie, bo dzieci były zmęczone i trzeba je było położyć spać. Powiedziałam tylko „dobranoc” i tyle. Ojca zobaczyłam jeszcze rano, zapukał do naszego pokoju, żeby zabrać lornetkę, którą pożyczył od niego Vik. Pakował się już na powrót. Ja tylko na wpół otworzyłam oczy. Czemu ty się już pakujesz? Czy ty zawsze musisz być, kurna, taki zorganizowany? – pomyślałam. Zawsze był pedantyczny. Jego gabinet jest teraz pusty. Snuję się po przestrzeni, w której niegdyś panował taki porządek... Przy drzwiach zawsze wisiały jego czarne prawnicze togi. Przesuwam palcami po kurzu na gołych półkach pod ścianami.

Mniej więcej przez trzydzieści lat spędzałam czas w tym pokoju razem z ojcem, szperając w jego bibliotece. Chyba jako dziesięciolatka odkryłam, że wieczorem panuje tu cudowny spokój, i zaczęłam zgłębiać ogromny księgozbiór. Siadywałam po turecku na podłodze, pogrążona w *The Jungle Tide* Johna Stilla. Dowiedziałam się, że można odczytać nastrój słonia po jego śladach, że da się odróżnić, czy biegnie przestraszony, czy wędruje, szukając wody. Hipnotyzowały mnie opowieści o bogach z dżungli; na każdego, kto nie zostawił im ofiary z dwóch listków na gałęzi, zsyłali ślepotę. Ojca cieszył mój zachwyty i zapal. Był powściągliwy, zamknięty w sobie. Dopiero wśród tych książek zaczęliśmy nawzajem cenić swoje towarzystwo.

Przez ostatnie sześć lat wzdrygałam się na myśl o dzieciństwie. Głupio się czułam, przypominając sobie moje młodzieńcze samozadowolenie. Dręczyło mnie przekonanie, że już jako niczego niepodważające dziecko byłam w jakiś sposób napiętnowana. Teraz, wróciwszy do domu rodzinnego, jestem bardziej otwarta na kadry z tamtego szczęśliwego życia. Z wyjątkiem wspomnienia o tym, jak piętrowy autobus przeciął na pół naszego jamnika Muszkata.

Pamiętam, jak bezmyślnie się cieszyłam jako nastolatka, gdy brat spóźnił się przeze mnie do szkoły, bo czekał na mnie w aucie, a ja bez końca pindrzyłam się przed lustrem w holu. Nasz szofer niecierpliwie trąbił klaksonem. Pamiętam, jak jako zadowolona

ośmio- lub dziewięciolatka słuchałam naszej starej niani Seelawathie, opowiadającej pod nieobecność rodziców historie o demonach *jakka*. Czasem robiłam sceny, zanim wyszli: „Czemu musicie znowu iść na te tańce?“, a oni uspokajali mnie łyżką syropu na kaszel i pospiesznie opuszczali dom, matka z upiętymi do góry, lekko napuszonymi włosami, w jaskrawym nylonowym sari, bardzo modnym w Kolombo w latach siedemdziesiątych. Senna od lekarstwa przychodziłam do Seelawathie, która recytowała długą listę imion demonów, unoszących się jej zdaniem między nami. Nie przejmowałam się nimi, czułam się w tym domu bezpieczna.

Wiele lat później, gdy studiowałam w Cambridge, co lato zapraszałam do rodzinnego domu przyjaciół. Nigdy wcześniej nie byli w Azji. Na angielskich chłopakach ogromne wrażenie robił jazgot niezmordowanych świerszczy, gdy siedzieli wieczorem na trawie i popijali whisky z moim ojcem. Matka cierpliwie woziła Davida do lekarza, gdy miał kłopoty ze swoim wrażliwym żołądkiem, a David, siedząc z tyłu w limuzynie z szoferem, opowiadał jej o konieczności rewolucji światowej. Któregoś lata bezwstydnie spotykałam się na przemian ze Steve'em i drugim moim chłopakiem, Lankijczykiem – i ani przez moment nie przeszło mi przez głowę, że któregoś dnia w tym domu będziemy się ze Steve'em urządzać razem z naszymi dziećmi. „Macie dwa domy”, powtarzaliśmy chłopcom ze Steve'em, „a dom *aaćci* to wasz dom w Kolombo”. Powinni być tu zakorzenieni, skoro dorastają jako angielsko-syngaleskie dzieci w Londynie. I oni zmieniali te domy i kraje bez problemów.

Moi rodzice rozkwitali w roli dziadków. Rozpuszczali mi dzieci, z zapalem i radością pielęgowali ich zainteresowania. Zawsze mnie bawiło, jak chętnie matka staje na bramce w ogrodzie, a Vikram kopie do niej piłkę. Mojemu ojcu siadywał na kolanach w jego gabinecie i czytał książki o indyjskich tygrysach ludojadach. Kiedy miała wyjść nowa część Harry'ego Pottera, mama była tym podekscytowana w równym stopniu jak Vik. Malli nigdy nie rozumiał, dlaczego trzeba na nią czekać. „Nie możecie znaleźć pirackiej wersji?“, pytał, nie słuchając, gdy dziadek tłumaczył mu na swój prawniczy sposób, że nie da się spirać książki, której jeszcze nie napisano, a w ogóle to nie wolno piracić niczego. „Jak będę duży, to będę taaaki mądry”, odpowiadał Malli. „I będę wypuszczać pirackie DVD i pirackie książki, zanim je ktoś napisze”.

Zapraszam do domu mnichów, żeby odprawili buddyjski obrzęd za zmarłych. Rodzice przestrzegali tych rytuałów. Teraz w ich salonie, pachnącym świeżo ściętym jaśminem i kadzidłem, na krzesłach nakrytych śnieżnobiałymi kapami siedzi trzech mnichów. Jeden

za pomocą zapałki rozpala mosiężną lampkę oliwną na stole, rozwija kłębek białej nici i przekazuje ją mnie i moim znajomym. Siedzimy naprzeciwko nich na rozłożonych na podłodze plecionych trzciniowych matach. Mnisi zaczynają swoje śpiewy, zestrabajują głosy. Nadal nie mieści mi się w głowie, że moi rodzice wyszli z tego domu w pewien grudniowy poranek i nigdy już tu nie wrócili. Dzisiejszy wieczór kojarzy mi się raczej z moim pierwszym wieczorem w rodzinnym domu, jakieś trzydzieści pięć lat temu, kiedy było więcej mnichów, więcej śpiewu, a nasze życie w tym miejscu miało się dopiero zacząć. Trzymam białą nić, symbol błogosławieństwa, i rozpalam w wyobraźni kolejne lampki oliwne koło nieistniejącej już sadzawki.

Czy ośmielę się go otworzyć? To kalendarz Steve'a z roku 2004. Dwa tysiące czwarty, nasz ostatni rok. Leżał w torbie z naszymi rzeczami w domu ciotki w Kolombo. Przez ostatnie lata wiele razy brałam go do ręki i natychmiast odkładałam z powrotem. Steve zamieszczał w nim nie tylko terminy służbowych spotkań. Zaznaczał dni, gdy musiał zrobić coś dodatkowo, jak na przykład zabrać dzieci do fryzjera, a także opisywał plany na weekendy i wakacje. Można było znaleźć w nim też zdania typu (po tym, jak się pokłóciliśmy): „Powiedzieć S, że miała rację, przeprosić”.

Przez większą część ostatniego roku, aż do września, mieszkaliśmy na Sri Lance. Było wspaniale. Od dawna marzył nam się dłuższy pobyt tutaj, a nie jak zwykle pełne pośpiechu wakacje. Więc kiedy oboje dosłużyliśmy się rocznych uczelnianych urlopów, wyjechaliśmy do Kolombo, zabraliśmy chłopców ze szkoły w Londynie i zapisaliśmy do nowej, na Sri Lance. Przez ostatnie sześć lat wolałam nie wracać myślami do tego okresu, nie przypominać sobie naszej beztroskiej radości.

Jestem teraz tutaj, przyjechałam na lato z siostrą Steve'a, Beverley, jej mężem Chrisem i ich dziećmi, Sophie i Jackiem. Rodzina Steve'a od czasu wielkiej fali jeździ regularnie na Sri Lankę, czasami nawet dwa razy do roku. Moja siostrzenica i siostrzeniec czują się tu prawie tak samo swobodnie jak niegdyś moi synowie. W pierwszych dniach po tsunami byłam przekonana, że muszą mnie winić za to, że go tu ściągnęłam na śmierć. Potem jednak teść przyjechał do Kolombo, wziął mnie za rękę i powiedział, że Steve zawsze był tutaj tak szczęśliwy, że i on teraz czuje się tu jak w domu.

Zachęcona przez siostrzeńców otworzyłam kalendarz Steve'a. Było w nim wszystko. Szczegółowe dane na temat naszych dziewięciu miesięcy na Sri Lance. Dużo nie przeczytałam, szybko schowałam kalendarz z powrotem. Ale odkąd tam zajrzałam, już nie jestem w stanie uciec przed wspomnieniami z naszego ostatniego roku. Ciągle do nich wracam. Aż dziwne, jak udało mi się przez sześć lat trzymać od nich z dala.

Żebrak na światłach ulicznych na Horton Place nie ma rąk. Moja siostrzenica Sophie sięga do torebki, żeby dać mu trochę drobnych. Tyle razy już go widywałam w tych ostatnich latach, ale dopiero teraz to sobie przypominam. Stał na tych samych światłach, kiedy zawoziliśmy chłopców do szkoły i przywoziliśmy ich z niej. Steve dał mu raz całą „tygodniówkę”, żeby przestał codziennie przeciskać się przez ruch uliczny do naszego auta, ale to nie zadziałało. Matka twierdziła, że Steve ma zbyt miękkie serce. I że ten człowiek sam sobie jest winien, że nie ma rąk, bo urwało mu je, kiedy majstrował bombę, żeby zabić sąsiada. Pewnie to była tylko plotka, ale nasze dzieci też go nie tolerowały. „Czemu on się

nie weźmie do jakiejś pracy?”, pytał Vik, a mnie i Steve’a przerażał jego brak współczucia.

Pamiętam teraz, że w drodze do szkoły chłopcy ciągle marudzili. Lekcje w Kolombo są nudne, źle im bez londyńskich kolegów, a plac zabaw jest mały – narzekali. Nasze ciągłe powtarzanie, że to wspaniałe nowe doświadczenie, nie na wiele się zdawało. Steve postanowił poprawić im humor muzyką. Puścił w samochodzie *Love Trap* Susheeli Raman. Kiedy rozległy się słowa: „Twoje ciało to pułapka miłości... twoim słodkim wargom nie można się oprzeć”, na twarzach naszych synów odmalowało się obrzydzenie. „Bueee. Ciało. Wargi. Bueee!”, „Steve, czy ty naprawdę wiesz, co robisz?”, wyraziłam swe wątpliwości co do słuszności wyboru taktyki ich pocieszania. Tymczasem Vik i Malli wysiedli z samochodu zniechęceni do piosenki i gotowi iść do szkoły.

Wynajmowaliśmy wtedy dom w centrum Kolombo. Od czasu wielkiej fali za każdym razem, kiedy mijałam tę ulicę, patrzyłam w inną stronę albo udawałam sama przed sobą, że związane z tym miejscem wspomnienia nie są mi do niczego potrzebne. Teraz przejeżdżam tą wąską alejką z siostrzeńcem i siostrzenicą. I widzę ich, Steve’a i Mallego, jak tamtędy idą. Malli wiezie w wózku lalkę. Bawią się w „dwóch tatów”.

Czas się cofa. To musiał być nasz pierwszy poranek tutaj. Tamtego roku Vik bardzo wyrósł i zmężniał. Jeszcze czuję, jak stwardniały mu mięśnie ud. Miał siedem lat, ale kupowałam mu ubrania dla dwunastolatków. W Kolombo ciągle uprawiał jakieś sporty, a kiedy razem z ojcem przepływali co wieczór wielki basen w mojej dawnej szkole, nie zostawał z tyłu. Mówiłam im, żeby zmykali, kiedy w upalne popołudnia grali w piłkę, a potem wracali do mnie cali mokrzy, bez koszulek, z rękoma wyciągniętymi do przytulania. Nie jestem jeszcze w stanie wejść na te boiska; myślę, że będą tam jeszcze świeże ślady ich stóp.

Nieustannie wyrzucałam sobie, że tamtego grudnia przywiozłam rodzinę na Sri Lankę. Po co nam to było? Tak niedawno wróciliśmy do Londynu. Lataliśmy pomiędzy dwoma krajami, a ciągle nam było mało, zawsze do któregoś z nich tęskniliśmy. Miałam w życiu wszystko i wszystko zepsułam – łajałam się w myślach. W pierwszych tygodniach po wielkiej fali nieustannie śniła mi się moja spokojna i niezwykle łagodnie usposobiona przyjaciółka Fionnuala. Szła naszą ulicą w Londynie i darła się na mnie wściekle, że na święta wzięłam dzieci do Kolombo. Ale tego lata, gdy w końcu otwieram się na wspomnienia o spędzonych tutaj miesiącach, rzadziej się oskarżam. Rozumiem teraz, czemu zdecydowaliśmy się wrócić. Nie chcieliśmy rezygnować z tego, co tu osiągnęliśmy.

Tego roku, przebywając z dala od Londynu, nareszcie mieliśmy czas. Oboje ze Steve'em pracowaliśmy nad naszymi projektami naukowymi i publikacjami. W święta i weekendy całą czwórką podróżowaliśmy. Często wędrowaliśmy po lesie deszczowym. Budziliśmy się w ciemności, słysząc leśny chór poprzedzający nastanie świtu. Od sześciu chyba lat nie byłam świadkiem tej niebiańskiej pieśni – nie poradziłabym sobie z natłokiem emocji – ale teraz doskonale ją sobie przypominam. Daleki bulgotliwy szmer nagle wybuchał, przechodził w gruchanie i dzwonienie przeplatane panicznymi wrzaskami papug i chrypliwym pianiem dzikich kurów. A przez to wszystko przebijały się flet drozdaczka plamoskrzydłego i pogwizdywanie jakiegoś ptaka w jeszcze wyższym rejestrze trąbki clarino.

Często odwiedzaliśmy plażę. Vik i ja wchodziliśmy rano na pusty piasek, żeby patrzeć, jak zionący arakiem rybacy wyciągają sieci, a nad nimi szaleją wrony. Steve robił sashimi ze świeżego tuńczyka, prosto z łodzi; nazywał go „nówką”. Teraz przypominam sobie naszą gromadkę na plaży jedzącą małże, całe jutowe worki małży ugotowanych we własnym sosie nad małym ogniskiem. Brzęk pustych muszli ciskanych na blaszany talerz, sól na rzęsach dzieci, zachód słońca... Malli nazywał tę porę „wieczorem rozpostartym na stole”¹⁰. To była jego wersja pierwszych wersów *Pieśni miłosnej J. Alfreda Prufrocka* T.S. Eliota. Nie wiem, dlaczego często je chłopcom recytowałam.

¹⁰ „Idźmy więc, ty i ja/ Kiedy wieczór na niebie rozpostarty trwa/ Jak pacjent eterem uśpiony na stole” – pierwsze wersy *Pieśni miłosnej J. Alfreda Prufrocka* T.S. Eliota w tłumaczeniu Michała Sprusińskiego. T.S. Eliot, *Wybór poezji*, Warszawa 1988, s. 15.

Do Yali jeździliśmy wiele razy. Braliśmy tam chłopców, zanim jeszcze nauczyli się chodzić. Zwiedzaliśmy dżunglę jeepem, z wyboistych dróg gruntowych buchał skwar, włosy mieliśmy całe pozlepiane czerwonym pyłem. Vik rozumiał dżunglę, a ja to w nim uwielbiałam. Pierwszy dostrzegął kulona na piasku w przelotnym deszczu, od razu rozpoznawał piękny, długi gwizd skowrońca. Zawsze zatrzymywaliśmy się w tym samym hotelu. Za każdym razem Vik kupował w sklepiku z pamiątkami *Listę ptaków Yali* – znalazłam te broszurki w tej samej torbie co kalendarz Steve'a. Odznaczał w nich ptaki, które udało mu się zobaczyć podczas kolejnych pobytów. Przekartkowałam je szybko – na każdej stronie były jego wesołe małe znaczki czynione długopisem.

Teraz wracałam do Yali, ale jadąc z Kolombo, omijałam wzrokiem sztuczne jezioro w parku Udawalawe. Vikram uwielbiał to miejsce, gdzie dzięki prądom powietrznym nad błyszczącą wodą szybują jastrzębie. Wieczorem 26 grudnia 2004 roku, kiedy wieziono mnie z powrotem do Kolombo, a busik pędził wzdłuż zalewu, chowałam głowę między

kolanami. Sześć lat później jadę tą samą szosą z siostrą Steve'a i jej rodziną. Ale po raz pierwszy od wielkiej fali jestem w stanie patrzeć na zalew.

Nasz dziewięciomiesięczny pobyt na Sri Lance skończył się pierwszego września. Znaleźliśmy się z powrotem w naszym londyńskim ogrodzie, kiedy na drzewach czerwieniły się jabłka. W szkole na porannym apelu chłopcy dostali z tego tytułu odznaki. Ale kiedy zaczęliśmy ze Steve'em planować święta, nietrudno było nam się zdecydować: chłopcy zadomowili się w Kolombo, uznaliśmy, że trzeba ten kontakt podtrzymać. Nawet krótki wyjazd, tylko na trzy tygodnie, bardzo nam się przyda.

Steve jak zawsze zapisywał w swoim kalendarzu rozmaite zadania: termin oddania artykułu, jakaś telekonferencja, obowiązki domowe... Widziałam, że pod datą 8 grudnia zanotował godzinę wylotu do Kolombo – dwudziestą pierwszą. Nie było wzmianki o powrocie 31 grudnia, może planował nanieść ją później. Za to w poprzek dwudziestego czwartego, piątego i szóstego grudnia zapisał swoje ostatnie słowo w tym terminarzu: „Yala”.

Nigdzie się stąd nie ruszyły. Wielka fala nie przestraszyła pary bielików białobrzuchych gnieźdzących się w pobliżu laguny koło naszego hotelu. Gdy wróciłam tu pierwszy raz i je zauważyłam, nie miałam odwagi na nie patrzeć. To były orły Vika, nie moje. A potem ogarnęło mnie jakieś natręctwo. Musiałam zobaczyć te ptaki za każdym razem, kiedy tu przyjeżdżałam. Nie mogłabym wyjechać, gdybym choć na nie nie zerknęła. Szukałam w nich pociechy. Daj spokój, napominałam się w myślach. A cóż to za pociecha? Ale może, po prostu patrząc na nie, zapominałam o czymś innym? Gapiłam się na parę orłów szybujących po niebie z gracją i cudowną swobodą. Nawet nie chciało im się polować. Inne ptaki – brodzące albo wrony – zawsze są rozgorączkowane, kiedy pojawiają się te wielkie drapieżniki. Krzyczą ostrzegawczo lub napadają na nie od tyłu, żeby je odstraszyć, lecz orły nic sobie z tego nie robią. Obserwując je, zapominam o troskach. Dzięki temu udaje mi się jakoś wytrzymać tu, gdzie mnie okradziono.

I oto niespodzianka. Stoję na brzegu laguny wiele lat później i dopiero po pewnym czasie zauważam, że orły, na które patrzę, to zupełnie inna para. Lotki mają mniejsze i nie czarne, lecz ciemnobrązowe. To młode. Orły Vika rozmnożyły się, teraz jest ich czwórka. Nigdy wcześniej tego nie widziałam. Młode bieliki uczą się latać. Rzucają się z gałęzi, parę chwil szybują, a potem z mozolnym łopotem, przestraszone, lądują na sąsiednim drzewie. Próbują kolejny raz, ale trochę opadają w powietrzu, niemal płaczą im się skrzydła. I patrzcie tylko. Orzeł do góry nogami. Jeden z młodych bielików próbuje nurkować, ale mu się to nie udaje. Wygląda, jakby spadał na głowę: nogi rozstawione, szpony skierowane ku słońcu, świeci białym brzuchem, patrzy w niebo, nie w dół.

Rozdział ósmy



Jeśli chodzi o naleśniki, to mam w głowie zupełną pustkę. Choćbym nie wiem jak się starała, nie potrafię sobie przypomnieć, jak się je robi. Ja, która tak często je smażyłam. Nie rozumiem tego. Czyżbym aż tak daleko odeszła od dawnej siebie? Chłopcy jadali naleśniki z syropem cytrynowym i cukrem. Steve nakładał na swoje curry z kurczakiem i soczewicę. Nie robią tego już od sześciu lat. Mówiąc to, zaskakuję sama siebie. Jestem zdumiona, jakbym odkryła jakąś nową prawdę. Mam ochotę sięgnąć wstecz przez te sześć ostatnich lat po nasze życie, żeby je odzyskać.

Chcę być w naszej kuchni w sobotnie przedpołudnie, kiedy Steve wchodzi z papierową torbą wypełnioną bajglami na lunch. Opiekłabym je w tosterze z mozzarellą, bazylią i posiekanymi zielonymi papryczkami. Wypilibyśmy ze Steve'em po kieliszku sancerre. Bajgle z miejscowej piekarni w niczym nie dorównywały tym, które kupowaliśmy w Brick Lane Beigel Bake w czasach, kiedy we dwoje mieszkaliśmy we wschodnim Londynie. Zanim urodzili się chłopcy, w weekendy chodziliśmy na późne seanse do kina i w drodze powrotnej wstępowaliśmy po gorące bajgle, wypiekane na okrągło przez całą noc. O trzeciej nad ranem w jasno oświetlonym sklepie, gdzie dostawało się tuzin bajgli za funta, bywaliśmy tylko my i londyńscy taksówkarze. Opowiadaliśmy chłopcom o tych utraconych beztroskich wieczorach. „Fajnie mieliśmy, mogliśmy spędzać poza domem całe noce. Was jeszcze nie było na świecie, więc nikt nam nie przeszkadzał spać w niedzielę do oporu”. Nie wyglądali na zadowolonych, kiedy tego słuchali.

Latem w porze lunchu Steve rozpałał grilla. Kalmary marynowane w soku z limonki z trawą cytrynową i płatkami suszonej ostrej papryki. Plastry słonego sera *haloumi*, kotlety jagnięce i kiełbaski od Nicos, naszego miejscowego rzeźnika, cypryjskiego Greka. Nicos nie mógł uwierzyć, że Steve jest Anglikiem. „Anglicy nie mają pojęcia o dobrym jedzeniu, więc jak może nim być?”, pytał. Odpowiadałam, że to mój dobry wpływ, co trafiało mu do przekonania.

Często w weekendy Steve gotował duży posiłek i zapraszaliśmy do siebie przyjaciół. Albo odwiedzała nas jego rodzina i do niedzielnego lunchu zasiadaliśmy w ponad dwadzieścia osób. Przyrządził naszą wersję *raan*, indyjskiej pieczeni z jagnięcia. Wkładaliśmy udziec na dwa dni do marynaty z jogurtu, migdałów, pistacji, mnóstwa przypraw, mięty i zielonych papryczek chilli. A potem Steve pilnował pieczenia, martwił się, że mięso będzie nie dość delikatne, i dodawał dzinu do sosu, którym je polewał. Twierdził, że musi być tak miękkie, by dało się jeść łyżką.

W spokojniejsze dni gotowaliśmy kacze jaja i zjadaliśmy je z racuchami. Kacze jaja

robiły wrażenie na chłopcach; wazyli je w dłoniach, stukali w twardą skorupkę. Vik udał, że zamierza użyć jednego jako kuli do kręgli. Nie krył rozbawienia na widok mojej przestraszonej miny, kiedy chwycił je rozpostartymi palcami, przybrał charakterystyczną nachyloną pozycję i uniośł rękę. W końcu odłożył jajo i powiedział z dziwnym akcentem (udając mieszkańca Liverpoolu): „Spokojnie, spokojnie”. Nauczył się tego od ojca. Zwyczajne życie. Tak mi się wydawało.

Kupowaliśmy kacze jaja na niedzielnych targach rolnych w Palmers Green. Zawsze gdy tam jechaliśmy, Malli się gubił. Zazwyczaj odnajdywaliśmy go między stertami fioletowych brokułów gałązkowych. Włosy sterczały mu jak pisklakowi czapli. W sierpniu zaopatrywaliśmy się tam w renklody, zwykle doskonałe, niezbyt miękkie, ale odpowiednio dojrzałe. A wiosną Steve kupował karczochy. Dusił je z czosnkiem i liśćmi laurowymi, a następnie podawał na gorąco. Pokazywał chłopcom, jak oddzielać pojedyncze płatki i wyciągać miąższ dolnymi zębami. Opowiadał przy tym, jak pierwszy raz spróbował karczochów, kiedy miał około dziesięciu lat i podróżował ciężarówką ojca gdzieś po Francji.

Mój teść Peter nudę wielotygodniowych wędrówek po drogach Europy próbował sobie choć w części zrekompensować winem i jedzeniem. Omijał knajpy dla kierowców, gdzie podawano jajka i frytki. Zamiast tego co wieczór skręcał swoim wielkim autem w jakąś boczną drogę, żeby dotrzeć do francuskiej lub włoskiej wsi, gdzie zaprzyjaźniał się z właścicielami niewielkiej rodzinnej jadłodajni, mieszczącej się zazwyczaj w ich domu, w której codziennie serwowano tylko jedno danie. Odkąd Steve skończył siedem lat, podczas letnich wakacji wybierał się z ojcem w te długie trasy. Właśnie podczas nich po raz pierwszy spróbował risotta, gulaszu z królika z boczkiem, bouillabaisse oraz ravioli, które nie pochodziły z puszki, i wszystko bardzo mu smakowało. Znajomi w kraju zazdrościli mu tych wyjazdów, ale kiedy zaczynał im opowiadać o swych przygodach kulinarnych, spoglądali na niego z osłupieniem i pytali zdumieni: „Coo?”, po czym wracali do gry w piłkę, przyprawiając się nawzajem o poważne kontuzje, a jego oskarżali o to, że „jada jak cudzoziemiec”. Takie upodobania nie cieszyły się popularnością wśród mieszkańców komunalnego osiedla we wschodnim Londynie na początku lat siedemdziesiątych.

Ale dla rodziny Steve’a były całkiem naturalne. Jego ojciec urodził się w Rangunie i mieszkał tam oraz w zachodnich Indiach, nim jako dziesięcioletek w 1946 roku przyjechał do Anglii z rodzicami i trzema braćmi. Według rodzinnych opowieści byli pierwszymi

Lissenburghami, którzy wrócili do Europy po tym, jak niejaki Wilhelm Lissenburgh opuścił północną Holandię i popłynął na statku handlowym do południowych Indii w połowie siedemnastego wieku. Kiedy osiedlili się w Anglii, w małej nadmorskiej wiosce nieopodal Bournemouth, babka Steve'a i jej siostry przemierzały duże odległości w poszukiwaniu przypraw i składników do *balachang*, ostrej pasty krewetkowej. Moja teściowa Pam po wyjściu za mąż szybko nauczyła się jeść pikantne, mocno przyprawione dania i gotować curry z kurczaka. Steve dorastał więc żywiony tą potrawą, przyrządzaną z dodatkiem curry w proszku, produkowanego w Bangalore przez rodzinę Bolstów i sprowadzanego stamtąd w puszkach. Jego ojciec także się nią zajadał w weekendy, gdy wracał do domu z Włoch lub Francji.

Vik i Malli lubili opowieści o dziadku, który prowadził wielką ciężarówkę i o tym, jak Steve nią podróżował, kiedy był chłopcem. Podczas niespiesznych lunchów Steve opisywał, jak spał na specjalnej koi w szoferce i odrabiał lekcje w czasie przejazdów długimi tunelami we włoskich Alpach. Vik nie krył podziwu, kiedy się dowiedział, że Steve nawet pomagał dziadkowi rozładowywać ogromną naczepę. Mal natomiast nie mógł uwierzyć, że czasami były w niej same pomidory, mnóstwo pomidorów. „Niemożliwe”, mówił, przeciągając po swojemu przedostatnią samogłoskę. Te rozmowy nieodmiennie kończyły się narzekaniem Vika na zawód wybrany przez Steve'a. Był zły na ojca, że tak fatalnie się spisał w tej kwestii. „Nie mogłeś ty też zostać kierowcą ciężarówki? Co to jest praca naukowa? Nie znoszę pracy naukowej, jest taka nudna. Tata Charliego jest policjantem, to jeszcze lepsze od bycia kierowcą ciężarówki. Prawda?”. Przystawał marudzić dopiero wtedy, kiedy podawałam mu deser. Jesienią często robiłam kruche ciasto z jabłkami i jeżynami. Dwie jabłkonki w naszym ogrodzie rodziły bez opamiętania. Jeżyny zbieraliśmy w lesie, Steve pouczał wówczas chłopców, żeby zrywali tylko owoce wiszące wysoko na krzakach. „Mój dziadek nazywał te z dołu jeżynami-obszczynami”, powiedział, co bardzo im się spodobało. Później w piekarniku nieskażone moczem jeżyny pękały pod warstwą kruszonki i wypuszczały fioletową lawę, która wsiąkała w ciasto.

Najlepszy pudding w naszym domu robiła Malee. Była dla nas nie tylko nianią, uważaliśmy ją za przyjaciółkę. Rozpieszczała nas różnymi pysznymi rzeczami. Pieкла jagodowe muffinki z maślaną albo bułeczki nadziewane tartym kokosem i syropem palmowym. Kiedy Steve i ja wracaliśmy z pracy, witało nas ciepło świeżo ugotowanego ryżowego makaronu i oszałamiający aromat curry z tuńczyka duszonego w glinianym garnku, obficie przyprawionego, ostrego od mnóstwa *goraki*, suszonego owocu o bardzo

pikantnym smaku. Steve uwielbiał przyrządzać owoce morza. W Londynie kupowaliśmy żywe homary w supermarkecie Wing Yip przy North Circular Road. Staralam się nie patrzeć, kiedy człowiek za ladą wyjmował dla nas ze zbiornika parę takich skorupiaków, zabijał je, kroił i rozłupywał im kleszcze. Wieczorem w naszej kuchni usmażone na chrupko dochodziły w sosie z czarnej fasoli, z imbirem, szalotkami i płatkami czerwonej papryczki chilli. Jeśli skorupa kleszczy była dobrze zmiażdżona, sos wciekał do środka i mięso nabierało cudownego smaku; Steve pomagał chłopcom wydłubywać je przy użyciu pałeczek. Powiedziałam im, że kiedy byłam w ich wieku i jeździłam na wakacje na Sri Lance, rodzice kupowali na rynku żywe kraby w workach i na lunch jedliśmy z nich curry, bardzo, ale to bardzo pikantne. I że dorośli zawsze pili przed lunchem grog ze świeżo sfermentowanego soku palmowego, który cuchnął wymiocinami. Siadałyśmy wówczas z kuzynką Natashą na schodach naszego wynajętego bungalowu i płakałyśmy, bo mdliło nas od tego zapachu. Opis naszej reakcji szczerze rozbawił chłopców.

Czasami w poszukiwaniu ryb trafialiśmy ze Steve'em o świcie na targ rybny Billingsgate. Znajomi uważali, że postradaliśmy zmysły, skoro chce nam się wstawać o czwartej rano, a w dodatku, chcąc wyjść z domu bez dzieci, musieliśmy prosić Malee o zostanie u nas na noc. „Nie możecie po prostu iść do Waitrose'a?”, pytali. Nie pojmowali uroku wielkich targów rybnych. Dla nas zaś były one czymś absolutnie fantastycznym. W te chłodne poranki chodziliśmy od stoiska do stoiska, popijając z plastikowych kubków kawę, która smakowała jak słabo zaparzona herbata. Zatrzymywaliśmy się, żeby podziwiać kraby z Devon, w błyszczących fioletowych skorupach, piotrosze o oliwkowej skórze, dziwnych, jakby gniewnych pyskach i zakończonych kolcami płetwach grzbietowych. Szukaliśmy dorad o najbystrzejszych oczach i sprężystym mięsie i żabnic o najgrubszych ogonach. Kupowaliśmy całe skrzynki kalmarów, mątwy w błyszczących różowawych płaszczach oraz mięso tuńczyka i czasami miecznika. Po powrocie do domu Steve próbował grzecznie zagadywać Malee, czy zechciałaby oprawić kalmary i mątwę, ale odsyłała go do diabła. Uważała, że skoro był na tyle szalony, by wstawać przed świtem i zasmradzać dom tonami ryb, to równie dobrze może sam je oczyścić. I tak Steve po raz kolejny przesuwiał termin ukończenia raportu dla ministerstwa pracy i spraw socjalnych, bo musiał ciężko pracować przy kuchennym zlewie, umazany po łokcie śluzem głowonogów.

Chłopcy okazali zaciekawienie naszymi porannymi wyprawami na targ. Pytali, czy widzieliśmy całego miecznika. Odpowiedziałam im na to, że kiedy jako dziewczynka

mieszkałam na Sri Lance, miałam taki „miecz” ze sterczącymi kolcami, trzymałam go na półce z książkami w swoim pokoju. Dostałam go, gdy miałam jakieś dwanaście lub trzynaście lat. Spędzaliśmy wakacje w Wilpattu, parku narodowym w północno-zachodniej części kraju; po kilku godzinach jazdy wyboistą gruntową drogą przybyliśmy do rybackiej osady położonej w głębi dżungli. Moi rodzice, wujowie i ciotki jak zwykle szukali homarów i krabów. Charakterystyczny fragment szkieletu miecznika tkwił przytwierdzony do zdezelowanego katamaranu. Widząc moje zainteresowanie tym trofeum, młody, bardzo przystojny rybak podszedł do mnie i powiedział, że mogę sobie je wziąć. I gdy właśnie zaczęła mi się podobać ta uważana przeze mnie do tego momentu za niepotrzebną wyprawa, zjawił się mój wujek Bala i spytał młodzieńca, czy nie chciałby mnie pojąć za żonę, wychwalając przy tym moje zalety i podkreślając, że jestem klasową prymuską. Chłopak szybko się oddalił, wstrząśnięty i zakłopotany. Ktoś jednak zdołał mu pstryknąć zdjęcie, nagiemu do pasa, w niebiesko-żółtym sarongu, z zębem rekina zawieszonym u szyi na czarnym sznureczku. Kilka lat później znalazłam je w książce, którą zabrałam z sobą do Cambridge, nie załapawszy się na rolę młodocianej oblubienicy. Zdjęcie nadal leży w pudełku w londyńskim domu. Kiedyś pokazałam je chłopcom. „Wygląda znacznie lepiej od taty, prawda?”, zazartowałam. „Wcale nie!”, oburzył się Vik.

Nie chcę wracać pamięcią do tego wszystkiego. Nie sama. Chcę snuć przyjemne wspomnienia razem ze Steve'em. To będzie jeden z tych dni, kiedy wymykaliśmy się na wspólny lunch. Siądziemy w La Bota w Crouch End, gdzie podają najbardziej soczyste opiekane ośmiorniczki. W te dni, kiedy oboje pracowaliśmy w domu, niewiele udawało nam się zrobić. Steve ciągle zaglądał do pokoju, w którym się akurat znajdowałam („Może coś przekąsimy?”), i w końcu siadaliśmy w ogrodzie, żeby się napić herbaty. Albo wzywał mnie do gabinetu („Pamiętasz to?”) i puszczał piosenkę Elvisa Costello, z którą mnie zapoznał w Cambridge. W tamtym czasie Steve umiał rzeczywiście świetnie naśladować Costello. Piosenka nosiła tytuł *Alison*; „To anagram imienia Sonali”, oznajmił mi z dumą w swoim pokoju w akademiku, kiedy jeszcze nie zwracałam na niego specjalnej uwagi. Hm, pomyślałam, słuchając po raz pierwszy tekstu: „*I heard you let that little friend of mine, take off your party dress*”¹¹.

¹¹ „Słyszałem, że pozwoliłaś, by mój mały przyjaciel zdjął z ciebie wieczorową suknię”.

Po dniach zmarnowanych przez lenistwo Steve pracował do późnej nocy, często do drugiej lub trzeciej nad ranem. Zawsze jednak znajdowaliśmy czas na niespieszną kolację, tylko we dwoje, kiedy chłopcy byli już w łóżkach. Widzę teraz męża, jak gotuje

warzywny gulasz z butelką piwa Chimay w dłoni, jak słuchając Coltrane'a, patrzy na rozgrzany olej i czeka, aż ziarenka gorczycy popękają. Uważał, że *Blue Train* Coltrane'a jest trochę dziwny, ale znakomity. Podczas gotowania Steve wykonywał podskoki i udawał, że wrzuca piłkę do kosza. „No, chodź, zagraj ze mną”, namawiał mnie, na co, unosząc brwi, wykladałam stopy na krzesło. Z podobnym zniecierpliwieniem przyjmowałam jego wynurzenia na temat nostalgicznej miłości do popularnego deseru z proszku o nazwie „Angel Delight” o smaku truskawkowym.

Czuję teraz wolność tamtych piątkowych wieczorów, kiedy chłopcy zostawiali z opiekunką, a my wychodziliśmy z domu. Szliśmy coś zjeść do Odette w Primrose Hill lub do Blue Diamond w Chinatown. Wstępowaliśmy do baru Italia na Frith Street na podwójne espresso, które wypijaliśmy bez pośpiechu na chodniku przed lokalem, nawet kiedy było zimno. Albo jeździliśmy aż na Green Street we wschodniej części miasta, do kawiarni Pendżab, która wypiekała najlepsze chlebowe placki. Uwielbiałam takie nocne wędrówki po Londynie. Miało się wrażenie, że należy tylko do nas. Jako prawdziwy londyńczyk Steve rozumiał to miasto, a ja się go od niego uczyłam. Obecnie często, kiedy ponownie odwiedzam te same miejsca, podnosi mnie na duchu wspomnienie tamtych swobodnych wieczorów. Ale równie często żal mąci mi myśli. Jak może istnieć Londyn bez Steve'a?

Pamiętam, jak we czwórkę wracaliśmy samochodem do domu w północnym Londynie w naszą ostatnią niedzielę spędzaną w Anglii. Byliśmy w delikatesach Fortnuma i Masona, żeby kupić bożonarodzeniowy pudding dla mojej matki. Steve chciał pokazać chłopcom nowe biura, nieopodal Post Office Tower, do których przeprowadzała się jego placówka badawcza. Padał deszcz, więc wolałam jak najszybciej znaleźć się w domu. „Zrób to, jak wrócimy w styczniu”, powiedziałam. Tego dnia jedliśmy lunch u Fortnuma i Vik cieszył się, że wreszcie zabraliśmy go do angielskiej restauracji. Malli uważał się za Lankijczyka, natomiast Vik uparcie twierdził, że jest Anglikiem, tak jak jego tatuś. Steve tamtego dnia kupił też swoją ulubioną marmoladę z limonki, miała czekać na nasz powrót z Kolombo.

Później w styczniu moja przyjaciółka Anita wysprzątała naszą kuchnię, usunęła dzemy, marmolady i całą resztę. Kiedy po raz pierwszy wróciłam do naszego domu, patrzyłam na puste błyszczące słoiki po przyprawach ustawione w kredensie i kręciło mi się w głowie. Teraz za każdym razem, kiedy jestem w Londynie, uzupełniam kuchenne zapasy, po trochu. Białe ceramiczne pojemniki znów są pełne szafranu, goździków, cynamonu, kozieradki i płatków suszonej ryby. Ale na niektóre rzeczy w naszej kuchni nie mogę nawet

patrzeć. Nie potrafię dotknąć noża do ostryg używanego przez Steve'a. Nie mam odwagi otworzyć jego książki kucharskiej. Nie zniósłabym widoku płamy z oleju na stronie poświęconej grillowaniu kalmarów czy śladu musztardy na przepisie na curry z bakłażana w jego *Ceylon Daily News Cookery Book*.

Pierwszego dnia pobytu na Sri Lance Steve wskoczył o północy półnagi do oceanu w Galle Face Green, a ja nazwałam go wariatem. To było w 1984, kiedy miał dziewiętnaście lat i studiował na drugim roku w Cambridge, a ja na trzecim. Tamtego lata on oraz nasi przyjaciele Kevin i Jonathan przyjechali ze mną do Kolombo. Wtedy w nocy wszyscy zdjęli koszule i zeskoczyli z asfaltowej promenady w potężne sierpniowe fale, zanim zdążyłam krzyknąć, że w tym miejscu woda jest brudna, i ostrzec ich przed silnymi prądami. Przyszliśmy na nabrzeże na spacer, nie mieliśmy zamiaru pływać. Musiałam potem odwieźć ich do domu samochodem. Mieli brudne nogi, przemoczone szorty i majtki. „Jesteście szaleni, głupi jak dzieci”, łajałam ich. Steve jak zawsze protestował, przypominając mi, że nie jest już chłopcem, lecz mężczyzną, i jak zwykle się z tego śmiałam.

Tego pierwszego lata Steve grywał w krykieta na naszej ulicy bez koszuli i boso z małymi chłopcami z sąsiedztwa. W trzech, z Kevinem i Jonathanem, siadywali na wysokim murku w tylnej części naszego ogrodu, popijając piwo Lion Lager z dużych butelek. Gromadzili się w bibliotece, by razem z moim ojcem oglądać jego zbiór starych map. W porze obiadowej napychali się *indiappa*¹² i krewetkami. To właśnie wtedy Steve pokochał krewetkowe curry przyrządzane przez moją mamę. Wieczorem zostawiałam dla niego otwarte drzwi balkonowe do mojej sypialni, a on leżał na podwójnym łóżku, które dzielił na parterze z Kevem, niecierpliwie czekając, aż moi rodzice w końcu pójdą spać. Miałam wtedy w swoim pokoju brzydki obrazek przedstawiający dziewczynę grającą na skrzypcach, który ktoś dał mi na trzynaste urodziny.

¹² Splątany makaron ryżowy typu nitki duszony na małym ogniu.

Steve, Kev i Jonathan mieli po pięćdziesiąt funtów na głowę, przeznaczone na trzymiesięczną podróż po kraju. Steve siedział obok mnie w autobusie z łokciem wystawionym za okno i z podziwem chłonał przesuające się przed nami, skąpane w słońcu krajobrazy południowego wybrzeża. Ścisnęłam nos, bo jakieś dziecko siedzące z przodu zwymiotowało. Na plaży w Unawatunie Jonathan w dużym kapeluszu z opadającym rondem czytał pod drzewem biografię Lenina, podczas gdy Kev i Steve pozorowali brutalną walkę, krzyząc: „No, chodź! Zobaczymy, jaki z ciebie twardziel!”. Uznałam, że to bardzo dziecinna zabawa. Chcąc mi udowodnić, że są zdolni do przeżywania głębszych emocji, usiedli na skale i zaśpiewali *Song to the Siren*. Twierdzili, że kiedy po raz pierwszy usłyszeli tę piosenkę w czasie sesji nagraniowej w programie Johna Peela, serca zamarły im z wrażenia.

Pojechaliśmy pociągiem do Nuwary Elii, by spędzić kilka dni z moimi rodzicami w Grand Hotelu. Okazało się, że Steve zapomniał spakować ubrań. „Jak możesz być taki głupi? Nie zastanowiło cię, czemu twój bagaż jest taki lekki?”, spytałam, a kiedy Kev i Jonathan nie mieli już czystych ubrań, które mogliby mu pożyczyć, jak gdyby nigdy nic zaczął nosić moje. Kev zrobił mu zdjęcie, jak zwisa z gałęzi omszałego drzewa na szczycie góry Pidurutalagala; wygląda idiotycznie w moim zielonym topie.

Cztery lata później Steve przyjechał na Sri Lankę z nowym garniturem, wszystkimi swoimi płytami The Smiths oraz dużym kartonem papierosów kupionym w sklepie wolnołowym dla mojej babki. I wzięliśmy ślub. Następne dwa lata spędziliśmy w Kolombo w wynajętym mieszkaniu ze starą kamienną wanną, szlifowanymi na ślisko betonowymi podłogami i ogromnym pajakiem zwanym Insy, który chował się za kuchennym zlewem.

Każdego wieczoru zajmowaliśmy się średnimi. Po obiedzie siadaliśmy przy stole, a komary ucztowały na naszych bosych stopach. Steve wręczał mi almanach krykietowy Wisdena i prosił: „Zapytaj mnie o coś”. Pytałam więc: „Graeme Hick w 1987?”. „Sześćdziesiąt trzy i sześćdziesiąt jeden setnych”, odpowiadał. „Viswanath, 1975?”. „Osiemdziesiąt pięć”. „Michael Holding?”. „Dwadzieścia trzy i sześćdziesiąt osiem setnych”. „Cowdrey, 1965?”. „Siedemdziesiąt dwa i czterdzieści cztery setne. Nie, nie... siedemdziesiąt dwa czterdzieści jeden”. I tak dalej. To były statystyki krykietowe; średnie uderzeń lub średnie osiągnięć zawodników rzucających. Steve musiał udzielić poprawnej odpowiedzi do drugiej cyfry po przecinku i niezmiennie mu się to udawało. Tak wyglądała pasjonujące życie małżeńskie.

Steve bez trudu dopasował się do rytmu życia mojej rodziny. Przyłączał się do popołudniowych ploteczek mojej matki i ciotek, zadawał im pytania o sari i osoby z towarzystwa. Zjednął sobie matkę, podziwiając rubiny w jej nowych kolczykach, ale denerwował ją, upierając się, że jej ulubiony srebrny półmisek wygląda jak trofeum piłkarskie. Mimo wszystko matka codziennie posyłała mu wymyślny lunch w kilkupoziomowej menażce do szkoły, w której uczył ekonomii i grał do upadłego w koszykówkę. Jeśli lunch się opóźniał, Steve telefonował do domu rodziców, a Saroja, nasza kucharka, która z uporem nazywała go *sudu mahattaya* („biały pan”), chociaż prosił ją, by tego nie robiła, nie była pewna, kto dzwoni, dopóki nie oznajmił głośno: „Mówi biały pan”, wprawiając tym w osłupienie swych kolegów z pokoju nauczycielskiego. Steve imponował moim młodym kuzynom historiami z Londynu. Jego wersja opowieści o tym,

jak razem z Dave'em stawili czoło faszystom w ciężkich butach, sprzedającym swe gazety na Brick Lane, pomijała fragment, w którym obaj, dotkliwie poturbowani, schronili się w najbliższym pubie. Starał się też dotrzymać kroku mojemu ojcu i wujowi w picciu piwa i whisky, ale niezbyt dobrze mu to wychodziło. To tata pokazał mu, jak należy wiązać sarong.

W czasie pełni księżyca Steve cierpliwie podtrzymywał w świątyni ramię mojej babki, gdy powoli rozdawała monety licznym żebrakom, którzy życzyli jej pomyślności w przyszłym życiu. Okazując jeszcze większą cierpliwość, uśmiechał się, kiedy mówiła mu: „Naprawdę cię lubię, Steve, ale wolałabym, żeby Sonali wyszła za mąż za jakiegoś miłego syngaleskiego lekarza. Zresztą mniejsza o to”.

W ciągu pierwszych lat po ślubie podróżowaliśmy po Sri Lance rozklekotanym czerwonym busikiem, który Steve pożyczył ze szkoły. Samochód zacinał się na stromej drodze do Parku Narodowego Równiny Hortona, a na chłodnych trawiastych terenach błyszczące oczy setek niewidocznych sambarów przecinały mgłę o zmierzchu. Tuż po tym, jak powoli zjechaliśmy przepaścistą drogą, Steve spokojnie powiedział: „Chyba nawalają hamulce”. Ale to nie hamulce odmówiły posłuszeństwa, kiedy ślizgaliśmy się w błocie na brzegach jeziora Minneriya. Krzyczałam na Steve'a, bo nie zauważył, że mamy prawie łyse opony. Tymczasem tuż obok nas węzójad rozorał brzuch ryby.

Najczęściej jeździliśmy tym czerwonym busikiem do Yali. W dzieciństwie spędzałam tam wiele razy wakacje. Wynajmowaliśmy jakiś bungalow w dżungli, a moi rodzice, ciotki i wujowie zawsze przywozili zbyt mało wody i napojów dla dzieci, ale dziwnym trafem nigdy nie zdarzyło się, by zabrakło piwa. Nocami sypialiśmy na ośmiu łózkach stojących jedno przy drugim na otwartej werandzie i jedynie murek, wysoki na metr, oddzielał nas od słonia, który pojawiał się w świetle księżyca. Uwielbiałam jazdę furgonetką po okolicy w suchych miesiącach, kiedy dżungla jest plamą szarości, a monotonię burzy jedynie zieleń feronii słoniowej albo czerwien obdartej kory. Ale lubiłam też, kiedy spadał deszcz i drogi stawały się gąbczaste. Drzewa natychmiast przybierały limonkową barwę, a w wieczornym świetle trawa wyglądała jak mech. Podczas gdy mój brat i kuzyni, siedzący z tyłu furgonetki, wyklócali się o ostatnie krople fanty, zajmowałam miejsce obok ojca i zdobywałam wiedzę na temat ptaków.

Pod koniec lat osiemdziesiątych powstanie w południowej Sri Lance niemal całkowicie uniemożliwiło wstęp do parku narodowego Yala, tak więc Steve i ja mogliśmy napawać się samotnością, spędzając po kilka tygodni w pustym hotelu nad morzem.

Obsługa pozwalała nam brać sobie piwo z baru, ponieważ była zajęta grą w carrom, a duży samiec słonia z kłami i z uszkodzonym ogonem przechadzał się nieopodal po zapadnięciu zmroku. Z biegiem lat hotel zyskiwał na luksusie. To właśnie w nim mieszkaliśmy, kiedy przyszła po nas wielka fala.

Steve był niezmiernie dumny z faktu, że wjeżdża naszym czerwonym busikiem tam, gdzie docierają jedynie jeepy z napędem na cztery koła. Rzucało nami na kamieniach, brnęliśmy przez kopny piach i o mały włos nie przewróciliśmy się na rozmytych szlakach. Często na wąskiej drodze napotykaliliśmy stado słoni. Zatrzymywaliśmy się na skraju, robiąc im miejsce, ale czasami ustawiały się w szeregu przed naszym kruchym czerwonym busikiem, zwijały trąby, wzbijały tumany kurzu i ryczały, najwyraźniej przygotowując się do ataku. Steve nerwowo sięgał wtedy po kluczyki, by uruchomić silnik, te zazwyczaj wypadały mu z rąk, zaczynało się szukanie pod siedzeniem i dopiero po dłuższym czasie mogliśmy salwować się ucieczką. „*Ali madiwata harak*”, określał potem całą sytuację, śmiejąc się do rozpuku, a ja pozwalałam sobie złośliwie żartować, że jest bardzo mądry. Nauczył się kilku z nieskończonej liczby syngaleskich powiedzonek mojej matki. To zacytowane przed chwilą znaczy: „Nie dość, że mamy tu słonie (które chcą zniszczyć uprawy), to jeszcze dołączyło do nich bydło”. Nieszczęścia chodzą parami.

Każdego wieczoru popijaliśmy piwo, siedząc na skale nad laguną w pobliżu hotelu, i wspominaliśmy nasze przygody z danego dnia. Planowaliśmy też przyszłość. Kiedy byłam dzieckiem, marzyłam o tym, żeby zostać strażnikiem w parku narodowym, a teraz okazało się, że Steve podziela mój zachwyty nad naturą. Zrezygnowaliśmy więc z naszych planów powrotu do Anglii w celu zrobienia doktoratu z ekonomii. Postanowiliśmy, że zostaniemy przyrodnikami i będziemy mieszkać w namiocie w dżungli. Oczywiście wróciliśmy do Londynu i zostaliśmy doktorami, ale podczas tych wieczorów w Yali, gdy zachodzące słońce sprawiało, że laguna wyglądała jak pokryta warstewką tłuczonego szkła o barwie karmazynu, nasze marzenia wydawały się bardzo realne.

NA POŁUDNIE OD WYBRZEŻY MIRISSY, 2011

Dwa płetwale błękitne wślizgnęły się pod naszą łódź. Przechyliam się przez poręcz i patrzę. Pod oświetloną słońcem wodą wieloryby są rzeczywiście niebieskie jak błyszczący akwamaryn. W chwilę później wynurzają się wśród głośnego szumu wody, błękitnoszare, cętkowane, są niepokojąco blisko. Widzimy kolejne w oddali. Wydmuchiwane przez nie fontanny wznoszą się ponad oceanem i szybko opadają. To wszystko jest takie ulotne... Naliczyłam jedenaście wielorybów. Te dwa obok nas wcale nie mają ochoty odpłynąć. Okrążają naszą łódź, co chwila pod nią znikają... Nie wiadomo, czy zagrażają nam, czy tylko się bawią. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam nasz stateczek w porcie Mirissy o świcie, powiedziałam mojej przyjaciółce Malathi, że wydaje mi się bardzo mały i kruchy. Teraz mam wrażenie, że jest jeszcze mniejszy.

Jestem jednak tak urzeczona tym, co się dzieje wokół mnie, że nic nie jest w stanie wyprowadzić mnie z równowagi. Nigdy wcześniej nie widziałam płetwala błękitnego. Staram się przyjąć jak najdogodniejszą pozycję na łodzi łagodnie unoszącej się i opadającej na wodzie. Nasz stateczek płynie samotnie po ciemnoniebieskim oceanie. Znajdujemy się około trzydziestu kilometrów od południowego wybrzeża Sri Lanki. W zasięgu wzroku nie ma innych łodzi, minęło już kilka godzin, odkąd widziałyśmy ląd. Mamy nad sobą czyste niebo, na którym nie ma żadnych ptaków. Pielęgnuję w sobie to doznanie pustki, myśląc o tym, że oprócz bezmiaru oceanu nic już nas nie dzieli od Antarktydy. Morze jest tu głębokie na dwa tysiące metrów. Na dole panuje całkowita ciemność, a niektóre ryby nie mają oczu. Vik wiedział wszystko na temat strefy afotycznej. Był również pod wielkim wrażeniem płetwali błękitnych. Nie mógł się nadziwić ich ogromowi; temu, że mają długość równą trzem autobusom, język o wadze słonia, serce wielkości samochodu. Jak to możliwe? Fascynowała go długa linia ich przodków. Wieloryby żyły już sześćdziesiąt milionów lat temu, ale czy to prawda, że wyglądały jak psy? Przypomniałam sobie to wszystko, gdy nasza łódź wypłynęła z małego portu. Nie powinnam znajdować się na tym stateczku, pomyślałam, jedząc herbatnik imbirowy, by powstrzymać nudności. Vik nigdy nie widział płetwala. Więc ja nie powinnam go obserwować, skoro mój syn nie może tego robić. Bez niego będzie to strasznym przeżyciem. Zapłacę za to wysoką cenę.

Wcześniej, gdy poranne promienie słońca ogrzały moją ławeczkę, przytłoczyła mnie świadomość, że nie ma przy mnie moich bliskich. Z przodu, na dziobie usiedliby Steve i Vik. Malli opierałby głowę o tę poręcz. Słońce wydobyłoby ukryte rudawe pasma w jego

jedwabistych czarnych włosach. Rzuciłam swoje japonki w ką; powinny znajdować się tam jeszcze trzy pary. Uwielbialiśmy ocean o poranku, miękki i spokojny. Mogę doświadczyć czegoś niezwykłego, zobaczyć wieloryby, tymczasem nie potrafię zapomnieć o braku moich bliskich. To jest silniejsze ode mnie.

Łódź wypłynęła na otwarte morze, linia brzegowa zaczęła się rozmywać, oddalać. Południowe wybrzeże, które tak dobrze znaliśmy. Przyjrzałam mu się teraz. Na odległym końcu plaży Mirissy pienista fala przyboju natarła na skałę zwaną Girigalą albo Papuzią Skałą. Po lewej stronie rozciąga się piaszczysta plaża w zatoce Weligama; na płytkiej, pozbawionej fal wodzie kołyszą się kolorowe łódki rybackie. A z tyłu wznosi się ośmiokątna latarnia morska w Dondra Head, wzniesiona pod koniec dziewiętnastego wieku przez Brytyjczyków. Często powtarzałam chłopcom, że jest to najdalej na południe wysunięty punkt Sri Lanki. Mallego chyba niewiele to obchodziło, kiedy dostał tam napadu złości, bo był głodny i marzyły mu się czerwone banany. Steve i ja zamierzaliśmy w niedługim czasie zamieszkać w tej części wybrzeża.

Przez sześć lat od ich śmierci nie potrafiłam z sympatią myśleć o tutejszym krajobrazie. Wmawiałam sobie, że jest kiczowaty, jak z pocztówki. Że te plaże i zatoki są zbyt śliczne i pogodne, by mogły choć na chwilę uśmierzyć mój ból.

Dwie srebrzyste latające ryby wbiły się ponad powierzchnię wody, szybko machając ogonami. Przez chwilę drżały w powietrzu, potem przesunęły się lotem ślizgowym nad szmaragdowym morzem. Ich duże płetwy służyły im za skrzydła. Łódź się zakołysała. Płynęliśmy już prawie dwie godziny, a nigdzie nie było widać wielorybów. Słońce stało wysoko, świetliste promienie tworzyły fajerwerki na wodzie.

Malathi i ja rozmawialiśmy z Rajeshem, który wraz z kilkoma członkami załogi kieruje naszym stateczkiem. Jeszcze do niedawna Rajesh był rybakiem, podobnie jak członkowie jego rodziny od pokoleń. Kilka lat temu jednak ktoś odkrył, że płetwale błękitne i kaszaloty mają swoją trasę migracyjną w tych wodach. Teraz, w pierwszych miesiącach roku, kiedy nie ma monsunu, Rajesh organizuje wycieczki umożliwiające ich oglądanie. Opowiedział nam o tym, jak nurkował w obecności wielorybów. Na pustym oceanie pojawił się kontenerowiec płynący na południe. Rajesh polecił nam mocno trzymać się poręczy. Ostrzegł, że mijający nas statek wzbudzi dużą falę. Tak było w istocie. Zręcznie manewrując, Rajesh – umięśniony, bez grama tłuszczu, z zawadiacką blizną na policzku – przeprowadził naszą łódź przez przeszkodę. Szkoda, że Steve nie może mi towarzyszyć w tych niezwykłych przeżyciach.

Kiedy zobaczyliśmy pierwszą fontannę wody wystrzeloną przez wieloryba, przyspieszyliśmy, a ja przeniosłam się myślami do naszego salonu w Londynie. Vik i ja siedzieliśmy na czerwonej kanapie, oglądając *Błękitną planetę*. Słyszałam, jak mój syn gwałtownie wciąga powietrze, gdy na ekranie pojawiły się dwa płetwale błękitne, nieprawdopodobnie olbrzymie, mimo że kamera ukazywała je na tle bezmiaru wód oceanu. Kręcił głową coraz szybciej, patrząc, jak wieloryby płyną i nurkują. Teraz, gdy stateczek zbliżał się do celu, chciałam, by nasz płetwal zniknął. Nie miałam sił oglądać go bez Vika.

Kolejna mglista fontanna ukazała się w odległości kilku kilometrów przed nami, a moja chęć zapoznania się z cudami tego świata wzięła górę nad bolesnym rozpamiętywaniem. Poczułam dreszcz podniecenia na myśl o wielorybach. A potem przypomniała mi się muzyka z *Błękitnej planety* – brzmiący jak hymn utwór poświęcony płetwalom błękitnym, grany przez Orkiestrę Koncertową BBC. Wzdrygnęłam się i postanowiłam zapanować nad swoją pamięcią, stłumić ją. Niech odpocznie.

Wraz z Malathi przywarłyśmy do poręczy na otwartym pokładzie z oczami utkwionymi w dwa płetwale płynące wzdłuż naszej łodzi. Byłyśmy odurzone, urzeczone tym widokiem. Największe znane zwierzę w historii Ziemi jest zarazem, jak powiedziała mi Malathi, jednym z najbardziej płochliwych. Rajesh wyłączył silnik. Woda delikatnie chłostała kadłub.

Trudno jest zrozumieć stworzenie o tak niezwykłych rozmiarach. Dwa wieloryby kręca się wokół naszego statku, poruszają się z niewymuszoną gracją. Można odnieść wrażenie, że wytyczyły sobie jakiś ważny cel. Ich widok przenika człowieka do głębi. To czyste piękno, które uwzniośla. Jestem szczęśliwa, czuję głęboką wdzięczność, że się tu znalazłam.

Łapczywie chłonę wszystkie szczegóły. Nie chcę uronić niczego z tej niezwykłej wielorybiej magii, tym bardziej że Vik nie może jej doświadczać. Przeczesuję wzrokiem ocean, tak jakby to robił mój syn. Widzę jakieś poruszenie – pienista grzywa poprzedza ukazanie się ponad powierzchnią głowy o linii starożytnego łuku. Wieloryb wydycha powietrze i wodna rakietka bulgoce. Pragnę zobaczyć jak najwięcej, chcę, by ta głowa uniosła się jeszcze wyżej, by ukazały się bruzdy na podgardlu, a najlepiej byłoby, gdyby wieloryb wyskoczył ponad wodę. Muszę jednak obejść się smakiem.

Te zwierzęta kryją się ze swoim ogromem, rzadko ukazują się całe oczom ciekawskich. Widzę, jak płetwal płynie pod wodą, miga błyszczący błękit. Wygięty w łuk grzbiet drugiego, schodzącego głębiej, przez chwilę przesuwają się nad powierzchnią oceanu.

Zwinność ruchów zwierzęcia nie pozwala domyślić się jego ciężaru. Pozostaje mi jedynie domyślać się jego potęgi.

Mężczyźni pracujący na statku powiedzieli nam, że od pięciu dni nie widzieli tu żadnych wielorybów, od czasu tsunami w Japonii. Zastanawiają się, czy zwierzęta mogły to jakoś odczuć. Nie mogłam się powstrzymać od oglądania obrazów tego koszmaru w telewizji. Mimo że mnie przerażają, chcę patrzeć, jak bezlitosna czarna woda niszczy całe miasta znajdujące się na jej drodze. A więc to nas dotknęło, myślałam, patrząc na fale przelewające się przez wały nadmorskie w Japonii. Taka woda mnie porwała. Wtedy nie zdawałam sobie sprawy ze skali zjawiska. Ten sam ocean, teraz niebieski, wyglądający wręcz niewinnie, zmienił się w bezlitosny żywioł.

Gdzie były te wieloryby, kiedy morze po nas przyszło? – zastanawiam się. Czy pływały w tym oceanie? Czy czuły coś dziwnego? Kolejny płetwal majaczący w oddali podpłynął bliżej. Usłyszałam niski ryk, gdy wydychał powietrze. Teraz bierze oddech. Wśród bezmiaru wód rozlega się smutne westchnienie.

Siedzę oniemiała na wilgotnej poduszce na podłodze łodzi. Nie czuję już potrzeby obserwowania każdego ruchu tych zwierząt. Mój wcześniejszy niepokój gdzieś się ulotnił. Nie boję się oglądania ich bez Vika. Nie muszę rozpaczliwie uciekać od wspomnień. Znajduję ukojenie w pięknie tych stworzeń, w ich dostojności, i rozkoszuję się uczuciem ulgi. Potem znów patrzę. To niesamowite, wieloryb się wypróżnia. Ogromna karmazynowa plama powoli znika pod powierzchnią niebieskiej wody. Powinieneś to widzieć, Vik. Ten krył.

Chciałabym zostać na tej łodzi na zawsze. Usypia mnie łagodna morska bryza i nasz kołyszący się stateczek. Czuję się bezpiecznie na bezkresnym oceanie. Płetwale błękitne są tajemnicze, jakby nierzeczywiste, mimo to uspokajam się na chwilę w ich obecności, odpoczywam, chociaż wciąż nie wierzę w to, co się stało, jednocześnie znając straszliwą prawdę, którą często muszę okrawać i przekształcać tak, bym mogła ją znieść... Może to majestat tych stworzeń dodaje mi sił i wydaje mi się teraz, że jestem w stanie wszystko udźwignąć. A może zostałam przez nie wprowadzona w trans?

Czuję się jak we śnie w tej otulinie morza i nieba. Wieloryb nurkuje. Po raz pierwszy widzę ogromny ogon płetwała nad powierzchnią wody. Nurkowanie trwa zaledwie chwilę, mam jednak wrażenie, że obrazy przesuwają się przed moimi oczami w zwolnionym tempie. Woda spływająca z uniesionego ogona zdaje się tworzyć stalaktyty. Przypominam sobie inny sen. Kilka miesięcy po wielkiej fali Anita powiedziała mi o śnie Kristiany. Jej

córka miała wtedy osiem lat i żyła jak w oszołomieniu po stracie przyjaciół. Któregoś ranka przy śniadaniu upierała się, że Vik i Malli wrócili do domu. Opowiedziała swój sen z minionej nocy. Widziała, jak Vik i Mal wychodzą z morza, trzymając się za ręce.

Ogon nurkującego wieloryba z plaśnięciem znika w błękitnej wodzie. Zwierzę nurkuje głęboko, zostawia nas. Widzę, jak szklisty ślad ogona drży na wodzie, lecz wkrótce potem znika. Ocean traci poranny spokój. Minęło już południe, zbierają się fale, łódź się trzęsie.

Płyniemy w stronę brzegu. Mówię Malathi, że płetwale błękitne, Steve i ja znamy się od dawna. To była jedna z pierwszych historii, którą opowiedział mi mąż. To właśnie wtedy zorientowałam się, że jest kimś więcej niż tylko wiecznie pijanym osiemnastolatkiem z East Endu, któremu udało się dostać do Cambridge. Opisał mi swoje przeżycia z pierwszej wizyty w Muzeum Historii Naturalnej w Londynie. Miał wtedy sześć lat i był tam z wycieczką szkolną. Wszedł do galerii płetwala błękitnego, nie wiedząc, co go czeka. Zobaczył naturalnej wielkości model tego zwierzęcia. Doznanie było tak intensywne, że łzy same popłynęły mu z oczu. Był poruszony jak nigdy dotąd. Nie przypuszczał, że może istnieć coś tak wspaniałego. Steve rzadko opuszczał osiedle bloków komunalnych, na którym mieszkał, i ten widok był dla niego objawieniem. Jednocześnie obudził się w nim lęk. Wiedział, że jeśli koledzy dostrzegli choćby ślad łzy w jego oczach, będą się nad nim pastwić. W szkole znajdującej się w ubogiej dzielnicy, nawet jeśli miało się tylko sześć lat, nie wolno było płakać z powodu wielorybów.

Zanim w wieku osiemnastu lat wyjechałam z Kolombo do Cambridge, moja matka narzekała na pozbawioną smaku angielską kuchnię i próbowała mnie nauczyć, jak przyrządzać *dhal*. Na cebulę jednak reagowałam nerwowo. Zaczęło się to, gdy miałam trzy lata i ciotka zamknęła mnie w magazynku w domu babki, najprawdopodobniej po to, by ukarać mnie za zakłócanie popołudniowej sjesty. W tym ciemnym pomieszczeniu wszędzie stały plecione koszyki pełne czerwonych cebulek. Od tej pory nie byłam w stanie dotknąć tego warzywa ani zjeść go na surowo. Jeśli zobaczyłam gdzieś w domu zabłąkaną łupinkę, zaraz wołałam kogoś, żeby ją sprzątnął.

Oprócz cebul jednak, jadąc na uniwersytet, niczego się nie obawiałam. Opuszczałam Sri Lankę pierwszy raz w życiu. Nigdy nie mieszkałam z dala od rodziny. Rozstawałam się też ze wszystkimi szkolnymi przyjaciółkami, które znałam od czwartego roku życia. W ogóle mi to jednak nie przeszkadzało. Wszystko, co wówczas miało znaczenie – studia, nawiązywanie przyjaźni, flirty – przychodziło mi z łatwością, więc byłam radosna i czułam się bezpieczna. Ale moja babka martwiła się o mnie. Co wieczór, gdy ofukała już służących, że przynieśli jej okaleczone gałęzie jaśminu, zapalała lampę oliwną i zniszczone kwiaty składała w ofierze kamiennemu Buddzie, modląc się przy tym, bym nie poślubiła *ali wandura*, „małpy albinosa”, czyli białego człowieka.

Podczas mojej pierwszej zimy w Cambridge w 1981 roku padał tak gęsty śnieg, że straciłam na pewno siebie. Przyglądałam się z obrzydzeniem oblodzonej Huntingdon Road – po czymś takim miałam jeździć na rowerze trzy kilometry na wykłady? Moi nowi przyjaciele byli cierpliwi. Eskortowali mnie z przodu, z tyłu i po obu stronach, gdy z trudem utrzymywałam równowagę. My, którzy studiowaliśmy ekonomię w Girton, szybko stworzyliśmy zgraną paczkę i większość czasu spędzaliśmy razem, przemieszczając się całą grupą. Kiedy poznałam Davida i Alana, oznajmili mi, że przyjechali do Cambridge, by się „doskonalic, doskonalic, doskonalic”, ale kilka miesięcy później David urywał się razem ze mną z wykładów i wspólnie słuchaliśmy audycji *Our Tune* w Radio One. Lester, który był rok wyżej, podczas formalnych uniwersyteckich kolacji próbował czasem ukryć swoją wschodniolondyńską przeszłość i udawał nigeryjskiego księcia, ale bez powodzenia. Clive, który imponował nam wszystkim, zrobił sobie rok przerwy w nauce i pojechał do Meksyku, gdzie zarabiał grą na skrzypcach. Seok z Singapuru i ja byłyśmy cudzoziemkami. Ona nie dość, że lepiej ode mnie jeździła na rowerze, to jeszcze nosiła punkowy makijaż i ubierała się jak gotka. Ja natomiast chodziłam w jaskrawoniebieskiej kurtce podarowanej mi przez ciotkę, w której wyglądałam jak ludzik Michelina.

Na pierwszym roku musiałam się wiele nauczyć. Zrozumienie Keynesowskiej krytyki monetaryzmu stanowiło względnie łatwe zadanie. Więcej kłopotów sprawił mi *Żywot Briana*, mój pierwszy film Monty Pythona, z którego nie dotarła do mnie nawet połowa dowcipów. Wmówiłam sobie, że lubię grupę The Clash, ponieważ lubił ją David, i kupiłam sobie płytę *Combat Rock*. Moim przyjaciołom i mnie zawróciło w głowie wejście w świat lewicowej polityki. Nieraz nie starczało nam czasu na sen, gdy do białego ranka dyskutowaliśmy nad kryzysami kapitalizmu. Aby zaprotestować przeciwko Thatcherowskiej polityce obcinania wydatków publicznych w okresie wysokiego bezrobocia, siedziałam na debacie Cambridge Union obok młodego człowieka w spodniach w grochy i rzucałam jajkami w sir Geoffreya Howe'a.

Byłam w Cambridge już od roku, gdy pojawił się Steve. On również przyjechał do Girton studiować ekonomię.

– Czy tu często pada deszcz?

Takie były jego pierwsze słowa skierowane do mnie. Tyle że wymówił ten „deszcz” bardzo dziwnie, więc wbiłam w niego wzrok, myśląc: „Co takiego?”. Stał za mną w kolejce po obiad w stołówce, wysoki, chuderlawy osiemnastolatek z drewnianą tacą w dłoni. Widząc moją zdezorientowaną minę, powtórzył pytanie z pąsem na policzkach. Gdy już dotarło do mnie, co powiedział, wciąż myślałam: „Co takiego?”. Zdawkowo coś odpowiedziałam i zwróciłam się do towarzyszącego mu chłopaka z kręconymi włosami – miał na imię Kevin – z nadzieją na ciekawszą rozmowę. Steve potem mi zdradził, że pomyślał wtedy: „Ty arogancka krowo”.

Steve i Kevin wspierali się wzajemnie w drodze przez Cambridge, które dla dwóch chłopców z klasy robotniczej było niezbadanym terenem. Steve pochodził ze wschodniej części Londynu, a Kevin – z Basildon w hrabstwie Essex. Tak więc podczas powitalnego koktajlu w college'u Steve dał Kevinowi kuksańca w bok, gdy ten zaczął mówić do pani dziekan: „Ja i mój przyjaciel chcemy...”, ale spóźnił się, bo Kevin został tymczasem poprawiony: „Chciał pan powiedzieć: »Mój przyjaciel i ja...«”. Kevin z kolei próbował zniechęcić Steve'a do wyjmowania z filiżanki i zjadania liści zielonej herbaty, którą poczęstował ich podczas konsultacji profesor historii gospodarczej: „Nie, człowieku, przestań, tak się nie robi”. W tym okresie Steve chodził w zielonej kurtce lotniczej, martensach i szaliku West Ham. Ten wizerunek twarziela z miasta doznał kiedyś poważnego uszczerbku, ponieważ babka wyhaftowała mu na tym szaliku imię Stephen, zupełnie jakby miał pięć lat.

Szybko stali się klaunami grupy. Prezentowali nam mocno przerysowane wcielenia swoich znajomych z dawnych lat, rozkoszując się przy tym świadomością, że w Cambridge nikt im za to nie przestawi szczęki, co w rodzinnych stronach mogłoby się zdarzyć. Odegrali na przykład złodzieja, który ukradł sąsiadowi telewizor i postawił go u siebie w dużym pokoju, mimo że sąsiad często wpadał do niego na pogawędkę (a może nawet na wspólne oglądanie magazynu policyjnego, kto wie?). I „twardych ludzi”, którzy paradowali po ulicach i zaczepiali innych, pytając: „Co, koleś, lukniesz na mnie czy cegła w zęby?”, a gdy trafili na kogoś, kto spojrział im w oczy, traktowali to jako powód do urazy. I takich z ambicjami do wybicia się w świecie przestępczym, potencjalnych rabusiów bankowych i mistrzów w walce na gołe pięści, dla których największą hańbą było podkablować człowieka policji, wszystko jedno – kumpla czy wroga. Wtedy pierwszy raz usłyszałam cockney i dowiedziałam się, że *tea leaf* to „złodziej”, *butcher's hook* znaczy „popatrzyć”, a *strife* to oczywiście „żona”.

Każdego wieczoru Steve i Kevin upijali się, puszczeni pawie z Trinity Bridge do rzeki albo brudzili szyby okien, których nie udało się dostatecznie szybko otworzyć. Trzymałam się od nich na dystans. Dokuczali mi, nazywając mnie „lady”. „Popatrz, jak się dąsa i zadziera przy nas nosa”. Dwaj żule, choć jeszcze niepełnowymiarowi, myślałam.

Wcale więc nie chodziło mi o wzbudzenie zainteresowania Steve'a, gdy każdego ranka pokonywałam korytarz w przejrzystej białej kurcie, bez bielizny – zaraz po przebudzeniu tak właśnie szłam do łazienki. Tym jednak zachęciłam go, by odwiedził mój pokój z tomem wierszy zebranych Johna Keatsa, aby mi poczytać. Książka była zaplamiona czarnym tłuszczem, bo Steve woził ją z sobą ciężarówką ojca podczas podróży po Europie odbytej latem rok wcześniej. Powiedział mi, że *Lamię* Keatsa czytał, siedząc na skrzyni w mediolańskim magazynie, i nawet hałas przy rozładunku ciężarówek nie mógł oderwać go od opowieści o wężu przeobrażającym się w kobietę – „jej elfia krew zawrzała w biegu”. Przeczytał mi z niej kilka razy wersy: „Jej półksiężycy przyćmił, zlizął gwiazdy...”. Naprawdę mógłbyś być nieco bardziej subtelny, pomyślałam.

Ale Steve miał lśniące czarne włosy, które opadały mu na czoło, bardzo charakterystyczne skośne oczy i spiczasty podbródek. Urocze. Cieszyłam się więc tymi przypadkowymi godzinami, które spędzaliśmy razem, tylko we dwoje, bez Kevina i reszty naszych przyjaciół. Chodziliśmy na długie spacerunki gruntowymi drogami przy pastwiskach, na których wydział weterynarii trzymał odbiegające od normy byki z dziwnie ukształtowanymi łbami. Łaziliśmy też o zmierzchu po terenach sportowych St. John's

College. Wciąż trudno było mi się przyzwyczaić do tego, jak wcześniej robi się ciemno w jesienne popołudnia w Anglii. Bywaliśmy w herbaciarni biblioteki uniwersyteckiej, gdzie podawano bułeczki *scone* na ciepło. Nudził mnie materiał z ekonomii, który poznawałam w tym roku, chętnie więc rezygnowałam z mierzenia się z teorią wartości Sraffy, by spędzić ten czas ze Steve'em wśród książek w północnym skrzydle, gdzie można było poczytać broszury o grach towarzyskich w brytyjskich koloniach albo o opryskach z East Endu, takich jak bliźniaczy bracia Kray. Steve powiedział mi, że niedaleko miejsca, w którym mieszkał, w Whitechapel, znajdował się pub Blind Beggar, w którym Kray kogoś zastrzelił.

Steve zawsze miał na podorędziu mnóstwo historyjek o rodzinie i swoich dziecięcych latach, a także o Londynie, jaki znał. Dorastał w Manor Park, na obrzeżu wschodniej części miasta, gdzie ze swoim bratem Markiem grał na ulicy w piłkę, do późna, przy świetle latarni. Wałęsał się z kolegami dookoła pobliskiej fabryki słodocy i wszyscy wyobrażali sobie, jakie wspaniałe łupy można by zdobyć, gdyby dostać się do środka. Jedli pomidory, które dziko rosły niedaleko oczyszczalni ścieków nad rzeką Roding, niepozornym dopływem Tamizy, i dostali przez to wysypki na twarzy. Któregoś dnia ojciec powiedział Steve'owi, że jeśli będzie za często go widywał stojącego na rogach ulic, to nogi mu przetrąci. Steve wiedział, że ojciec nie spełniłby tej groźby, ale był mu za nią wdzięczny. Pozwoliło mu to siedzieć w domu i odrabiać lekcje, chociaż koledzy raz po raz wpadali i namawiali, żeby poszedł z nimi porzucać butelkami po mleku w ścianę klubu przy końcu ulicy. „Nie, człowieku, nie dziś wieczorem. Ojciec by mnie zabił”.

Długie okresy nieobecności ojca w domu, związane z jego pracą, oznaczały, że matka wychowywała Steve'a, jego brata i dwie siostry w dużej mierze sama. Robiła to z radością i bardzo wiele przy tym mówiła. Gdy Steve był mały, wprawiała go w olbrzymie zakłopotanie, narzekając przed wszystkimi ludźmi spotkanymi w pralni przy składaniu ubrań na jego odstające uszy. Chociaż jej życie codzienne obejmowało jedynie niewielki wycinek wschodniego Londynu, Pam bardzo interesowała się tym, co się działo na świecie, i polityką. A spośród dzieci właśnie Steve dzielił z nią te zainteresowania. Jako nastolatek spędzał długie wieczory na kanapie, leżąc z głową na kolanach matki, i dla jej potrzeb oceniał francuski system parlamentarny albo tłumaczył jej, na czym polegało przejście Hiszpanii do systemu demokratycznego. Inną pasją matki były historie miłosne. Każdego wieczoru czytała jakiś romans. Steve i jego siostra Jane nieraz dostawali polecenie, by kupować dla niej tuzinami używane wydania kieszonkowe w stoisku

na bazarze przy Green Street.

Na bazar wpadali po drodze w soboty, gdy szli obejrzyć West Ham grające w Upton Park. Odkąd Steve skończył siedem lat, Jane, która była od niego o pięć lat starsza, brała go na mecze piłki nożnej. Potem odwiedzali babkę, która mieszkała w strasznym bałaganie niedaleko stadionu, nad chińską knajpką z daniami na wynos. Babka zawsze mówiła Steve'owi, że jest wyjątkowo bystry, bo wrodził się w jej siostrę, która była „najmądrzejszą kobietą w Rangunie”. W Birnie jego pradziadek był zarządcą rzeźni, a babka spędzała dni na grze w tenisa i uczestnictwie w przyjęciach ogrodowych.

Szczegóły z jego licznych ciepłych i zabawnych opowieści przemawiały mi do wyobraźni. Moje historie z dzieciństwa wydawały się w porównaniu z tym blade. Opowiedziałam mu o swoim pierwszym wyjściu do kina na *My Fair Lady*. W połowie rodzice musieli zabrać mnie do domu, bo zaczęłam wyć jak szalona z powodu gorącej kąpieli przygotowywanej dla Elizy. W domu na Sri Lance mieliśmy tylko zimne prysznicze i myślałam, że biedaczka ugotuje się żywcem. Było to dla mnie bardziej niepokojące niż szczudlarz, który raz w tygodniu przechodził naszą ulicą po południu, gdy matka uciniała sobie drzemkę, a ja bawiłam się przed domem.

Mimo tego pierwszego zagajenia o deszczu wkrótce się przekonałam, że Steve ma głęboko zakorzenioną wiarę w siebie. Niełatwo było wytrącić go z równowagi, dobrze mu było z sobą. Gdy zdawaliśmy egzaminy lub pisaliśmy pracę kontrolną, znakomicie potrafił się skoncentrować. Wybrawszy ważne pozycje z absurdalnie długich list lektur, pracował w skupieniu, szybko i wydajnie. Zawsze był bardzo dokładny w notatkach, które bazgrał ołówkiem w ciszy biblioteki.

Steve przyjechał do Cambridge ze szkoły średniej o bardzo niskim poziomie. Kiedy miał szesnaście lat, niektórzy jego rówieśnicy wymawiali nazwisko Hitler jako „Itla”. Przy końcu dnia nauki cała okolica szkoły była pełna furgonów policyjnych używanych do tłumienia rozruchów. Gromady wagarujących uczniów przychodziły pod bramę, żeby bić tych, którzy spędzali dzień na demolowaniu klas. Oprócz naszego przyjaciela Lestera, absolwenta tej samej szkoły, nikt więcej stamtąd nie poszedł na uniwersytet, za to niektórzy trafili do więzienia. Słyszając, że Steve wybiera się do Cambridge, jeden z weteranów chuliganerii, który sądził, że chodzi o jakiś poprawczak, spytał: „A który to? I jakie tam jest żarcie?”. Ale mój mąż zawsze traktował z dystansem rozpręczenie w swojej szkole średniej. Powiedział mi, że to nawet działało na jego korzyść. Zagarnął bowiem dla siebie niepodzielną uwagę nauczycieli jako rzadki okaz ucznia, któremu można coś przekazać.

I dobrze mu szło. A awanturnicy mu na to pozwolili. Żywili do niego szacunek, bo był w drużynie koszykówki. Niektórym z jego białych ziomeków podobało się również, że „jeden z nich” się wyróżnia. „Niech Paki zobaczą”, mówili, widząc, że spośród uczniów tej szkoły jedynie Azjaci osiągnęli cokolwiek na uczelniach. Był to przełom lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, kiedy koncepcja dominacji białych była szeroko rozpowszechniona wśród grup młodzieżowych w ubogich i zaniedbanych okolicach. Rozterki z powodu uprzedzeń i nienawiści w swoim otoczeniu Steve wyraził w młodzieńczych wierszach o zdeprawowanej miejskiej duszy.

W Cambridge w niedzielne popołudnia chodziliśmy czasem we dwoje uczyć się na łąkę albo do sadu, z butelką likieru Southern Comfort w dłoni. Wtedy jeszcze nie doceniałam uroku angielskiej wsi. Narzekałam, że jest nużąca, nie ma dziko żyjących słońi, które mogą zniecka wypaść na człowieka. Steve oświadczył, że w odróżnieniu ode mnie potrafi cieszyć się każdym krajobrazem. Opisał mi, jak rozkoszował się porannym słońcem, które oświetlało ceglane mury domów na jego osiedlu czynszówek, gdy codziennie rozwoził gazety dla Patela, firmy dystrybutorskiej z Romford Road.

Kilka razy w semestrze jechaliśmy całą grupą stopem do Londynu. Tam odwiedziliśmy czytelnię w British Library i – z szacunku dla Karola Marksa – cmentarz Highgate. Nasza przyjaciółka Seok odkryła przed nami uroki kaczki po kantońsku z ryżem w Kai Kee na Wardour Street. To właśnie jeden z tych wyjazdów dał początek fascynacji Steve’a brązowym posągami lankijskiej bogini Tary w British Museum. Kiedy indziej, pewnego grudniowego popołudnia, Steve kazał Seok i mnie godzinami chodzić w kółko po okolicy, gdzie kiedyś mieszkał, gdyż szukał miejsca, w którym jako sześciolatek pochował swojego Action Mana. Było zimno i pochmurno. Nadąsana zastanawiałam się, co za bzdury opowiadał mi kiedyś o lśniących czerwonych ceglach. Ale następnego ranka, kiedy przyszedł do mojego pokoju i usiadł na łóżku, wyciągnęłam do niego ramiona. Chciałam oszczędzić mu trudu kolejnej sesji czytania Keatsa. Okazał się oczywiście bardzo chętny i uroczo namiętny, wkrótce jednak powiedział: „Zaraz wrócę”, i znikł. Potem dowiedziałam się, że ta przerwa była po to, by mógł pójść do pokoju Kevina, załomotać pięścią do drzwi i nacieszyć się reakcją przyjaciela, gdy już się pochwalił: „Całowałem Sonal”. Kev rzucił go na podłogę. „Ty szczęśliwy sukinsynu! Ty farciarzu!”

Gdybym tego zimnego grudniowego ranka wiedziała, jak bardzo będzie wariował z powodu pocałunku, nie wpuściłabym go do pokoju po raz drugi. A tak w podskokach wrócił. I został całkiem długo.

Rozdział dziewiąty



MIAMI, 2011

Nie jestem z tych, co dużo mówią. Może to mojito skłoniło mnie do zwierzeń. Wypiłam do kolacji dwa. Nie, chyba trzy. Wieczór był pogodny, a ocean spokojny. Nawet w mroku widzę nurkujące pelikany.

To są niebezpieczne dni – urodziny moich chłopców. Gdy się zbliżają, zaczynam być niespokojna. Przez minione sześć lat spędzałam ten czas z przyjaciółmi. Jeździliśmy w nowe miejsca, niektóre z nich rozległe i groźne, jakby odbijały dręczący mnie zamęt, inne dające trochę wytchnienia. Była zamieć śnieżna na islandzkim lodowcu i burza, która szarpała naszym samochodem nad szkockim jeziorem na odludziu. Zaplątaliśmy się w wodorosty, pływając w stawku wśród wzgórz The Berkshires, a w Madrycie chodziliśmy od baru do baru.

Tym razem jest inaczej. Dwa dni temu minęły urodziny Vika i znowu wyruszyłam w podróż. Ale sama. Chciałam, żeby nieznan widok pomógł mi przetrwać ten dzień, i byłam ciekawa, czy odważę się spędzić ten czas w pojedynkę. Kiedy dotarłam z Nowego Jorku do Miami, powiedziałam sobie, że to niedaleko, że jeśli będę zbyt zdołowana, zawsze mogę wrócić. Vikram skończyłby czternaście lat dwa dni temu. Czternaście.

Początkowo nie ufałam odczuwanej przez siebie lekkości. Ta cała wesołość wokół mnie to tylko Miami. Daję się ponieść emocjom, zwodzić poczuciu, że nic złego się nie dzieje. Tak myślałam. Bo jak inaczej mogłabym się tak lekko czuć? Mimo to nie straciłam swobody. Codziennie rano chodziłam w słońcu po plaży. Wiał silny wiatr, a ja byłam świeża i rześka. Czasem kąpałam się w oceanie, pozwalałam, by sól wgrzyzała mi się w ramiona. Ostatniego wieczoru lało, ja pływałam w pustym basenie, a wiosenny deszcz smagał mnie po twarzy. Byłam spokojna, odnalazłam w sobie pogodę, której istnienia wcześniej nie podejrzewałam.

To było odkrycie. W takie dni, jak urodziny czy rocznica wielkiej fali, chcę być sama. Wtedy jestem blisko nich, znowu bez przeszkód wkradam się do naszego życia albo oni wkradają się do mojego.

Młody barman w tym hotelu jest studentem. Ma mnóstwo pytań, gdy zdradzam mu, że jestem naukowcem z Londynu, a teraz także z Columbia University. Udzielam mu rad we wszystkim, w czym mogę, ale zwięźle. Pilnuję się, żeby rozmowy z obcymi nie trwały zbyt długo, bo mogłyby doprowadzić do pytań o rodzinę. Tak więc każdego wieczoru młody człowiek, przygotowując mi trzecie wyborne mojito, mówi z szerokim uśmiechem:

– Pani profesor na wiosennym urlopie.

Gdybyś tylko wiedział, kotku, myślę. Moja historia nawet mnie samej wciąż wydaje się całkiem nieprawdopodobna: bliscy mi ludzie giną w jednej chwili, tylko ja wydostaję się z tego błota. Co to niby ma być, jakiś mit? Wciąż jeszcze nie mogę się zdobyć na wypowiedzenie słów: „Oni wszyscy nie żyją”. W najlepszym razie mówię więc o rodzinie bardzo wymijająco. Kiedy indziej kłamię i szykuję sobie kłopotliwe sytuacje. „Czy pani rodzice mają się dobrze?”, pyta sąsiadka z mojego domu w Nowym Jorku, gdy właśnie wracam z Kolombo, bo przy okazji poprzedniego wyjazdu spytała, czy moi rodzice mieszkają na Sri Lance, a ja wybąkałam w odpowiedzi, że tak.

Rosenbaumowie wyglądali mniej więcej na tyle lat, ile mieliby moi rodzice, i tak jak oni elegancko ubierali się do kolacji, więc może dlatego zaczęłam z nimi rozmawiać. Oni również przyjechali na weekend do Miami, mieli go spędzić w hotelu Standard. W odpowiedzi na powitanie powiedziałam coś zupełnie niewinnego, w rodzaju: „Ładnie tutaj, prawda?”, na co on szybko rzucił: „No nie wiem. Ja się czuję zupełnie nie na swoim miejscu”. Moja reakcja była czysto grzecznościowa, ale teraz nie mogłam zwyczajnie odejść. Okazuje się, że czterdzieści lat temu było w tym hotelu zupełnie inaczej. Wtedy rodzice mojego rozmówcy spędzali tutaj całe zimy razem z przyjaciółmi, mnóstwem żydowskich emerytów. Dziś przyjechał tu z żoną, żeby powspominać. I uczcić rocznicę ślubu. Nie spodziewał się jednak tego, co zastał, czyli małego luksusowego hotelu pełnego młodych ludzi w skąpych strojach. Czuje się wśród nich wyjątkowo niezręcznie, ma przecież swoje lata.

Godzinę później wciąż rozmawiamy. „A dodam jeszcze”, mówi za każdym razem, gdy wstaję, żeby odejść, a jego żona uśmiecha się do mnie przeprasząco.

– Pani na pewno chce iść do swojego pokoju, mój drogi – powtarza mężowi, on jednak nie zwraca na to uwagi.

Jest ciekawy. Jak podoba mi się takie podróżowanie samopas? W porządku, mówię. A on z uporem wypytuje o moje poglądy. Skoro jestem z Londynu, to czy Turner mieszkał przez całe życie nad Tamizą i chodził na spacery brzegiem? Co jako ekonomistka sądzę o wielkim kryzysie, planie ratunkowym dla amerykańskiej gospodarki i euro? Jak wytłumaczę wielki sukces ekonomiczny Żydów? Z żadną moją odpowiedzią się nie zgadza i obszernie to uzasadnia.

Wydaje mi się to urocze. I znajome. Ze Sri Lanki znam wielu takich ludzi lubiących się spierać, wujków, ojców przyjaciół, miłych mimo upodobania do tyrad i zrzędlivosti. „Jaka z pani pogodna młoda kobieta”, powtarza ciągle. (Zapewniam go, że nie jestem

młoda, ale puszcza to mimo uszu). Rozmowa ze mną sprawia mu tak wielką przyjemność, że ma poczucie, jakbyśmy dobrze się znali. Muszę mu obiecać, że pozostaniemy w kontakcie. Na dworze robi się zimno, więc jeszcze raz życzę mu dobrej nocy. Całuje mnie w oba policzki i mówi:

– Nie wiem, co jest teraz z tymi młodymi ludźmi... Taka urocza młoda kobieta jak pani nie powinna być samotna.

Nie odpowiadam, a on wyraźnie czuje, że palnął gafę.

– A czy pani była mężatką? – pyta.

Normalnie mówię w takiej sytuacji „nie” i odchodzę. Od drinków jednak trochę szumi mi w głowie, a poza tym czuję tę odzyskaną w Miami swobodę, która skłania mnie do uczciwości, więc odpowiadam:

– Tak.

– Czy pani mąż był Anglikiem?

– Tak.

– Och, i to był właśnie problem, pani rozumie. Powinna była pani poślubić jakiegoś ładnego żydowskiego chłopca i to by się nigdy nie zdarzyło.

Przez chwilę milczę, aż wreszcie do mnie dociera. „To” znaczy, że zostałam rzucona przez jakiegoś bezużytecznego angielskiego nicponia. Chwileczkę. Naprawdę nie jestem z tych, co dużo mówią. Ale muszę bronić Steve’a.

– To nie dlatego, że on nie jest żydowskim chłopcem – mówię bez namysłu. – Tylko dlatego, że nie żyje.

Co ja właśnie powiedziałam? Jestem zdumiona swoimi słowami. Nie żyje? Mój nowy przyjaciel wygląda na bardzo skruszonego, biedak. A nie zna przecież nawet połowy prawdy.

NOWY JORK, 22 CZERWCA 2012

Podróżuję nieustannie między tym życiem a tamtym. Jeszcze teraz, po siedmiu latach. Wystarczy, że w mieszkaniu piętro wyżej rozlegnie się tupot, a natychmiast przenosi mnie to do naszego londyńskiego domu. Zdaje mi się, że to chłopcy na górze znowu się kłócą. „Przestańcie”, mam ochotę krzyknąć. „Staram się, mam”, słyszę Vika, który robi sobie ze mnie śmiechy, a jednocześnie celuje piłką w głowę brata. Potem jednak muszę się pogodzić z tym, że ich nie mam. Jestem w Nowym Jorku.

Ale nasze żartobliwe sprzeczki, które słyszę w myślach, już nie cichną. Jest całkiem inaczej niż w pierwszych miesiącach po wielkiej fali, gdy tylko niekiedy słyszałam niespodziewany szept lub inne strzępki dźwięków. Ich głosy z czasem nie osłabły, lecz przeciwnie, zdwoiły swoją moc. Ich szczebiot bez końca dialoguje z moimi refleksjami, ale to mnie krzepi, podtrzymuje we mnie iskrę. Często mam wrażenie, że z moich ust płyną słowa Steve'a, nie moje. A przynajmniej tak to sobie tłumaczę.

Kiedyś mnie to zaskakiwało. Nagle uświadamiałam sobie, że ich nie mam, że jestem tu, w Nowym Jorku sama. Zdarzało mi się, że stojąc przed domem w West Village, w którym mieszkam, nagle gwałtownie chwyciłam ustami powietrze. Czy jestem tutaj dlatego, że oni odeszli? Tak było wtedy, gdy ich nieobecność, a także ich realność wydawały mi się niepewne i podejrzanе. Teraz jest inaczej. To, że ich tutaj nie ma, jest prawdą, wiem o tym. Prawdą nie do zgłębienia, ale taką, do której chyba się przyzwyczaiłam.

Nowy Jork dał mi dystans, który pozwala sięgać ku rodzinie. Stąd wracałam i do Londynu, i do Kolombo, by ponownie nas odkryć. I mogę wchłonąć swoje odkrycia bez lęku, że w każdej chwili zderzę się z tym, co wydaje się zbyt znajome, jak choćby mleczarz, papierek po żelku, Camden Town. Kiedy pierwszy raz przyjechałam do tego miasta, spacerowałam po Doyers Street wzdłuż cichego szeregu zakładów fryzjerskich, zdających się pochodzić z minionej epoki, a mój umysł powoli się odprężył i pozwalał przyjść ulotnym obrazom nas czworga. Ostatniego wieczoru jak nieraz szłam na południe brzegiem rzeki Hudson. Przystanęłam na deskach molo numer 46, żeby popatrzeć na pomarańczowe światło. Nad głową miałam baldachim z historycznie wrzeszczących mew. Ptaki wpadały w korkociągi i ostro zakręcały w locie, a ich podniecenie zdawało się nie mieć końca. Stojąc tam, mogłam zobaczyć inny widok, inną rzekę: nasza czwórka na popołudniowym spacerze na Butler's Wharf nad Tamizą. Niecierpliwie się, poganiam chłopców, którzy mimo mżawki ociągają się, gdyż sądzą, że lada chwila uniosą się przęsła Tower Bridge. Słyszę to, słyszę ich protesty. Steve wybrał milczenie. Jest mu wygodniej,

jeśli to ja psuję całą zabawę. Coraz częściej, przyglądając się naszej czwórce, zachowuję równowagę. I jestem z tego zadowolona. To mój mały triumf, który dodaje mi otuchy.

Oczywiście jednak ta równowaga jest chwiejna. Dziś rano popijałam kawę na ławce w St. Luke's Garden w West Village, gdzie światło wczesnego lata muska hortensje i naporstnice. To coś w rodzaju angielskiego ogrodu. W pewnej chwili dostrzegłam na palcach maleńkie martwe stworzenie, jednego z tych pajęczków, które szybują w powietrzu i stają się plamką na dłoni, gdy próbuje się je strzepnąć. To natychmiast przeniosło mnie do naszego ogrodu w Londynie, gdzie w cieplejszych miesiącach pełno jest takich drobnych żyjątek. I widziałam nas czworo odpoczywających po śniadaniu na patiu w niedzielny ranek. Męczyłam Steve'a, żeby pomasował mi kark. Słyszałam Vika, który ma już piętnaście lat, a głos mu grubieje. I rzuciłam się na całego w to, za czym tęsknię.

Jestem zanurzona w innej rzeczywistości. W naszym życiu, ale takim, jakim byłoby dzisiaj. Kiedy bezprawnie przechodziłam na tę stronę w minionych latach, pilnowałam, by wyobrażenia były niedokładne. Ostatnio jednak szczegóły tego, jak wyglądałibyśmy dziś, zaczęły się pojawiać wyraźnie, bardzo wiernie. Jestem gotowa doznawać „nas teraz” tak bezpośrednio, jakbym została wyrwana z naszego wspólnego życia zaledwie przed chwilą.

Znam to z bliska. Mój świat taki, jakim byłby, gdybym ich miała. Zamieszanie, hałasy, barwy, ważne chwile, zapachy, dwóch nastoletnich chłopców...

Zdradliwa jest ta moja gotowość przyjęcia czegoś, co nigdy się nie zdarzy. Chciałabym jakoś ją stłumić.

Siedem lat minęło i ich nieobecność zwiększyła swoje rozmiary. Rozrosła się tak samo, jak rozrosłoby się przez ten czas nasze życie. Wydaje mi się, że i smutek jest nowy. Bo pragnę ich takich, jakimi byliby dzisiaj. Chcę być w naszym życiu. Upływ siedmiu lat rozłożył moją stratę na cząstki. Już nie odczuwam zamętu, nie szukam obrony w szoku. I boję się. Czy ta obecna prawda nie jest zbyt potężna, bym mogła ją zachować? Czy nie obali mnie, jeśli zechcę zbyt kurczowo się jej trzymać?

Zrozumiałam jednak, że mogę ozdrowieć tylko wtedy, gdy mam ich blisko. Jeśli dystansuję się wobec nich i ich nieobecności, rozdwarzam się. Zostaję z poczuciem, że zabłądziłam do życia kogoś obcego.

Jestem też odgradzona od samej siebie, jeśli niczego nie ujawniam. O swoim życiu w Nowym Jorku często myślałam tak, jakby toczyło się w ramach programu ochrony świadków. To mi pomagało, potrzebowałam alter ego, kiedy byłam oszołomiona. Teraz jest

inaczej. Zachowuję równowagę w świecie, w którym nie ma członków mojej rodziny, tylko wtedy, gdy uznaję ich realność i siebie wśród nich. Jestem bowiem w tym samym stopniu bez nich, co zdana na samą siebie. Kiedy nie dopuszczam do siebie tej prawdy, tracę nad sobą kontrolę, zaczynam dryfować, zaciera mi się tożsamość. Kim jestem teraz?

Wczoraj wieczorem była burza, więc powietrze w parku działa orzeźwiająco, a moja ławka jest mokra. Widzę wilgotne poranki na naszym trawniku w Londynie, Malli zrywa mlecz i wtyka mi go we włosy. I teraz sobie przypominam. Jak Malli mnie opisał i określił. I jak protestowałam. „Jest nas trzech chłopców i jedna dziewczynka, trzech chłopców i jedna dziewczynka”, powiedział, gdy rozpracowywał budowę swojej rodziny, skacząc po kamiennych płytach na patiu. Potem wyrecytował nasze imiona, a siebie nawet nazwał Nikhilem, jak w dokumentach, a nie Mallim, jak zawsze o nim mówiliśmy. „Stephen Lissenburgh, Vikram Lissenburgh, Nikhil Lissenburgh i Mamusia Lissenburgh”, oznajmił ze swadą. „Mamusia Lissenburgh?!”, zagrzałam, ostentacyjnie zgłaszając sprzeciw. Oto moje nowe dane personalne. Nie mam własnej tożsamości bez związku z tymi trzema chłopcami, do których jestem jedynie dodatkiem. „Malli, dlaczego przekręcasz i moje imię, i nazwisko? Wszystkie pozostałe podałeś prawidłowo. A to nie jestem ja!”. Klasyfikacja naszego syna wywołała oczywiście wielką radość Steve’a. Jeszcze go podpuszczał: „Mądry z ciebie chłopak, Mal, trafiłeś w dziesiątkę. Mówisz właśnie tak, jak jest”. „Czyli Mamusia Lissenburgh!”, powtórzył śpiewnym głosem Malli. I wszyscy trzej głupi chłopcy zaczęli pokładać się ze śmiechu.

Teraz siedzę w parku w Nowym Jorku i słyszę ich radosnych, rozbawionych na naszym trawniku.

Podziękowania

Dziękuję przede wszystkim mojemu niezwykłemu terapeutce Markowi Epsteinowi. Gdyby nie jego wskazówki i namowy, ta książka w ogóle by nie powstała. Przy nim czułam się na tyle bezpieczna, by spróbować ogarnąć to, co niewyobrażalne, i pozwolić sobie na wspomnienia.

Gorące podziękowania dla Radhiki Coomaraswamy, Sarah Gordon, Malathi de Alwis i Amrity Pieris, które przez lata czytały fragmenty tej książki i zawsze uparcie domagały się dalszego ciągu.

Wyrazy wdzięczności dla Swyrie i Kena Balendrów, Beverley Wood, Naomi Collett, Anity Grigoriadis, Margaret Headland, Natashy Balendry, Ruvanthi Sivapragasam, Carole Burgher, Kevina Browna, Lestera Hudsona, Marii Hudson, Sithie Tiruchelvam, Davida Browna, Keshini Soysy, Lindy Spalding, Suki Sandler i Sophie Wood; wszyscy oni przyjmowali moją książkę z żywym zainteresowaniem i nie szczędzili mi słów zachęty na różnych etapach pisania.

Z głębi serca dziękuję Michaelowi Ondaatje; jego wsparcie wiele dla mnie znaczyło.

Jestem też szczerze wdzięczna mojej agentce Ellen Levine. I bardzo dziękuję Lennie Goodings.

Słowa wdzięczności niech zechcą przyjąć Carol Devine Carson, Pei Loi Koay i Gabrielle Brooks z wydawnictwa Knopf oraz Kendra Ward i Scott Richardson z wydawnictwa McClelland and Stewart.

Na specjalne podziękowania zasługują też Sonny Mehta i Diana Coglianese w Nowym Jorku oraz Ellen Seligman w Toronto. Jestem głęboko wzruszona wszystkim, co zrobili, żeby ta książka się ukazała. Jako moi wydawcy i redaktorzy okazali mi bardzo wiele troski i oddania. Współpraca z nimi była dla mnie ogromną przyjemnością.